



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

WARUNKI PRENUMERATY:

w Warszawie

Z przesyłką pocztową

Rocznie. (52 tomy) rs. 10

Rocznie. (52 tomy) rs. 12

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Półrocznie (26 tomów) „ 6

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Kwartalnie (13 tomów) „ 3

Za odosłanie do domu 15 kop. kwart

Cena każdego tomu 25 kop.

W skład „Biblioteki dzieł wyborowych“ wchodzić dzieła następujących kategorii:

1. **Arcydzieła literatury powszechnej.**
2. **Dzieła beletrystyczne** (powieści, poczye, podróże, najbardziej cenionych autorów naszych i zagranicznych),
3. **Dzieła historyczne**, szczególniej pamiętniki i opowiadania, dotyczące naszej przeszłości.
4. **Dzieła popularno-naukowe** ze wszystkich dziedzin wiedzy współczesnej.

WYDAWCA

Saturnin Sikorski.

ZA REDAKTORA

Klemens Szaniawski.

Druk. Artyst Saturnina Sikorskiego, Nowy-Świat 47.

Дозволено Цензурою. Варшава, 16 Октября 1897 г.

IZAKŁAD

INTROLIGATOR

A. SUCHAŃSKIEGO

BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

Nr 4.

5702

TULACZE

02141

B. Bolesławity

z przedmową

Adama Pługa.



TOM III.

Cena 25 kop.

W prenumeracie 19 1/4 k

WARSZAWA.

Redakcja i Administracja:

47. Nowy-Świat 47.

1897.

02141

TUŁACZE.

350 a

TULĄCZE.

02141

Opowiadania historyczne

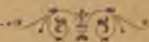
PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

Z PRZEDMOWĄ

Adama Pługa.

TOM III.



WARSZAWA.

Drukarnia Artystyczna
Saturnina Sikorskiego.

47. Nowy-Świat, 47.

~~5712~~

350 e

~~5712~~

Księga XI.

W R Z Y M I E



W rok po zawarciu pokoju w Leoben, legia na rozkaz wodza zbierała się w Rimini; — przeznaczeniem jej było zająć starą stolicę świata, nieśmiertelny gród, ku któremu tylu polskich wędrowało pielgrzymów — Rzym. Dziwne przeznaczenie tej, jakby wichrem i burzą miotanej garści ludzi...

Łatwo pojąć, z jakimi uczuciami szły szeregi tułaczów tam, kędy od dzieciństwa myśl nawykła była, jako do stolicy chrześcijańskiego świata, do grobu apostołów — *ad limina apostolorum*. Pobożni synowie apostolskiej metropolii zmieniali się w posłuszną Francji załogę. Domyślać się też można, dlaczego polskiemu żołnierzowi powierzono gród Piotrowy. Po między wojskiem Rzeczypospolitej, które wychował Voltaire i encyklopedyści, a polską legią, wykołysana pieśniami kantyczkowemi, dla której kościelne trady-

cye stały się narodowemi — była przepaść, choć teraz pod jednemi walczyli chorągwiami.

Polski żołnierz milcząco znosił lekceważenie Kościoła i papieżstwa, ale go one bolały i przekonań swych a wyssanych z mlekiem podań nie zaprzedał. Jego Rzym łączył z Europą, bratał z cywilizacją...

We Francyi despotyzm monarchii Ludwików, ożeniony z Kościołem, sam Kościół i wiarę uczynił obojętną i obrzydłą — w Polsce swoboda stała na religijnych podstawach, miłowano Chrystusa, jako wybawiciela, szanowano Kościół, jako rząd Chrystusowy. Dla Francyi Mesjasz był tym, z którego łaski panowali Burboni z Bastylią.

Różnica też wielka dawała się czuć w pochodzie wojsk wśród zburzonej ludności, w zbliżaniu się do miejsc świętych i kościołów. Gdzie Francuzi stawiali konie, Polacy padali na kolana.

Włosi, których uczucie gorące, religijne, oburzało lekceważenie świętości, patrzyli na modlących się polskich żołnierzy, na klęczącą starszyznę przed obrazem N. Panny, nie rozumiejąc, jak te pobożne dzieci Północy mogły się sprzymierzyć z trzpiotowatemi republikanami, uznającymi tylko Bóstwo rozumu.

Uroczysty to był dzień, gdy część legii przybyła do Loretu. Spoczywały tu stare zdobycze obrońców chrześcijaństwa, złożone w ofierze przed ołtarzem Bogarodzicy: chorągiew Turecka z pod Wiednia i miecz Sobieskiego. Te relikwie dawnej chwały i potęgi oddano polskiej legii, poniosła je jako zdobycz nową.

W kościele kapłan, Polak, zanucił to błagalne — „Święty Boże” którego nuta wycisnęła łzy, przypominając niedzielne dni w wiejskich naszych modrzewiowych kościolkach.

Był to jeden z rozrzewniających epizodów pochodu; drugim stała się troska Dąbrowskiego i Kniażewicza, aby kupka naszych żołnierzy nie po zebra-

czemu i w łachmanach ukazała się raz pierwszy w stolicy świata...

Sami wodzowie musieli przebiegać szeregi, wybierając odartych, bosych a nadto butnych, i rozsyłając ich do innych kompanij.

Ubóstwo naszego żołnierza jakże nie jednemu stało się bolesnem, chciało się biedakowi do Rzymu... a boso... boso wejść było nie wolno! Pożyczano butów, zszywano i czyszczono wytarte mundury... szło o honor narodowy... dzielono się groszem.

Widok tej troski mógł prawdziwie łyzy wycisnąć — z jak smutnem obliczem biedni nieporatowani, spuściwszy głowę szli wyłączeni z tej falangi, która stanąć miała na Kapitolu!!

Ale nareszcie mundury poczyszczono, obuwie się znalazło, broń polyskiwała i twarze jaśniały; żołnierz z drżeniem serca myślał, że stanie w Rzymie!

3 Maja, Kniażewicz na czele legii przestąpił progi grodu, z ruin wiekowych złożone i trzema kolumnami zaciągnął wartę na Kapitolu!!

O dziwne losy nasze! Wzrok żołnierza szukał kopuły Św. Piotra i zdał mu się snem widok jej... powtarzał, by uczuć jawę — Rzym!

— Jesteśmy w Rzymie! — szeptali, potrącając się w szeregach nadwiślańcy...

Kniażewiczowi wyznaczono kwaterę niedaleko Kapitolu, w Ara Coeli... Tuż przed niemi były wszystkie wielkości Rzymu pamiątki... Kapitol... Skała Tarpejska... Forum, łuki tryumfalne Cezarów i milczące olbrzymie Coloseum...

Poważnie na tę bohaterstwami i męczeństwem uświęconą ziemię wstąpili polscy żołnierze, a lud rzymski, patrząc na ich przejętą modlitwę, przez nich się jednał z Francją.

Rzym dla Polaka... był jakby ojczyzny odłamkiem, nieznanym, był mu pamiętnym, dzieje jego kar-

miły go w młodości, wiara płynąca ztąd wypełniała życie...

Na ciemnej malej uliczce *delle Beteghe Oscure*, zapomniany w pośród tysiąca bazylik i katedr, otworzył się ubogi kościółek polski dla swych dzieci... Odano im klucze św. Stanisława...

Na sam dzień Stanisława obchodzono narodowe święto, we własnym kościele... smutne wspomnienia niosło one z sobą... trudno było powstrzymać było.

Dotąd jedyną legii zdobyczą była chorągiew Sobieskiego w Lorecie i szpitalny kościółek w Rzymie.— Na progu jego wśród tłumu znaleźli się razem Darewski i Pluta, podali sobie ręce... milcząco spojrzeli tylko w oczy tęskne... a gdy po suplikacjach wyszli razem w ciasną uliczkę, siedemdziesięcioletni starzec stłumionym głosem rzekł do Karola —

— Toć pewno pierwsza i ostatnia zdobycz nasza — szpital a kościół! Opatrzność zdaje się nam powiadać, co nas czeka — żywot na miłosierdziu szpitalnem, nadzieja jeno w modlitwie...

Gdy Karol twardo a wytrwale poszedłszy raz dzielić legii losy, znosił je nie szemrząc, nie dziwując się, nie narzekając i nie śmiejąc myślą sięgnąć w przyszłość, Darewski starszy, rozczarowany, a może wielkiem osłabły, choć walczył jak lew... był zawsze wszystkich nieszczęść Kassandra. — Nie miał on powiernika, któremu by chętniej się z dolegliwych swych przewidywań zwierzał, nad Karola — przychodził do niego wygadać się z tem, co przed innymi, dla nierozczarowywania ich, zamilczał.

Pobyt w Rzymie, będący chwilą wypoczynku, zarazem się stał, a przynajmniej groził być niebezpieczną dla legionów próbą.

Umysły znękanе, serca zawiedzione, zgorzałe cierpieniem i życiem tułaczem, wylewały się z żół-

cią, z podejrzeniami, z nieufnością nawet przeciw samym sobie.

Legie pocichu zaczęły się rozdzierać na partye, na przyjaznych i niechętnych dowódczom, żołnierz szemrał, odarty i głodny, przypisując winę swej nędzy starszyźnie. Groźne twarze, milczące, jeszcze spotykał Dąbrowski i grono jego przyjaciół... pocichu mnożono niechęć ku niemu, gotowano jakiś opór chorobliwy... Powody... łatwo się znalazły do zarzutów, do gniewów... Znaleźli się tacy, co je podzegli... a w spoczynku nie zajęte umysły wrzały coraz wyraźniej...

Przybycie z kraju Turskiego, Władysława Jabłonowskiego i kilku innych, dołało oliwy do ognia, zwiększyło szemranie groźne, groźniejsze nasiona spisków... Wielu znów oburzało postępowanie Francuzów, którego niejako współnikami stawali się Polacy... zmuszeni patrzeć na nie milcząco...

Nadużycia zwycięzców były w istocie wielkie, odzierano pałace, zabierano dzieła sztuki, w upojeniu tryumfów nie poszanowano własności prywatnej, ani publicznej. — Żałoszenia były bolesne... ale skargi nie mogły wyjść za mury Rzymu... Dla ludzi innych wieków i obyczaju widok ten stawał się dotkliwym... Żołnierz poglądał na wyrywane z kościołów obrazy, na ogałacane domy, z jakąś trwogą i powątpiewaniem...

Jednego wieczora, wedle obyczaju swego, przyszedł Darewski do Pluty z wiadomościami, był posępny i przygnębiony...

— Weszliśmy tu — rzekł — nie jak nam przystało, nie jako obrońcy i opiekunowie, ale z rabusiami razem, Pan Bóg pobłogosławić nie może. Żle też idzie nam wszystko, żołnierz znękan, zwątpiały... zniechęcony... po kompaniach podpisują jakieś protestacye... przybyli tu coś knują... chcą Dąbrowskiego obalić jedni... drudzy pewnie jego miejsce zająć, nie wiedzą, że

w nim legiie jej zabijają... twarze posępne... przyszłość groźna...

— Szanowny towarzyszu, nadto wszystko widzicie czarno... — odparł Karol.

— Bom stary... — rzekł Darewski — jasne dla mnie tylko błyskawice, co sprowadzają pioruny... Trudna walka z losami...

Chcąc zapobiedz próżnowaniu a spiskom, uchwalono żołnierza najać na żniwa w rzymskiej Kampanii. Ale wiedzą oni, co to powietrze zdradliwe tej pustyni??

Darewski, przyniosłszy tę wiadomość, westchnął i powlókł się dalej.

Sprawdziła się ona wprędce i w sposób najniezwyklejszy, gdyż następstwa jej były nad wszelkie przewidzenie smutne.

Chciano zaradzić spiskom i zniechęceniu, dając za lekarstwo pracę... nie przewidziano, że to był wyrok śmierci dla większej części skazanych na te pozornie wesołe żniwa w Kampanii...

Wśród zagniłych od wieków błot Pontyjskich dojrzewały pola bujnemi okryte urodzajami, można było przypuścić, aby kraj dla rośliny żyzny, tak miał być dla człowieka śmiertelnym...?

Żołnierzowi na wspomnienie sierpa i kosy radowało się serce... każdy z nich był rolnikiem, złote lany mówiły mu o Polsce.

Ale w tej pustyni, jakby przeklętej za stare zbrodnie, które ją splugawiły... wszystko ma prawo żyć, buja wszystko, oprócz człowieka... Ziemia ta, przesycona trupami, przejęta zgnilizną... tchnie śmiercią i mści się nią na ludziach, co ją bezczęścili... Pasterz ztąd ucieka, podróżny z trwogą przelatuje, obszary milczące... nikt nie śmie nocy tu przebyć, aby nie tchnął zatrutem powietrzem... tylko czarne bawoły

chmurne łby swe z traw podnoszą, jakby czuły, że tu królują same...

Kto podał zgubną radę, aby nieopatrzniego żołnierza naszego, nawykłego bezbronnie oddychać zdrowem lasów i pól naszych powietrzem — wysłać na to cmentarzysko pozłacane kłosami? Nie wiadomo, ale rada została przyjęta, a żołnierz, stając się wieśniakiem, rolnikiem, radował się...

Radość to była krótka wszakże. — Poszli — nie śmiano obliczać nawet, ilu ich ze żniwa powróciło.

Był jeden dzień wesołości i pracy i jeden wieczór spoczynku przy ogniskach... pieśni domowych... każdy sobie, kładąc się na snopach, przypomniawszy jakąś piosenkę, gadkę... coś z młodości, coś od strzechy... Słońce krwawo zaszło na wyiskrzonym niebie...

Opar, jak mgła sina, podniósł się ponad rozpaloną ziemią... we mgłach leciał mór i końcem szat przesunął po śpiących wygnańcach... Snem twardym uśpieni czuli, jak kamień na piersi, jak obręcz żelazną na głowie, a z tych, co wczoraj legli z pieśnią... ilu wstało z jękiem!!

Malarya w niewielu dniach położyła trupem kilkuset, inni wynędzniali, rozbiegli się powoli konać po szpitalach...

To znów obraz straszny, tragiczny, z tego pasma czarnych przygód.

Po śpiewach i weselu... po krótkim szale wspomnień — pusto w Kampanii znów... a wśród snopów użętych, żółte trupów leżą twarze...

Wspomnienia tych lat zdają się, jakby zmyśleniem poetycznym — a są zmniejszoną rzeczywistością — bo któż obliczy pojedynczych ludzi przygody i próby powszednie, które wstydlive okryło milczenie na wieki!

Każdy dzień smętną przynosił niespodziankę...

Jednego z nich legia wybiegła za mury na przyjęcie nowych gości...

Gości strasznych, jak te lata pokuty... Ludzie to byli zczernieli od słońca, z ranami poobwiązywaniem łańcuchami, z bliznami ledwie zaskrzepłymi od łańcuchów na rękach, nogach i szyi... kilku kaleków, kilku starców, kilka żywotów na włosku, w ludziach od febry i głodu wyżółkłych.

U bram Rzymu, na grobowej apijskiej drodze, spotkali się żołnierze z tą garścią... i nieznajome dłonie ścisnęły się braterstwem cierpienia...

Byli to nieszczęśliwi, co z legii na Wołoszech, przez Stambuł, wybiegli co najprędzej połączyć się z nowymi legionami... Dąbrowskiego.

Pierwsza lepsza łupina okrętowa, która ich przewieźć tu mogła, zdała się im dobrą... poniosły ich zagle jakiegoś statku, który na morzu Śródziemnym już algijscy korsarze schwytali.

Polacy dostali się w niewolę.

Pierwszą wieść o ich losie przyniósł list francuskiego konsula z Algieru.

Potrzeba było nieszczęśliwych wykupić. Do kraju ani się o to odwołać było można, ani on mógł dać ten grosz jałmużny. Obowiązek pomocy braterskiej spadł na tych, co sami boso i o głodzie tułali się po Wołoszech... Otworzyły się biedne sakiewki legionistów w Rzymie i Mantui, każdy oddał grosz ostatni... i tą jałmużną odkupiono braci nieznanym...

Na chwilę jakaż to radość dla nędzarzy tych posłyszeć mowę, zobaczyć twarze, poczuć ciepły uścisk dłoni bratniej... ale z drogi apijskiej na Ara Coeli... miały czas pochmurnieć twarze...

Poświęceń takich bez liku...

Żołnierz marniał na tych rzymskich ruinach, pożerany tęsknotą... dnie były długie... próżnowanie

wzmagało boleści... kilku zdatnych poświęciło się na karmienie ducha... gdy ciało także ledwie o czym wyżyć miało. Myśl tę oświaty powziął Godebski, wykonali ją Wybicki, on, Paszkowski i Kamiński... Zbierano pieśni, opowiadania, dzieje, podania domowe... Wśród tych koszarów, poprzerabianych z pałaców i klasztorów, które same z łaźni i amfiteatrów, z bazylik i cyrków powstały, na garści słomy, oparty o mury, które cesarów pamiętały, Maciek uczył się czytać i śpiewać o ojczyźnie. Ale jak niewielu z tych, co tu lepiej poznali domowe dzieje, zaniósł je do chaty nad Wisłę i Bug?... Setny może...

Nie brak i krwawych dramatów... i powieści prawie bajecznych... Do tych należy historia Zabłockiego, do której i Karol Pluta był wmieszany, chociaż on i Darewski na uboczu stać chcieli i z ludźmi innej epoki nieraźnie im żyć było. Żyli z sobą.

Do poufalego otoczenia generała Dąbrowskiego należał Zabłocki. — Był to żołnierz dobry, człek poczcivvy, ale natura opryskliwa, gwałtowna, butna i nieco tchem wieku popsuta... Wyniosłszy z kraju wiarę, jak drudzy, posłał ją po gościńcach, Francuzi zarazili go niedowiarstwem, które dla wielu wydawało się jakąś ducha i umysłu potęgą. Dla Zabłockiego wszystko było przesadą, ale raz poszedłszy tą niebezpieczną drogą, wyzwolił się aż do zbytku z tego, co drugich zobowiązywało... Żył lekkomyślnie, a miał zwyczaj ze sceptycyzmem popisywać się szydersko... Uchodziło mu to, słuchano go i w łatwą wbijał się dumę ze swego zuchowactwa... Przystawwszy szanować idee, łatwo było ludzi pomiać. Zabłocki miał nieprzyjaciół bez liku... ale ufny był w swój stopień i przyjaźń Dąbrowskiego.

Jednego wieczoru, gdy dwaj starzy Barszczanie siedzieli u Karola na Vico Oscuro, gwarząc o dawnych

dziejach, wpadł niespodzianie Szumlański, na miłego Boga zaklinając Plutę, aby za świadka poszedł służyć do pojedynku między Haumanem a Zabłockim.

Karol się obruszył zrazu.

— Dajcie mi pokój ze swemi waśniami i pojedynkami — zawołał — wszystko to nie na czasie... Zgorszenie to i lekkomyślność!

Szumlański tłumaczyć się począł. Rzecz się miała, jak następuje: Codziennie prawie starszyzna wojskowa wieczorami zbierała się u Dąbrowskiego, rozprawiano, grano w bilard, wchodzili i wychodzili oficerowie; było to ognisko, u którego każdy się chciał rozgrzać nieco. Tu pierwsze przybywały wiadomości z Francji... tu najczęstsze z Polski wieści.

Zabłocki i Hauman, niebardzo sobie przyjaźni, znaleźli się losem gry sami jedni u bilardu... Hauman miał z sobą Grabowskiego i Szumlańskiego. Przy-mówki poszły o fraszkę, usposobienie je zaostrzyło. Hauman był prędko, Zabłocki butny a dumny, na jakieś słówko Haumana Zabłocki zmilczeć mu kazał, jako przed starszym. Hauman się rozśmiał szydersko, Zabłocki obruszył i drzwi pokazał.

— Łatwo to stopniem się zasłonić — pryśnął pierwszy — aby uniknąć pojedynku, którego się boi... Pamiętamy przecie, jak to było w Mantui...

W Mantui zarzucano, nie wiadomo czy słusznie, Zabłockiemu, że wyzwany, nie stanął.

Teraz chwycił za słowo... Hauman powtórzył wyzwanie, przyjął je Zabłocki... Tegoż wieczora mieli się bić w Villa Borghese...

Karol odmówił świadkiem być braterskiego tego boju, ale po namyśle skłonił się pójść, w nadziei, że ich opamięta i przejedna...

Szumlański pędził, wózek jego stał przed kamienicą, Pluta pożegnał Darewskiego, pojechali.

Słońce zachodziło jakoś krwawo i ukośnemi promieniami dziwnie oświecało uliczki i ogrody, które-

mi do Villi spieszyli. W powietrzu była cisza... ale oddechu brakło, parna atmosfera ciężyla nad grodem, a w dali nad górami zwijały się czarne i sine chmury kłęby...

Gdy stanęli na miejscu, już nadchodząca burza w dali zaczynała warczeć piorunami i leciała wprost na Rzym, wyciągając ramiona... Musiano pospieszać z pojedynkiem. Karol z powagą starego żołnierza stanął rozjemcą, ale go nie słuchano... Zabłocki bił się w piersi i rzucał obrazą honoru, niepowetowaną tylko krwią, Hauman słowa odwołać nie chciał.

Haumanowi przypadł strzał pierwszy.

Nim broń nabito, burza już prawie była nad głowami; Zabłocki, udając wielkiego zucha, śmiał się i nie w porę wyzywał pioruny Boże w sposób sztyderski...

Odmierzono kroki, przeciwnicy stanęli na swych miejscach, strzelano na komendę... Hauman wypalił. Zabłocki zachwiał się, chwycił za piersi i padł krwią obłany, kula trafiła w samo serce...

Ze zgrozą uciekł Pluta z Villa Borghese; oburzony tym widokiem mordu, któremu zapobiedz nie mógł, poprzedzonego wstrętną lekkomyślnością Zabłockiego w tej uroczystej chwili. Pobiegł wśród strumieni deszczu, bicia piorunów i wichru, który niósł po ulicach dachówki, do swojej kwatery, aby się tam zamknąć ze smutkiem, którego doznał.

Nazajutrz rano wszedł do niego Darewski.

— Wiesz o Zabłockiego losie — rzekł — boś tam był, ale znaszże resztę historii?

— Jaką resztę? — spytał Karol...

— W chwili tego pojedynku burza szalała nad Rzymem... piorun uderzył w dom, który zajmował Zabłocki, strzaskał i spalił łóżko jego.*)

*) Niewydany pamiętnik Wierzbickiego.

Wypadek ten przeraził i głębokie uczynił na wszystkich wrażenie.

Z powodu stosunków Zabłockiego, unikając gniewu i prześladowania, Hauman i Szumlański musieli legion opuścić i zaciągnęli się do wojsk francuskich, które szły właśnie na egipską wyprawę... Jeden z nich tylko, i to dziwnym znów wypadkiem, do kraju powrócił.

Szumlański, wzięty w jednej potyczce w niewolę, dostał się jakiemuś możnemu panu i okuty, pędzany był z innymi do roboty. W czasie jednej z tych wycieczek w pole, spotkał w drodze Turka, którego twarz zdawała mu się, jakby gdzieś dawniej widzianą i znajomą... Turek także przypatrywał się ciekawie Szumlańskiemu i na traf przemówił do niego po polsku... Był on niedys w Puławach u książąt Czartoryskich czybuckizbaszą; od fajek i tytoniu uciulawszy grosza, powrócił do kraju... Poznaawszy w Szumlańskim Polaka, ulitował mu się, rozpytał go i prośbę od niego o wykup przesłać do Polski zobowiązał.

Doszła ona rąk ks. Sapichy, którego staraniem wykupiony niewolnik, otrzymawszy pieniężny zasitek na drogę, przybył do gościnnych progów Puławskich... Tu zamieszkał, później znalazł przytułek i spokojnie życia dokonał.

Jeden to z tych epizodów tysiąca, które historię tej epoki składają.

Pobyt w Rzymie, tak dla duszy polskiej wymowny ruinami i bazylikami swemi, zatruty był wszakże ciągłą a powracającą troską, powrotu do kraju? Dla nich to było celem jedynym, dla Francji uprzykrzonym zawrotem nudnej piosenki, na którą jednostajnie odpowiadano, wzywając do cierpliwości... Zwle-

kano, tymczasem śmierć dziesiątkowała, wojna kładła na pokosach...

Gdziekolwiek wybuchło powstanie ludu, bunt pospólstwa... ślano Polaków... szli posłuszni, bili się, placząc nieraz, i nieraz skostniały im ręce na widok krzyżów i ołtarzy, które przeciw nim, zamiast broni i dział stawiono.

Naówczas w piersi chrześcianina toczyła się walka między religią a posłuszeństwem, wiarą a chorałgiwą... i bój był poświęceniem nadludzkim... bo nad trupami płakali.

Tak Karol, z innymi wysłany na Frosinone, na placu bitwy spotkał się z mnichem, który z krzyżem i szablą lud prowadził, przypomniał mu się X. Marek, oręż wypadł z ręki, a Włoch go obciął okrutnie...

Poszli na Terracina... tu, gdy zdobyto miasteczko, gdy legion wpadł z oddziałem francuskim razem... znaleźli wśród ulicy wystawiony ołtarz... kapłan przed nim kończył mszę świętą i podnosił kielich niekrwawej ofiary nad głowy ludu, gdy go szable i bagnety wojsk rzeczypospolitej rozniosły... jak męczennika...

Każdy z tych widoków zakrwawiał serce polskie i wskazywał biednym, że szukali ojczyzny u tych, co ją odbierali drugim, a nikomu nie dali — po każdej z tych bitew, żołnierz był smutny i wzdychał, patrząc na poległych, jak na braci po duchu i wierze...

Każda też utarczka sypała obok Włochów mogiły Polaków, którzy ginęli z rozpacz... bili się wściekle i w rodzaj obłąkania wpadali. — Straciły legiony mnogich żołnierzy pod Frosinone i Terracina... tu Karol także obok Podoskiego i Wisłoucha walcząc, gdy się na mnicha z krzyżem zapatrzył — został ranny silnie... ale nie śmiał się nawet pomścić na tym, co go okaleczył... tak upokorzony był rolą nieszczęśliwą, którą legionom grać kazano.

W grudniu tegoż roku, walcząc z wojskami rzezypospolitej, Polacy okryli się sławą pod skalistemi obrywami Civita Castellana...

Może po raz pierwszy uznano głośno udział legionów w walce i należną im część w odniesionem zwyciężstwie.

Tych dni straszliwych zapasów dziś jeszcze bez wzruszenia przypomnieć niepodobna... krwawe boje, mogiły, nadzieje, zawody — oto historia tych lat, które tylko sławę i zeszlą gałęz wawrzynu przyniosły, opłaconą drogą.

Już się godziło było przekonać, że legionów rachuby omylone zostaną — tracono wiarę we Francję.

W nagrodę krwi i poświęcenia, zdobyte w neapolitańskiej wojnie sztandary, Książewicz, młody Dąbrowski, Drzewiecki i Kosecki mieli polecenie odwieść dyrektoryatowi do Paryża...

Tej czci i uznania zazdrozczono im w wojsku.

Gdy wpośród owacyj i okrzyków wspomniano cicho, trwożliwie — o Polsce, mężowie stanu zmarzczyli brwi, wzruszyli ramionami i skarżyli się na to nieznośne natręctwo Polaków, którym nigdy niczego nie dosyć. Jednakże przez litość półgębkiem szeptało o wojnie prawdopodobnej przeciwko Austrii... i pozwolono wróżyć, że z niej może coś być...

Tymczasem wystugiwać się było potrzeba dalej, a rzeczpospolita nie gardziła ochotnikami — tylu ich ginęło!

Spodziewana z Austryą wojna wybuchnęła narreszcie, w legiony wstąpił duch nowy.

Pod Legnano, w przeddzień bitwy, na biwakach odpoczywał chwilowo Karol, gdy do niego przyszedł stary Darewski. Twarz starca tego dnia jakaś była rozjaśniona i weselsza niż zwykle...

— A no, towarzyszu broni — rzekł mu, wyciągając dłoń namuloną i ściskając krzepko podaną rękę — przyszedłem się też z tobą pożegnać...

— Alboż odchodzicie? dokąd? wszak się nie wąpiwie na gorącą walkę zabiera? — spytał Karol.

— Otóż to jest — odpowiedział Darewski — powiem ci szczerze, romantyzmy mnie łupią nieznośnie, tęsknota je jak w... nadziei żadnej, starość nudna, trzeba to raz skończyć!

— Na miłość Boga! cóż to znaczy? — podchwycił Karol.

— Co ma znaczyć! — po swojemu, zasiadając na siodle, rubasznie zawołał Darewski — jużci, zem nie żaden chłystek, żebym sobie życie odbierał, ale — *est modus in rebus*.

— No! ja jestem spokojny — rzekł Karol — rzecz pewna i doświadczona, kto śmierci szuka, tego ona nie bierze.

— Obgadali Kostuchę! — rozśmiał się Darewski — ona ma serce.

— Nie tak czarny dyabeł, jak go malują.

— Jeśli powrócisz do kraju, a zajrzysz kiedy na Ruś — dodał — pokłoń się tam od mojej mogiły krewnym Weryhom, ilu ich tam jest... i powiedz, zem wstydu nie robił... Pożnasz łatwo Weryhów-Darewskich, czy Darowskich, jeden w drugiego chłopcy, jak dęby, ręce silne, jak łapy niedźwiedzie, a i w głowie niezgorzej i języka w gębie nie zapomną...

Karol uśmiechnął się, brał to wszystko za fantazyę starca... Darewski bowiem był wesół jak rzadko i długo jeszcze baraszkował tak, a gdy już nocą odchodził, zamiast podać rękę, objął Karola, pocałował i stary krzyżyk mosiężny oddał mu na pamiątkę.

[Było to przeczucie zgonu, czy naprawdę myśl szukania go wśród bitwy. Mężny starzec, przeszło siedemdziesiątletni, rzucił się nazajutrz na czele swych legionistów przeciw kolumnie nieprzyjacielskiej z zapalem dwudziestoletniego młodzieńca... i zginął...

Karol wśród bitwy przyszedł, gdzie spoczywało czoło jego z ręką na piersi ściśniętą, i ocalował blade rycerza czoło...

Był też dzień dramatów... Komu nieznane imię grenadyera — filozofa, poety, Cypryana Godebskiego? W tej bitwie i on się znajdował. Godebscy od wieków gnieździł się w Pińszczyźnie, miał tam Cypryan rodzonego brata, porwała i jego tęsknota do boju... Porzucił więc jednego dnia spokojny dworek swój w sosnowym borku i ukochane doliny nad Prypecią, wziął i on torbę tulaćza, przedzierając się do Włoch, do legionów, aby walczyć obok brata.

Cypryan o przybywającym nie wiedział... ten z miasta do miasta gonił za polskim legionem, przeznawał się przez nieprzyjacielskie stráže, wymykał, przylączał do oddziałów i tak dostał się dopiero pod Legnano... ale w chwili, gdy już wrzała bitwa...

Wskazano mu pułk Cypryana, który szedł właśnie przeciwko nieprzyjacielowi. W niecierpliwości uściskania brata, tulaćz nowy popędził za nim... zobaczył go już, Cypryan go poznał, zatrzymał się zdziwiony, przelekł, po nad głowami ich grad kul przeleciał.

Godebscy biegna ku sobie... jeszcze chwila, a padną w swoje objęcia... zbliżają się ze łzami w oczach, zapominając... boju... W tem kula działowa w oczach Cypryana rozdziera biednego przybysza i trupem go kładzie.

Jestli co tragiczniejszego nad te dzieje?

Pod Magnano... u Werony, pada waleczny Rymkiewicz na placu... przeszyty dwoma postrzałami... kona uśmiechając się i ściskając dłoń przyjaciela.

Zamknięto polski legion w murach Mantui, rozpoczęła się pamiętna owa obrona heroiczna tej twierdzy, którą natychmiast wojska austriackie odcięły i osaczyły.

Wielhorski, Aksamitowski, Jakubowski, bronili jej. W chwili właśnie, gdy Dąbrowski marzył znów o wdarcu się przez Austryę do Galicyi, jakby na przekór jego i wszystkich nadziejom, zamknięto ich w tych murach...

Jest jakiś mistycyzm i fatalność nawet w datkach tych dziejów zapomnianych.

Znów w dniu 3 maja 1799 roku weszli Polacy do Rzymu... szczątki ludzi w łachmanach odzieży.

Tym razem nie mógł już Dąbrowski wybrać z szeregow lepszych odzianych, aby ich wiecznemu miastu pokazać przystojniej, bo nie było jednego całego munduru, jednego obuwia ludzkiego w batalionach... Szli odarci, w bohaterskich oszarpanych sukniach, kurzawą i błotem okryci, ogorzali, wychudli... a widok ich obudzał litość nawet w nielitościwych.

Dwa dni przesiedzieli tylko na ruinach, zszywając cierpliwie odzież... za którą obiecano im nową w Peruggii... Wyszli na tę wyprawę nowego rodzaju, aby się przedziać do boju...

Dąbrowski ze swymi cudów dokazywał pod Cortoną... ludzie rośli w obliczu niebezpieczeństw na olbrzymów.

Tu major Kamiński, idąc do zdobycia wrót zabarykadowanych, kulą ugodzony został w nogę... Choć okulał, czując upływającą krew, nie wstrzymał się, spieszył tylko prędzej, póki sił. Wtem druga kula drugą mu nogę strzaskala—padł, ale upadły włókł się jeszcze na rękach ku wrotom, które zdobyć było potrzeba, przypętał do nich, podniósł dłoń krzepnącą i—skonął.

W każdym z tych świetnych bojów, które składają karty dziejowe Rzeczypospolitej francuskiej, w zwyciężkach jej pochodach wszystkich, droga krew polska obficie się leje...

Mamyż opisywać te wyprawy, bitwy, pochody, których obraz znajdzie się sto razy skreślony piórem apologetów, często z umyślnem, czasem mimowolnem zapomnieniem naszego w nich udziału.

Nie są to dzieje nasze.

Pod Trebnią padają nowe ofiary, najnieszczęśliwsi idą w niewolę, gorszą nad śmierć; sam Dąbrowski, ranny, dwa razy opasany przez nieprzyjaciół i prawie ujęty, przywiązaniu współtowarzyszów broni winien ocalenie.

Na placu tym już głośno a sławnie rozlega się imię mężnego Chłopickiego.

Smutne a świetne boje, które ostatek nadziei odbierają... Nieprzyjaciół licniejszy, sypie coraz nowe zastępy, zwycięstwa okupują się stosami trupów... a nie wiedzą do niczego, prócz sławy!...

Pod Trebnią samą... ginie z legii półtora tysiąca ludzi... tysiąc trupów, pół tyle rannych.

W kwietniu rozpoczyna się oblężenie Mantui, której załoga z Francuzów, Włochów, Szwajcarów i drugiej legii polskiej złożona, trzyma się prawie do końca lipca przeciwko przeważnym siłom nieprzyjaciela...

Jakby przewidując los, który spotkać może polskiego żołnierza, Wielhorski prosi, by mu w polu otwartem walczyć dozwolono i odbiera pochlebną, ale odmowną odpowiedź...

Czwierć roku w murach twierdzy, której obronić nie mogą męstwem swem, walczą legioniści z nieu-

dolnością wodza, z głodem, niedostatkiem i przewidywaniem ciężkiego losu...

Chwilowe niechęci, które zrodziło cierpienie, ustają i płoną w rosnącym zapale bojowym... Cała załoga stęka i narzeka na głód i niedostatek... Polacy się nie skarżą, jedni, jedni nie uchodzą z szeregów...

Kiedy się czyta pełne prostoty opowiadanie Godebskiego o tem trzymiesięcznem więzieniu... łzy na oczach stają.

Z tą nieszczęśliwą kampanią ostatnie rozwiły się nadzieje...

Z polskich legionów zostały szczątki mizerne, Wielhorski i Kosiński poszli do niewoli na forteczne lochy i kajdany, żołnierz pochwycony z niemi, a Aksamitowski, który z dwustu innymi miał odwiedzić legion do Francji, półtora sta ledwie ludzi, rannych, w łachmanach, wlokących życia ostatek, przyprowadził—do Lyonu.

Zastęp ten zmniejszał się, topniał, ginał...

Karol, przebywszy z Dąbrowskim krwawe dni pod Trebnią, z resztkami starych towarzyszy łączył się, stając do boju pod Novi.

Tu znów rannym był, ale nawykły do tych pocałowań kul, związał nogę i nie chciał pójść na łóżko szpitalne...

W sierpniu z pierwszym batalionem przybył znużony do Genui... Od śmierci Darewskiego stał się on bardziej milczącym, posępniejszym niż kiedy, szedł wprawdzie i bił się walecznie, ale wszystko to, co się wkoło niego działo, mało się go zdawało obchodzić... Milczący, skinieniem głowy ledwie na pytania odpowiadał...

Skwar letni, pochód milczący, wyczerpały jego siły, oczy już nie chciały patrzeć na ten cudny amfiteatr gór, otaczających Superbę... znalazłszy trochę

cienia pod murem, rzucił tłumoczek swój i upadł, składając na nim głowę, nimby im wyznaczono kwatery.

Słońce sierpniowe piekło, pragnienie piersi paliło, bezsenność zamykała powieki, znużenie odbierało siłę nawet duchowi, budząc tylko żądzę spoczynku, choćby w śmierci.

Karol w tej chwili czuł się zobojętniałym na wszystko, wyczerpanym, zdało mu się, że dalej już pójść nie potrafi, że się z tego bruku, na którym leży, nie podniesie...

Wśród włoskiej wrzawy ulicznej, ryku osłów, niosących transporta, wisku złośliwych mułów, idących z bagażami, kłótni ludzi, bijących się z sobą i nieposłusznymi zwierzętami—stary żołnierz, śniąc o przeszłości, usypiał prawie pod ścianą... która go od piekących osłaniała promieni. Po nad nim milczące wznosiły się w starej swej chwale pałace i piętrzące kamienice, z których okien niekiedy wyglądała ostrożnie w białym rąbku, ciekawa twarz niewieścia, i spłoszona wzrokiem, uciekała...

W ciasnych uliczkach, pnących się wschodkami do góry, jak cienie przemykały się postacie uchodzących przed wojskami mieszkańców...

Ulice już zalegało wojsko, od strony cienia rzucano węzelki i znużone kości na ziemię... nie jeden jęk rannego dał się słyszeć wpośród wrzawy, ale i nie jeden śmiech wesoły... bo młodości nie trzeba więcej nad trochę cienia i jedno spojrzenie niewieście.

Zdała te czarne oczy palające, choć iskrzyły się dumą i nienawiścią, zdawały się palić innem uczuciem...

Żołnierz, co nie jadł od dwóch dni, posyłał dłońmi calusy do góry... i śmiał się, widząc odpowiadające im pięści białe Genuenek...

Gdy tak upadłszy, drzemie Karol na twardym bruku, szmer jakiś posłyszał nad sobą, mimowolnie ociężałe podniosły się powieki... Zdziwiony zobaczył tuż, o krok stojącą postać młodzieńczą, świeżą, uśmiechniętą... strojem i twarzą, jakby z Polski wykradzioną...

Było to chłopię w czarnej węgierce, w pasowej czapeczce, z rodzącym się wąsikiem na śmiejącej się wardze... Patrzalo na Karola, wlepiwszy weń wzrok, niepewne, drżące, zdziwione, z usty otwartymi, przez które wyraz jeszcze wyrwać się nie śmiał... Z wyciągniętymi już rękami stało; nie mogąc jeszcze wykrzyknąć, głos mu zamierał na wargach.

Nagle osłabły Karol porwał się, jakby go cudowna siła rzuciła.

— Tadzio!—zawołał—ty! tutaj! dziecko moje... Ty? a! byćże to może?

— A! stryj!—krzyknął, rzucając się ku niemu młody chłopiec—ja zaraz was poznałem...

Karol ścisnął go, zbladły i strwożony.

— Dziecko moje... coż się stało? Mogłżeś ty... opuścić matkę... O Boże!

Nie umiał dokończyć pytania, bo się już domyślał odpowiedzi.

— Matkę!—rzekł smutnie Tadeusz z cicha—stryju! ja już nie mam matki...

— Ewa nie żyje!—załamując ręce, bijąc się w czoło, odparł Karol i pochylił się na mur nie mogąc powiedzieć więcej.

Tadeusz stał, i jemu się łza w oku kręciła.

— Pisałem o tem do was...—rzekł w końcu—znać, żeście chyba listu mojego nie otrzymali... pisałem i o tem, że się do was do legionów dostać muszę... Czekalem odpowiedzi... niecierpliwość rosła... musiałem pójść... Spełniłem najgorętsze serca pragnienie. Stryju mój! ja przy tobie, pod twojem okiem walczyć będę...

Karol podniósł się, milczący ścisnął go i całował, żołnierze powstawali, przyglądając się im... Ten chłopak przynosił im woń kraju, cisnęli się do niego, chwyтали suknie, drżeli, łzy kręciły się w oczach. Jeden drugiemu szeptał:

— Z Polski przybywał!

Stary grenadyr z wolna wskazał mu na odartych, wynędzniałych towarzyszków... Znużeni, wyżółkli od trudów i chorób, rycerze ci wyglądali, jakby świeżo wyszli ze szpitala. Widok ich losu w istocie nie miał w sobie nic nęcącego... ale z pod tej nędzy patrzyło zahartowane męstwo, wzdarda niebezpieczeństwa, trudu, śmierci...

— Zdala—odezwał się Karol—inaczej ci się pewnie bohaterskie te legie wydawać i śnić musiały, patrz na tę rzeczywistość i powiedz mi, czy się o nią młode twe nie rozbijają zapały! Wytrwasz-że ty tu, gdzie my zahartowani padamy? Nie jest to wojsko wytworne, wypieszczone, które stoi, czeka, a w danej chwili, przy odgłosie trąb i biciu w kotły, na heroiczny bój się rzuca... myśmy żołnierze nocy i dnia, lata i zimy, z kolei pracujący bagnetem i rydlem... bez odzieży, bez magazynów, otoczeni krajem, w którym zasnąć bez nadzwyczajnej ostrożności nie możemy i studnie spotykamy zatrute... Bijemy się, nie jedząc po dni kilka, niepłatni, wysyłani tam, gdzie drogę trupami wyścielać potrzeba... Tadeuszu mój, tyś za młody i za słaby na nasze ciężkie życie.

— Ja! za młody! za słaby!—przerwał gwałtownie młody chłopak, prostując się—ale... mój stryju! ja mam więcej niż wy, bo młodość, która jest siłą niepokonaną... ja się niczego w świecie nie lękam, prócz, żebym nie zgnął w bezczynności. Byliście młodszy odemnie, wychodząc do konfederacji... nie! nie! ja tu już jestem i—zostanę...

— Czekaj... zachowaj się... tu nie dla ciebie miejsce...

Chłopak potrząsnął głową.

Żadnym z argumentów, użytych na pokonanie Tadeusza, nie było sposobu go powstrzymać, z całą gorączką młodości nie dawał mówić z sobą nie pozwalając się sprzeciwić, słuchać nie chciał.

Zaskoczony przez tego niespodzianego przybysza, Karol musiał się natychmiast udać do generała Dąbrowskiego, prosząc go o krótkie kilkodniowe uwolnienie od służby, aby miał czas obmyśleć pomieszczenie Tadeusza i wyekwipowanie. Sam także potrzebował przy nim wypocząć, gdyż stare rany ze znużenia i osłabienia drogą się pootwierały.

Karol dostał żądany urlop, dopókiy legion kwaterował w Genui i okolicy.

Nie potrwało to jednak długo, bo stanowiska nieustannie się zmieniały. Karol po ojcowsku zajął się wojskową wyprawą chłopca, który przybył z zapasem dostatecznym dla siebie i stryja z domu. Sprowadziła go Opatrzność, gdyż w tej służbie miesiącami żyło się bez żołdu, a starszyzna niemal cała o domowym groszu. Na składki, na pożyczki tym, którzy codzień ginęli i dług z sobą na drugi świat nieśli, wyczerpywały się prędko węzełki, Karol oddawna był na sucharze żołnierskim... Nikt o tem nawet nie wiedział, gdyż przywykły do najprostszych życia, surowszym był dla siebie niż dla drugich.

Przybycie Tadeusza, życie wspólne, uratowało Karola od wycieńczenia i choroby. Młody chłopak wygód wyłącznych nie przyjmował, zmuszał stryja do dzielenia ich z sobą i odżywił starego, pielęgnując go z synowską miłością...

Przez tych dni kilka, wypocząwszy na oglądaniu miasta, oplakującego dawną wielkość swoją, oko-

lic cudnie pięknych, a ludności nieco zdziżalej i niechętniej, spędziwszy wieczory na pogadankach, na znak dany ruszyli...

Przybycie wychowanka, syna tej kobiety, którą jedyną w życiu kochał Karol—wstrząsnęło całą jego duszą... Jak rany ciała, otwarły się zasklepione serca rany—lecz nie czas było myśleć o sobie i opłakiwać przeszłość. Tadeusz, przebywszy niebezpieczeństw tyle, by się dostać do upragnionej Italii, rwał się do wojska... trzeba było czuwać nad jego zapalem młodzieńczym.

Wojna była morderczą, położenie wojsk niezbyt szczęśliwe, trudy niezmiernie; wszystko to razem zmuszało starego wojaka być niańką troskliwą. Nie odpuszczając od boku swojego Tadeusza, musiał go uczyć, powstrzymywać, bronić, osłaniać.

Chłopak wprędce stał się ulubieńcem batalionu; młodość jego, zapal, dusza świeża, serce szlachetne otwierały mu ramiona towarzyszków.

Ale jemu ledwie nie ciężyły te pieszczoty, prawie się czuł niemi obrażonym, chcąc co najprędzej dosłużyć się równości u towarzyszków broni... Rwał się też w każdym spotkaniu, jak szalony, z tą zuchwałością młodzieńczą, która nie zna i nie rozumie niebezpieczeństwa... Karol dumny nim był, ale truchlał o niego.

Wistocie Tadeusz zasługiwał na miłość stryja i przyjaźń żołnierzy; chłopię to było, jakby stworzone na te czasy walk, hartowne, milczące, jak Karol, ale nieugięte.

W pierwszej małej utarczce forpoczt, Tadeusz został draśnięty przez dragona... od okrutnego cięcia, szabla Karola, Saracenka, go uchroniła.

A! jakże szczęśliwym był z tej rany! Nie poszedł do ambulansów i został w szeregach...

Nocą Karol siedział nad nim, chociaż najmniej szego nie było niebezpieczeństwa... staremu macierzyńskie łzy kręciły się na powiekach.

Poczęte dzieje legionów ciągnęły się tak jednym wybitnym torem — ciągle straty w szeregach zastępowali jeńcy z pulków austriackich, przybysze, ochotnicy z kraju, a stracone nadzieje odradzały się z każdą wyprawą, na nowo grzebane.

W drugiej bitwie pod Novi (1799, 24 Października) legie znów straciły wiele męznego żołnierza. Sam Dąbrowski ocalenie swe winien był Schillerowi.

Pod namiotem, w obozie, chwile wolne poświęcał czytaniu, miał tego dnia na piersi tom jeden trzydziestoletniej wojny. W chwili, gdy cięciem szabli obcinał lont, którym kanonier austriacki miał działo podpalić, wymierzone na nasze szeregi, kula karabinowa trafiła go w piersi i utkwiała w owym tomie Schillerowskiej historii.

Trudy były w istocie takie, jakimi je Karol Tadeuszowi przedstawiał: pochody nużące, bezsenne, w porze chłodnej i słotnej, w kraju ogołoconym, bez odzieży, bez zapasów... Karol je teraz wszakże znosił łatwiej, bo młode chłopię, stojące u jego boku, żywiło go swą młodością i zapalem. Legiony były w ruchu nieustannym, co dzień prawie w innym miejscu walczyć zmuszone lub przedzierać się przez góry i wąwozy... stać na morderczym ogniu nieruchomie lub rąbać do upadłego...

Nieraz jednego dnia opłakiwano stratę człowieka (Jabłonowski), a nazajutrz obchodzono odbicie z niewoli i podziwiano męstwo.

W jednej z tych utarczek zginął sławny swojego

czasu, nieszczęśliwy a wytrwały i nieustraszony żołnierz, Strzałkowski.

Wie to każdy z tych, co w ogniu bywali, jak różne są losy żołnierza, jeden, narażając się, wychodzi zawsze cało, drugiego ściga przeznaczenie dziwaczne, tnąc zawsze po głowie, innego po nogach lub w piersi mierząc mu nieustannie. Strzałkowski, służąc w wojsku polskim, później w legionach od ich zawiązku, był tak nieszczęśliwy, że byle wyszedł na plac, zawsze z raną powracał. Miał na sobie blizn tyle, w ilu był bitwach i potyczkach... Nareszcie śmierć, długo się z nim drażniąc, wzięła nieustraszonego żołnierza...

Na ostatek, po morderczej tej kampanii, legiony, których nie oszczędzano i które się same nie oszczędzały, narażając wszędzie, gdzie największe groziło niebezpieczeństwo — zdziesiątkowane zostały i przeredzone straszliwie.

Połowa polskiego żołnierza padła, reszta od chorób i ran ginęła powoli, liczba się codzień zmniejszała.

Jazdy nie było już nad sto wychudłych koni i zbiedzonych ludzi. Po lazaretach i zapaśnych kwaterach, karmieni pół-chlebem i polowiczną strawą, umierali z nędzy... musiano pomyśleć o nowej reorganizacji, którą wojna wprędce zdeorganizować znów miała.

Razem z innymi wysłano Karola i Tadeusza do Marsylii, gdzie polskie legiony z resztek i posiłków skupić się miały, łachmany swe zmienić na odzież nową i uzbroić.

Ale niedługo trwał potrzebny ten wypoczynek — wojna się rozpoczynała... legion spieszył, by w niej uczestniczyć. Część jego na stanowiskach nawet pozostała. Położenie wojsk francuskich róż-

wnie było rozpaczliwe i trudne, dzieliły one niedostatek posiłkowych pułków, ich trudy i głód... Honor sztandaru wymagał wytrwania, dodawał siły. Każde niepowodzenie, zamiast pokonać, drażniło i zapalało; musiano poniesione wetować straty.

Legiony, poślubiwszy sprawę honoru Francji, dotrwały jej wierne do końca.

Z tysięcy ochotnika naszego, ledwie po walkach ostatnich we wszystkich oddziałach liczono ośmiuset rozpierzchłych ludzi.

W lazarecie umierał każdy prawie, kto się do niego dostał... ale Marengo jasno wypisało się na kartach dziejów Francji.

Dnia 3 Października 1800 roku przybył Dąbrowski do Mediolanu, gdzie stały oba bataliony i ściągaly się resztki legij naszych. Marsylska z Wielhorskim podążyła tu także.

Całość przedstawiała się świetniej niż kiedy, bo ją przynajmniej odziano, uzbrojono i część żołdu wypłacono. Wśród szeregow, skupionych na nowo, żołnierz stary, wypróbowany, stał obok palącego zapalem ochotnika nowego. Starszyznę zdatną wyrobiły boje i doświadczenie, ta najlepsza szkoła żołnierza.

Przypływ jeńców polskich i zbiegów z wojsk austriackich, ochotnika z różnych części kraju, był tak wielki, iż zastęp znów podniósł się do pięciu tysięcy ludzi.

Chwila wypoczynku dozwalała odetchnąć i nabrać sił nowych, ale przewidywano, że to jest tylko rozjem, a walka nieskończoną. Obie strony nieprzeblagane zjadły się mierzyły mściwymi oczyma.

Najdzielniejsze serca i dłonie stały w szeregach z niewyczerpanym nigdy zapasem nadziei.

Tym ogniem ożywionych znajdujemy ich w walce pod Peschierą...

Karol i Tadeusz szli obok siebie w pierwszym batalionie, stając pod Sermione naprzeciw nieprzyjacielskich okopów, oparci o wybrzeże tego cudnego jeziora Garda, którego ciche wody stały się także teatrem wojny. Codzień prawie następowały utarczki... odnawiały się niespodzianie co godzina. W spotkaniu pod Peschierą, gdzie męstwa okazali Polacy, Plutowie oba walczyli razem z Grabińskim i Chłopickim. Męstwo ich liczniejszego nieprzyjaciela zmusiło do odwrotu od twierdzy. Dnia tego odcięto Sermione od Peschierzy... Austriacy napróżno zuchwałą wycieczką próbowali odzyskać utraconą pozycję, cofnąć się znów musieli. Ale nikt prawie z tego zajądłego boju nie wyszedł cało i walka była tem rozpaczliwsza, że siły nierówne. Stary konfederat i młody ochotnik wynieśli rany. Tadeusz ocalił życie stryjowi... Karol ochronił go kilkakroć, wyrabując ze środka nieprzyjacielskich kolumn, w które się zuchwale zapuścił...

Każdy niemal dzień tego oblężenia dostarczyłby treści do obrazu. Polacy, składający większą część sił francuskich, bili się mężnie, a znosili w przykrej porze roku trudy oblężnicze z wytrwałością, podziwu godną. Około Sermione dzień i noc bez odetchnienia trwał bój zacięty... musiano po stopie ziemię zdobywać, posuwać się, ściskać twierdzę, stać w ogniu, kopać pod strzałami, odpychać wycieczki, a bez ustanku być gotowym... Często pośród dnia, na gradzie kul, znużony żołnierz, padłszy na chwilę, usypiał, a śmierć przychodziła mu tak we śnie... błogosławiona i spokojna...

Ale wśród niebezpieczeństwa tego i czujności, gorączkowy obudzał się zapal, ta nieustanność boju przywiązywała do niego, nie dając sercu zastępnąć. Żołnierz rósł w prawdziwego bohatera, nie takiego mo-

że, jakim go malują dzieje greckie i rzymskie, ale jakim stworzyły go napoleońskie wojny krwawe...

Z pod Peschierzy legia poszła po zawieszeniu broni, zawartem w Trewizie (16 stycznia 1801 roku), strzedz Mantui, na lewym brzegu Mincio.

Stare chorągwie jej poszarpane były kulami w kawałki, musiano jej dać orły nowe...

Po zawarciu pokoju w Lunewilu (26 stycznia 1801), Dąbrowski wrócił do Medyolanu, inne bataliony rozesłano na stanowiska po Włoszech... Naddunajska legia Książewicza weszła także do Włoch. Z nią razem siły te poważny stanowiły zarodek armii, do piętnastu tysięcy ludzi.

Księga XII.

SAN DOMINGO.

Pierwszemu konsulowi biedni tułacze stali się naprzykrzonem świadectwem niespełnionych obietnic... Od pierwszej chwili, gdy niemal pogardliwie, ale szczerzy jeszcze w swej obojętności młody generał, przyjmował Dąbrowskiego i Wojczyńskiego — do dni konsulat, cesarstwa, aż do wygnania św. Heleny — nie zmieniły się jego przekonania, Bonaparte nigdy nie chciał Polski... ale często chciał mieć Polaków żołnierzy, a wyuczywszy się polityki... zbywał ich obietnicami... do których najmniejszej nie przywiązywał wagi.

W chwili, gdy już swą gwiazdę widział wschodzącą, naprzykrzonymi mu byli ci wierzycciele, chciał się ich pozbyć.

Wojsko to ożywiał stary, niepokonany duch republikański; sympatya Francyi dla nich była zaporą do zbliżenia się ku monarchicznej Europie, chwilowo pożądanego.

W ciszy osnuty plan wykonał się tajemniczo i energicznie.

Jednego dnia, niby na prośbę i niby w nagrodę za świetne czyny, ostatki legionów zaszczycono wcieleniem do wojsk rzeczypospolitej francuskiej.

Główny oddział otrzymał nowe nazwanie — sto trzynastej pół-brygady.

W początkach radość zaślepionych była wielka — ale krótka... Myśleli, że rzeczypospolita poślubiła w ten sposób uroczyście ich sprawę. — Porównanie z żołnierzem Francyi było polepszeniem ich losu.

Niestety — była to przewrotnie obrona droga do zniszczenia zastępu tego nieszczęśliwych tułaczów.

Karol przyjął wiadomość o tem podejrzliwie i smutno; trzymała go zwątpiałego tylko nadzieja powrotu do ojczyzny, a los młodego wychowanka nadto obchodził, aby z nim na nowe nieprzewidziane miał się narazić przygody.

Gdy resztkom ogłoszono dziennym rozkazem łaskawe wcielenie ich do wojsk francuskich — Pluta się zawahał...

— Słuchaj — rzekł wieczorem do Tadeusza... — tu już o nas mowy nie ma i rychło nie będzie. Mnie tu, czy tam kończyć... jedno, ale twoim obowiązkiem powracać do Skały... Pracując, czekać na mnie będziesz, a Bóg może zwlec się dozwoli.

— Tak! a wy? przerwał gorąco Tadeusz... a wy myślicie dalej iść i walczyć?

— Powiedźże mi, do czego bym ja się zdał, gdybym szablę porzucił?

— Mój stryju! mój ojcie! przerwał uparty chłopak — póki ty, póty ja... nie opuszczę cię, przysięgam, pójdziemy razem...

— A jeśli nas gdzie wyślą daleko?

— Tem lepiej! wszak ty dobrowolnie byłeś w Ameryce...

Karol ruszył ramionami.

— Ja — rzekł — o! to co innego! ty powracać musisz... Kto wie, może mnie śmierć nie zechce, wal-ka złamie, kalectwo zmusi szukać przytułku, dachu potrzebować będę... Ty mi tam izdebkę po Porembie przygotujesz w Skale... Jedź i czekaj...

Tadeusz ścisnął go, nic nie mówiąc.

— Powróćmy razem — rzekł po chwili. — Słuchaj, uparty stryju, albo ty powracasz ze mną, albo ja z tobą idę — masz z dwojga do wyboru... Jest jeszcze i trzecie, na co nie zezwolisz może... to żeby ty powrócił chaty naszej pilnować...

— Ale ba! zapewne! — obruszył się Karol — o tem mi nie mów.

— A ja od swego nie ustąpię — zawołał Tadeusz...

— Do jutra, pomyślimy, bo i ja ustępować nie chcę... Nazwałeś mnie upartym, jestem nim w istocie...

Na tem dnia tego skończyła się rozmowa.

Karola nic już nie obowiązywało iść z tymi rozbitkami... oprócz obawy powrotu do pustego domu, prócz tęsknicy, która mu Skałę straszną czyniła.

Dla Tadeusza obawiał się losów wojny, dalekiej może, których przewidzieć niepodobna, ran, niewoli... sterania. Dla siebie potrzebując trudu, lękał się go dla wychowanka.

Jak to pogodzić z sobą?

Nazajutrz Tadeusz stawiał się z płomienistemi oczyma, ale nim Karol począł rozmowę, oświadczył mu, że wybrał sobie stanowczo zawód wojskowy, że za mało nabył w nim doświadczenia we Włoszech, porzucić go nie chce, nie może, i błagał, aby mógł pozostać.

Mówiąc to, kląkł przed Karolem... złożył ręce, modlił się; oprzeć mu się nie było podobna... Stary milczał posepny i poważny, uściśnął go w końcu.

— Dziecko moje — odezwał się — bo cię tem imieniem miłość moja dla ciebie nazywać pozwala...

uczyni, o co proszę... powróć! Ja wróciwszy, zdechłbym z tęsknicy w tej ruinie... tobie tam uśmiecha się przyszłość. — Dla mnie Skalę zaludniają upiory, co resztę krwibę wysały... ja zostanę...

— I ja z tobą... — stanowczo wykrzyknął Tadeusz, uderzając się w piersi — ja z tobą — nie mówmy już o tem, rzecz skończona.

W milczeniu podali sobie dłonie.

Obu wpisano do 113 pół-brygady.

Los tak przekształconej legii był już postanowiony... ale dla wszystkich jeszcze tajemnicą okryty. Domyślano się go tylko... mówiono różnie, z zagadkowego milczenia wnosząc już było łatwo, że coś zagrażać musiało.

Nie zrozumiano nawet w początku, co znaczył rozkaz, natychmiast po wcieleniu ogłoszony, udania się do Livorno. Niektórzy już podszeptowali, że w porcie czekały okręty... ale z jakim przeznaczeniem?

Karol najlepiej rozumiał, że się legionu polskiego pozbywano... że go gdzieś zepchną daleko — ale dla niego tu, czy tam było obojętnem. Tadeusz cieszył się, mówiąc: — Im dalej, tem lepiej.

Jemu uśmiechało się niebezpieczeństwo, pociągało go, wabiło, na wzmiankę o nim podnosił głowę, rósł, oko mu się paliło, nozdrza rozdymały.

W rozkazie dziennym dalsze przeznaczenie brygady nie było wymienione... Tulon, Marsylia lub inne... miejsce, które wskazać miano. Niepewność ta kryła coś złowrogiego...

Marząc a zgadując, spiesznym marszem przybyli do Livorno.

Tu zaraz na wstępie dowiedzieli się, że w porcie stała korpeta wojenna i statki przewozowe, które eskortować miała.

Mówiono, że wojsko przechodziło pod zarząd ministerium marynarki i kolonij — co samo oznaczało, że ich tam odprawić miano.

Ale dokąd? myśl błakała się strwożona... Ci, co się tak cieszyli wcieleniem, chodzili przelekli, na wszystkich twarzach był wyraz bólesci i niepokoju...

Z Ankony przybył objąć zwierzchni zarząd i dowództwo Francuz Bernard, który nie miał ani współczucia dla Polski, ani najmniejszej znajomości narodu.

Pierwsze jego kroki i obejście się dowodziły mało pojętnego służbistę, bez czucia i wychowania.

Zaledwie wszedłszy do Livorno, oddział zrozumiał po środkach ostrożności, jakie przeciwko niemu rozwinięto, iż dostał się prawie do niewoli. Widocznem było, że się obawiano ze strony Polaków oporu, a to samo rodziło domysły, iż ich jakiś los straszliwy, groźny oczekiwał.

W nielitościwem tem, grubiańskiem obejściu się z gośćmi Francyi, co za nią krew przelewali — było coś oburzającego. Nieprzyjacieli nieinaczej postępowałby z jeńcem wojennym.

Trwoga i zgroza wzrastały.

Dookoła rozstawione wojska francuskie otaczały 113 pół-brygadę, którą spiesźnie rozbrojono i spieszniej jeszcze rozkazano jej wsiadać na okręty. Pośpiech jakiś gorączkowy, nieufny, towarzyszył tym przygotowaniom gwałtownym; w powietrzu czuć było postrach...

Mieszkańcy Livorno współczuciem i miłosierdziem otaczali wygnańców... domyślano się ich losu.

Warty, czaty... karabiny stały dookoła.

Z pomiędzy starszyny wojskowej już ktoś po cichu szepnął o San Domingo... wyraz ten, z ust do ust podawany, krążył po wojsku... Niektórzy wiedzieli, że San Domingo znaczyło — śmierć — klimat zabójczy, walka zjadła, wygnanie na drugi koniec świata...

W istocie dzikiem to było a okrutnem. Pierwszy konsul inaugurował swe rządy tem rzuceniem na śmierć ludzi, którzy mu zawadzali.

Karol nawet przestraszył się i chciał wycofać sam, byle Tadeusza ocalić, ale chłopak oburzył się i zaklął:

— Za nic w świecie! ja! Miałbym się ulęknąć niebezpieczeństwa... śmierci, morza, klimatu i głupiej jakiejś gorączki? — Nigdy! Idźmy!

Gdy się dowiedziano pewniej o przeznaczeniu 113 pół-brygady, powieści o nieszczęśliwych losach wojsk, wysłanych tam pod wodzą generała Leclerc, bujno krążyć zaczęły. Opowiadano o walce ze zbuntowanymi murzynami, jak o straszliwej tragedii, której koniec wątpliwym być nie mógł... Choroby, niedostatek, przewaga tłumów, ich zjadliwość, czyniły zwycięstwo niepodobnem.

Jasne było, dlaczego pierwszy konsul Polaków stał pod ten klimat dla nich groźny... idea cezarystu, tronu, dynastji, była już w powietrzu; — tą grzecznością dla głów ukorpnowanych wykupywał się wcześniej w ich grono, dawał porękę okiełznania republikanów.

Francja, stargana wysiłkiem i cierpieniem, zbyt była bezsilną, by za Polską odezwać się miała... milczała, a słowo jej cóżby naówczas znaczyło?

Wygnańcy patrzyli oniemieli na statki, w porcie stojące... liche, kupieckie, stare, potłuczone okręty przewozić ich miały. Marynarze potrzaskali głowami, gdyż kilka z nich widocznie dłuższej podróży wytrzymać nie mogło. Jeden jeszcze przechylony zatykano pakułami, oblewano smołą naprędcę. Majtkowie śmieli się z tej pogruchotanej łupiny, którą pierwszy wiatr silny mógł potrzaskać na kawały. Odkryte boki tej ruiny świeciły szczerbami, zielonemi

porosty, grubą warstwą morskich pasorzytów, które sobie na niej mieszkanie obrały...

Niektórzy oficerowie, szczególnie Kastus, którego kompania na ten statek zabierać się miała, starali się zwrócić uwagę Bernarda, ale ten ruszył ramionami; uśmiechnął się i ofuknął:

— Nie mam innego — rzekł.

Z twarzy czytać było można inną odpowiedź...

— Rozbije się! tem lepiej! mniej was będzie...

Na nalegania u generała Rivaud przebaknięto tylko, że te statki nie przewiozą ich daleko, że przygotowane są inne.

Obejście się Bernarda, umyślnie zapewne wybranych do tej egzekucji, było oburzające, ale legion niegdyś polski składał się z rozbrojonych jeńców, których lekceważono.

Bernard, któremu polskie nazwiska ciężko wymawiać przychodziło, zaraz w pierwszych dniach wniósł z cynizmem republikańskim, ażeby je potłomaczyć na francuskie i pochrzcić ten tłum bezimieniny na powo. Śmiech i oburzenie ledwie go od tego kroku powstrzymać mogły.

Kilku oficerów chciało wyjść za miasto... warty miały rozkazy, nie wypuszczono ich... powrócili oburzeni.

Dnia czternastego czerwca (1802 r.) Livorno przybrało niezwykłą fizyognomię, ulice pełne były ludu, na którego twarzach litość się malowała, wojska francuskie stały pod bronią, wyciągnięte szpalierami aż do portu. Na główniejszych placach działa nabite, kanonierowie z zapalonemi lontami.

W razie najmniejszego oporu wydany był rozkaz nieoszczędzania nikogo i wymordowania zbuntowanych.

Ale w tych nieszczęśliwych złamana była energia, przygaszone chwilowo uczucie — szli martwi, milczący skazańcy na śmierć z pokorą ofiary znużo-

nej a bezsilnej... Nie mieli broni... zdarto im mundury, wyglądali na tych więźniów portowych, na złoczyńców, których wiozą, aby im kulę przykuć do nogi.

Dzień chmurny był i parny, na horyzoncie szybko się zbierała burza groźna — kapitanowie statków nawet radzi byli odwlec wypłynięcie, odczuwano się do generała Rivaud... który nie pozwolił zwlec ani chwili... pilno mu było widzieć ich już na morzu...

Pomimo burzy, statki ruszyły...

Za portem już o groblę bily olbrzymie bałwany, fala podnosiła się, wicher miotał... czarne obłoki ścigały się, jakby kruki na pobojuwisko... flotylla wypłynęła...

Żegnaj włoska ziemio! Ile tam oczów ku lądowi się zwróciło z pożegnaniem, ku niebu z wyrzutem...

Grobla, wybrzeże, ulice jeszcze były pełne ludu, który ich żegnał, jak się żegna idących na śmierć... okrzykiem i łzami!

Zaledwie statki z portu wyszły nie bez trudności na pełne morze, wiatr w mgnieniu oka rozegnał je daleko... pochyliły się i kładąc na falach... nikły rozproszone

Z lądu Livornianie oburzeni, z włoską gorączką i niecierpliwością klęli tych, co na zgubę wysyłali bezlitośnie... znali się oni z wichrem i burzą...

Przepowiednie ziściły się w pełni — dwa tylko statki, które szły na ostatku, cudem napowrót potrafiły się wcisnąć do portu — reszta... stała się igrzyskiem burzy...

Trzy w kanale Piombino, około Elby, miotane prądem i wichrem, walczyły co chwila, zagrożone rozbiciem się o skały... Grecka owa lupina, na którą dwie kompanie wsadzono — pod San Vincenzo

przodem ciśnięta o skałę zgruchotaną została. Ze stu ośmdziesięciu ludzi trzecia ledwie część ocalała. Z oficerów jeden kapitan Kastus winien był żonie, że życie unieść potrafił. Odważna włoszka, obeznana z morzem, widząc niebezpieczeństwo, wcześniej chwyciła deskę i, podtrzymując męża, z nim razem na ląd wyrzuconą została.

Rozbitki z tego statku schronili się do Livorno, a mieszkańcy, oburzeni przeciw generałowi Rivaud, dowodzącemu w porcie, który zmusił flotyllę do wypłynięcia wśród burzy — okazali tem żywszą dla Polaków życzliwość, aby mu wzgardę i niechęć okazać.

Z czego się to czasem ludzka litość składa!

Biednych tulaczów rozdzielili pomiędzy siebie, zbierali składki, opatrzyli ich we wszystko...

Inne statki, zapędzone burzą ku brzegom Sardynii, walcząc z wichrem, dopiero czwartego dnia zebrały się na wybrzeżach Hiszpanii, około wysp Balearskich...

Niebo się nareszcie wypogadzało... okręty ścigały się wszystkie powoli.

Tadeusz tę pierwszą próbę żeglugi wytrzymał dzielnie, nie opuszczając pokładu, z dziecinną prawie ciekawością wpatrując się w dramat burzy — Karolowi przypomniła tę, która ich, zbliżających się do lądu w Ameryce, odegnęła od brzegów.

U przylądka Gates zerwała się druga nawałność; wiatr zachodni gwałtowny znów flotyllę rozproszył, pędząc ku brzegom Afryki — właśnie w chwili, gdy się do Gibraltaru zbliżała.

Jednego statku zabrakło, stracono go z oczów.

Nareszcie dnia 27 czerwca, czarująca, położona nad zatoką, ze swemi murami staremi i maurytańskimi gmachami, ukazała się Malaga... statki do portu zawinęły.

W chwili, gdy, znużeni dwiema wytrzymaniami burzami uczuli się żołnierze na spokojniejszych portu wodach — rozjaśniły się nieco chmurne oblicza... Dla wielu jednak ta ciężka próba kilkodniowa była ostateczną — czuli, że dalej nie pójdą.

Nienawykli do morza, schorowani, wszyscy się chcieli na ląd rzucić... tu im dłuższy obiecywano wypoczynek, a że dowódcy już się nie obawiali oporu i ucieczki, wolno się było żołnierzom rozpięchnąć po mieście.

Dla tych może tylko, którzy wzrok poili widokiem neapolitańskiego krateru, owej lazuruwej czary wśród gór zieleni ukrytej, lub znali genueński amfiteatr willi, piętrzących się na wyżynach u portu — Malaga mogła się wydać mniej piękną... Oku nienawyklemu do południowych wybrzeży morza — musiała być czarująca.

Żołnierze powitali w niej, jakby jeszcze Włoch wspomnienie — choć ziemia i mury już inne, wschodnie nosiły na sobie cechy. Maurów panowanie na twierdzy, gmachach, domostwach wyryte znać było... Skaliste wyniosłości, na których stoi Gibralfaro, w głąb uciekająca rajska dolina, port ożywiony statków, flag i ludu mnóstwem, wieżycie kościołów i klasztorów... wrzawa portowa — rozweseliły twarze... wróciły do życia...

Karol z Tadeuszem, wysiadłszy na ląd, wraz z innymi towarzyszami udali się na los szczęścia do starego miasta, szukając sobie gospody. — Młodemu te piętrzące się, pnące do góry uliczki, przypominały Genuę, w której stryja odszukał, gdzie nowe rozpoczął życie. Ale Malaga z domostwy o krytych balkonach, z fantastycznymi budowy, poczepianymi do boków gór, jak gniazda jaskółcze, jeszcze się mu wydawała piękniejszą.

Wchodzili właśnie na stare miasto, gdy najmniej spodziewany widok obu ich wstrzymał... Stąpali wszyscy, ukazując sobie zjawisko, które zdawało się tu... upiorem!

Naprzeciw nim szedł szybkim krokiem mężczyzna stary, którego żywy ów pochod zasapał i znużył widocznie; ubrany w stary strój polski, z konfederatką na głowie i karabelą u boku, oglądał się niepokojnie, spieszył wyraźnie, a spojrzawszy na twarze tylko, poznał, a raczej domyślił się Polaków i wołał już zdala:

— Czołem! panowie! czołem! Witam was... witam... jako reprezentant Rzeczypospolitej.

Zdumieni żołnierze nie wiedzieli, co odpowiedzieć.

— Jam tu ustanowiony przez króla Jmości Stanisława Augusta... konsulem w Maladze... i urząd mój dotychczas sprawuję, a sprawować nie przestanę, gdyż nieprawie władze odwołać mnie prawa nie mają!

Było w tem coś tak niezwykłego, tak dziwnego, iż Karol i inni stali, słuchali i nie wiedzieli, czy się uśmiechać, posądzali, że biedny starzec może nie zupełnie był przytomny.

Starzec zbliżył się, serdecznie witając przybywających — tyle lat języka swego nie słyszał!

— Kochanych ziomków a współobywateli — rzekł — pragnęłam i czuję moim obowiązkiem przyjąć i ugościć... ale licha nadało... żem się was ani spodziewał... któż mógł przewidzieć? Gospodyni wyjechała do krewnych na Vegę (dolinę) i wszystko pozamykała... ani od piwnicy, ani od kuchni, mości dobrodzieju, klucza... w domu nawet porządniesze pokoje do reprezentacji przeznaczone... zamknięte... moja tylko szczypta izdebka.

— Ale, szanowny panie — przerwał Karol — gdyby nawet były klucze, nas tu tyłu, żebyście wszystkich przyjąć nie mogli, a wybór trudny...

— Co acan dobrodziej myślisz, iż konsul polski ma tak szczupłe mieszkanko? — nie braknie mi apartamentów... Gdyby nie ta niegodziwa klucznica, która pojechała na Vegę!

Zdarzył się też na dobitkę w Grenadzie odpust, służba — jako to są ludzie pobożni ci Hiszpanie — do nogi mi wywędrowali, ledwie kuchta jeden pozostał. Nie myślcie państwo, że ja tu źle Rzeczpospolitą reprezentuję... Jest wszystko... ekwipaż, konie, służba, liberye... piwnica, ale się to porozłaziło... Lato! lato! odpusty... oktawa Ś. Jana...

Stary mówił żywo, usiłując wyrazom swym nadać cechę prawdy, ale sam strój dowodził, niestety, że ten konsul, którego kontusz i żupan paradny cały się rozpadał, musiał na dnie powszednie chodzić w płótnie, a nie miał pono nikogo, oprócz chłopca do posługi.

Tak było wistocie; Paprocki dosiadywał w Maladze, jak żołnierz zapomniany na straconym posterunku. Z pracy biednych rąk starych się utrzymywał.

Obraz ten zdaje się wymysłem... przecież jest historycznym i prawdziwym *).

Starzec żył tu już tak od lat kilkunastu, w największym ubóstwie, w nędzy prawie. Z kraju dawno go grosz nie dochodził, powoli sprzedawał wszystko, aż do ostatniej karabeli, bez której obejść się nie mógł; pożyczał, zarabiał, pisząc ukradkiem, ale nie zszedł z tego stanowiska, na którym mu interesów Rzeczypospolitej strzedz polecono.

Miesiąc cały stała tu 113 pół-brygada... Konsul odżył z niemi, pędząc dnie wpośród ludzi, z których wielu znał rodziny... Był on sam z krakowskiego, na pograniczu Szląska, nie obcą mu była

*) Pamiętniki niewydane B. Wierzbickiego.

Plutów rodzina i innych wiele. Dopóki Polacy pozostali w Maladze, codzień w paradnym polskim stroju asystował im... ale, na nieszczęście, owa klucznica i służba — nie powracali.

Mowy już o nich potem nie było. Ci, co odwiedzali Paprockiego, znajdowali go w ciasnej izdebce, zawsze w początku zajętego wyszukaniem kluczy od paradnych pokojów, które się nigdy nie znajdowały...

Uczynny konsul miał ochotę ciekawszych ze starszyzny powieść na mulach dla zwiedzenia o dzieś się tylko mil odległej ztąd Grenady, pokazać im owe sławne budowli maurytańskich szczątki — ale z dnia na dzień oczekiwała flotylla przyjaznego wiatru... potrzebnego do przebycia cieśniny... a spodziewając się go, nie wolno było nikomu po za obręb miasta się oddalać...

Nareszcie dnia 25 lipca zawiął ów wiatr pożądany — nie wszystkim! — który miał ich od Europy odegnąć...

Żagle się wzdęły, wyciągnięto kotwicę... barki powiozły ostatnich... żegnano Europę...

Staruszek długo stał sam jeden na grobli, a ze statków powiewano chustkami... aż wreszcie wszystko znikło za łożami.

Dzień był pogodny a jasny tak, że stojący na pokładzie widzieli dobrze Gibraltar i Algeiras z jednej, Ceutę z drugiej strony na zamglonym brzegu Afryki.

Z pomyślnym wiatrem dopłynęli tak do Kadyksu, gdzie na nich inne okręta czekały, przez konsulat francuski przygotowane. Tu jeszcze kilku z półbrygady zabrakło odwagi i sił do dalszej podróży — pozostali sami jedni w obcej stronie... znękani i chorzy...

Po kilku dniach wypoczynku 12 sierpnia flotylla wyszła pod żaglami z pomyślnym wiatrem.

Wkrótce lądy zniknęły z oczów. Dla tych, co pierwszy raz byli na pełnym morzu, widok przedstawiał się majestatyczny, cudowny... niezmierzone przestrzenie wód i niebo...

Miedzy Madeirą a wyspami Kanaryjskimi, dotykając Palmy, niosły ich wiatry dalej a dalej. Dni kilka przeszło szczęśliwie i dosyć wesoło... zapomniano nieco troski... ale niewygody podróży już się uczuć dawały. Skwar pierwszy dokuczać zaczął.

Na jeden dzień wszystko się rozweseliło — owym obrzędem chrztu podzwrotnikowego, od którego tylko Karol był wolnym.

Wieczór skończył się rumem, śpiewem i rozmową... Pogoda służyła, sterowano ku Antyllom i zdawało się, że podróż potrwa niedługo.

Ale w miarę posuwania się dalszego upału, zwłaszcza dla ludzi północy, coraz nieznosińszym się stawał. — Pokłady statków, rozpalone od słońca — gorzały — wewnątrz panował zaduch śmiertelny.

W tem, gdy już na dnie liczono resztę żegluga, dnia 20 sierpnia wypogodziło się niebo dziwnie jasno, przybrało barwę ołowianą, wiatr nagle opadać zaczął, żagle zwisły, morze, jak szyba szklana, wygładzone, stało się nieruchomem niebios zwierciadłem...

Marynarze jedni zrozumieli, co im zagrażało — *calme plat* — cisza morska, trupia, straszliwa cisza.

Ktokolwiek stał tak uwięziony rozpaczliwie wśród niezmiernych przestrzeni — dnie, tygodnie, miesiące, w oczekiwaniu najlżejszego powiewu, w rozpalonej otchłani, w której odetchnąć czem nie było — wie, jak okropną groźbą jest ta grobowa cisza śmierci.

Najgwałtowniejsza burza mniej jest w istocie straszną — a żadna w świecie nie może trwać tyle, co cisza... która czasem uwięzionych trzyma miesiące pod groźbą śmierci głodowej. Burza może rozbić, wyrzucić na skały lub mielizny, człowiek z nią walczy,

ma coś do czynienia dla obrony swej — nadzieję, ruch... życie... tu skamieniały zgon powolny...

Nikt na ratunek przybyć nie może... bo wszystko stoi spętane, lądy daleko... potrzeba czekać miłosierdzia losu i konać powoli.

Statki, jakkolwiek w żywność i wodę zaopatrzone, nie mogły przewidywać tej klęski i czasu straty — sucharów i wody mogło zabraknąć, woda już się od upałów psuła, stawała mulastą, cuchnącą, zieloną, robactwa pełną... oczyścić jej nie było podobna. Ledwie po kwarcie na całodzienną potrzebę człowieka jej dawano, a skwar był piekielny, a cisza i cisza... bez nadziei.

Na pokładach statków rozciągnięci chorzeli i umierali ludziska; spuszczano ich w morskie głębiny, a stado rekinów czatowało na pastwę... Otaczały one nieustannie flotyllę, podnosząc łby i wietrząc zdobycz...

Mimo tak widocznego niebezpieczeństwa, niepodobna było nawet grozą śmierci powstrzymać ludzi od kąpieli; rzucali się mimo zakazu w fale, zrozpaczeni cierpieniem. Jednych chwycił kurcz i tonęli, nim szalupy mogły na ratunek pośpieszyć, drugich chwytaly rekiny. Skwar i znużenie były tak straszne, że od kąpieli nikt nie mógł się powstrzymać, woda nęciła... Musiano ludzi stawiać na statkach i strzelać dla odpędzenia rekinów... a bronić przynajmniej, aby się nad kilka sążni nie oddalano.

Od 20 sierpnia do 1 września trwała ta niewola — odwaga się wyczerpywała; codzień spodziewano się powiewu, dzień po dniu upływał jednostajny... Nareszcie porankiem przeleciał powiew pożądany, podniosły się płótna obwisłe, głosy radośne zabrzmiały zewsząd... Wiatr! wiatr!

Zamarłe na wodzie statki zadrgały, zakolysały się... zwierciadło zmarszczyło — morze, jakby prze-

budzone, poruszać się zaczęło. — Wiatr! Flotylla z okrzykiem ruszyła się — ku Antyllom!

Już tego dnia spotykać zaczęto okręty kupieckie, z którymi witano się wołaniem, pytaniami, znakami — dostawano od nich wieści, sprawdzano morskie rachunki...

Żeglowano dzień i noc, starając się nagrodzić czas stracony — kapitan statku zapowiadał z uśmiechem zwyciężkim blizkie ukazanie się lądu.

Byli już na wysokości Antyllów, wody morskie powoli przybierały barwę odmienną, z powietrza załatywała jakby woń ziemi i zieleni... fale od dalekich lądów przynosiły ziele, które żeglarze zowią malowniczo winogronami morskimi... Polacy zwali je morską jemiolą... Chwymano pasma te, witając jak zwiastunów końca podróży... same czepiały się boków statku... kiedy niekiedy orzeł — Fregata, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, ukazywał się w powietrzu, opieszale żeglując... a zmordowany, zuchwale na maszty opadał.

Wreszcie dnia 10 października... ozwało się zewsząd ochocze:

— Ziemia! ziemia! Ludzie cisnęli się ku przodom statków, na mury ich, aby pożądany ląd zobaczyć.

Jak mgłą, z morza występowała Haiti — San Domingo, ze swemi pasmami gór, dzielącami ją na czworo, zielona, kwitnąca zdradliwie, piękna jak kosz zatrutej kwiecia.

Co chwila bliżej krążąc, ku zatoce Mancenillów, rozpoznawano kraj prawdziwie uroczym uśmiechnięty, okryty cały roślinnością bogatą, drzewy pnąciami się aż pod same góry szczyty... palmami...

Ale całe dwa dni jeszcze opływano wyspę, aż statki dosięgły zatoki Cap Français i tu zarzuciły kotwice.

W czasie podróży rozmowy toczyły się ciągle o dziejach tych kolonij; w Maladze i Kadyksie zaopatrzone się w kilka książek i gazety.

Nikomu też nie były obce wypadki tej wojny z czarnymi, którzy się dobijali — należnej im swobody.

Polacy, w imieniu Francyi, szli ich zakuwać w kajdany.

Imiona Toussaint-Louverture, Dessalin'a powtarzano, wiążąc do nich krążące o charakterze wodzów wieści.

Wszyscy wiedzieli, że walczyć będą ze zbuntowaną dziczą, a nie mogło pochlebiać żołnierzowi, iż w pomoc mu dodać miano psy zażarte.

Francuzi wszakże tłumaczyli tę wojnę szczepieniem cywilizacji na oceanie Atlantyckim.

Dla generała Leclerc, który z garścią już straszliwie zdziesiątkowanych wojsk opierał się tłumom — w sam czas nadchodziły posiłki. — Z dwudziestu tysięcy jego żołnierza nie została już ani połowa.

Część wprawdzie czarnej ludności przejednaną była i uległą, ale i tej trudno było zawierzyć, co chwila należało się obawiać zdrady i rzezi...

Każda godzina zwiększała niebezpieczeństwo, każde zwycięstwo zbuntowanych odbierało sprzymierzeńców, którzy się z nimi łączyli.

Dobiwszy się do przystani, napróżno żołnierze znużeni spoglądali na ten ląd tak uroczym zieleniejący przed ich oczyma — wysiąść im nie pozwolono. Dowódcy tylko popłynęli do generała Leclerc, a lud został w skwarze na pokładach. W kilka godzin za powrotem starszyzny dowiedziano się, iż pół-brygada miała być rozdzielona i natychmiast rozwieziona na przeznaczone jej stanowiska.

Pierwszy batalion, do którego oba należeli Plutowie, sam jeden wysiąść miał w Cap Français, inne

plynęły natychmiast do Môle St. Nicolas i Port-au-Prince. Statki zerwały się z kotwic; — schorowani od morza, znękani drogą i upalami, skazani musieli wyruszyć... Żegnali się i płakali niektórzy. Wielu z nich już się w życiu nigdy widzieć z sobą nie miało.

W Cap Français głównym oddziałem murzynów dowodził Clairvaux...

Zaledwie żołnierze mieli czas dotknąć stopą ziemi, orzeźwić się owocem, świeżą wodą, pokarmem — nim sen i wypoczynek sił dodały, w osiemnaście godzin po wylądowaniu iść trzeba było w pochód przeciwko zbuntowanym.

Niedaleko za palmowym lasem, w gąszczach, u stóp gór stał oddział powstańców. Wieczór zapadał, gdy wymaszerowano.

Oddział składał się z samych prawie murzynów, wiernych Francji (jak utrzymywano), i z Polaków.

Ale twarze tych przejednanych i posłusznych nie znamionowały nic dobrego; milczący, spoglądali dziko, a niekiedy uśmiech szyderski obnażał białe zęby, jakby na kannibalów ucztę zaostrome... Błysk ich oczów, posępne twarze, obudzały mimowolną obawę.

Polscy żołnierze, otoczeni tą zgrają daleko lichniejszą, nie mogli ukryć pewnego niepokoju. Zdawało się wszakże, iż Leclerc, nie będąc pewnym ich wierności, nie byłby wydał na łup świeżo nadeszłych posilków.

Całym oddziałem dowodził czarny, który znał kraj i kryjówki swych braci.

Ża miastem i twierdzą weszli zaraz w lasy i zarośla, gąszcze, które wśród nocy pochód czyniły niebezpiecznym. Wiedziano, iż zbuntowanych oddział

był niedaleko skupiony — nie wysłano przecie straży dla przekonania się, gdzie stali i dostania języka...

Pochód ten, któremu wśród nocy czarnej tylko gwiazdy przyświecały, trwał w milczeniu godzin kilka...

Nagle... dał się słyszeć okrzyk wielki, rozlegający się daleko, powtórzony przez gór echa... dziki... i straszny... wojsko stanęło... powtórzył się raz i drugi z coraz nową siłą, a murzyni odpowiedzieli nań jeszcze dzikszym i gwałtowniejszym.

Powstało zamieszanie jakieś, szeregi łamać się poczęły i ścisnąć...

Clairvaux i jego żołnierze parli się naprzód...

Gdy oficerowie skupiali bataliony i gotowali się już do boju... niepostrzeżenie prawie znaleźli się sami... część wojsk murzyńska, na ten głos bratni, sygnęła się niepohamowanym pędem ku swoim. Czy rzecz była umówioną, czy mimowolną — Polacy ujrzeli się nagle opuszczeni i w położeniu najniebezpieczniejszym.

Całe szeregi i kompanie czarnych nikły, tonąc w zaroślach, uciekały ku swoim... o zdradzie wątpić nie było można.

Rozpacz, ale dodająca odwagi i energii, opanowała tych ludzi, którzy ratować się nie widzieli prawie sposobu. Po za ścianą lasów, w głębinach okrytych nocą, wrzawa rosła, potężniała, stawiała się jakimś chorem radości, powitania i zemsty a boju razem.

Cała okolica zdawała się wrzaskom wtórować...

W położeniu tem, bądź co bądź, należało drogo okupić życie... i bronić się do ostatniego... Wśród ciemności stanęli w ścieśnionej kolumnie... oficerowie po krótkiej naradzie zakomenderowali do odwrotu.

W tej samej chwili, z tyłu, z boków, ćma czarnych nagle wypadła z gąszczy, rzuciła się gwałtownie

na oddział... Dano ognia i pierwszy ten nacisk odparto...

Noc coraz czarniejsza, powietrze duszne, wyziew lasów odorujący — kraj nieznany, tłumy, które z tyłu nalegały, nie dozwalały długich namysłów... iść trzeba było i bić się.

W tem położeniu nikt przytomności nie stracił, ramię do ramienia, jak jeden mąż, zrosła się kolumna i ruszyła krokiem żywym a pewnym.

O kilkanaście minut drogi była opustoszona osada i opuszczony kościółek.

Dowódzca batalionu, Wodziński, przypomniał sobie tę budowę i spieszenie ku niej zmierzać... Tłum murzynów słychać było w chrzęszczących gałęziach, następujący, jak stado żarłoczne. Niekiedy oczy błysły i strzał obalił człowieka.

Nareszcie czarne gęstwiny przerzedzać się zaczęły... palmy stały samotne... dzicy powstrzymali się chwilę, batalion przyspieszał kroku... w dali ciemniał już ów kościółek, do którego się schronić miano.

Gdy na skraju lasu pogoń wstrzymała się dla sformowania — a połączenie powstańców z tymi, którzy byli pod dowództwem Clairvaux... acz może przewidziane i ułożone, nie obeszło się bez narad, Wodziński miał czas dopaść kościółka i usiłował się w nim zabarykadować.

Z okien w mgnieniu porobiono strzelnice, a u drzwi zarzuconych deskami stanęli najdzielniejsi...

Nim się to dokonało, tłum murzynów, wypadłszy z lasu, biegł, stanął w polu, zdawał ustawiać się i naradzać... i począł widocznie dokoła kościółek osaczać... Ujść tej sile oblegających nie było sposobu...

W chwili, gdy się już walka rozpoczynać miała, na niebie świeciło brzaskiem... płowe światło poranka oblewało okolicę.

Przez okna widać było czerń powoli zdala

okrążającą kościół, rozbiegła szeroko... znoszono gałęzie, aby budowę otoczyć płomieniem.

Z lasów coraz nowe wysuwały się kolumny do szturm, śmielsi, z tyłu kościółka, czepiając się murów jego, gałęzi otaczających drzew, rękami wpijając w kamień, drapali się ku oknom.

Kiedy niekiedy śmiech i wrzask, którym sobie dodawali serca, rozległ się szeroko. Ale niemal straszniejsze nadeń było następujące po nim milczenie.

Wodziński postrzegł zaraz, że to chwilowe schronienie, które mu się zdawało jedyną ucieczką, na długie utrzymanie się przeciw tej tłuszczy posłużyć nie mogło i musiało stać się dla nich płomienistym stosem. Dzicy, mimo liczby, następowali nieśmiało... była nadzieja, że choć część oddziału przebojem wyjść potrafi.

Tu głód, płomień, wyczerpanie amunicji, zmusiłyby do poddania... rzeź byłaby niewątpliwą... rzeź i męczarnie pełne zwierzęcego okrucieństwa.

Wszyscy godzili się na to, aby iść dalej i ginąć w walce i polu...

Wylamano więc znów wrota zaparte, pierwsza garć wybiegła gotowa dać ognia, za nią batalion wysypał się cały, sformował w kwadrat... stanął... Ciżba murzynów, postrzegłszy wycieczkę, jak mrowie opasywała ją, krzycząc, podnosząc w górę pałki i strzelając luźnie...

Ale kule ich leciały daleko i mało która kogo dosięgła.

Iść trzeba było — bądź co bądź... Dano znak do marszu... ruszyli wolnym krokiem w porządku, odstrzelując się dopiero w chwili, gdy czarni nadbiegli blisko... Za każdym z tych strzałów padali gęsto na pastnicy, odkakiwał tłum... i po trupach powracał z podwojoną zjadłością...

Zimna krew Wodzińskiego i przytomność żoł-

nierza uratowała tę garść walecznych... Szli niepowstrzymani.

Gdy w szeregach kula trafiała którego, dźwigano go, podtrzymując, dopóki nie skonał.

Kiedy niekiedy po za kolumną zostawał leżący trup... a murzyni, jak mrowie, rzucali się nań, ciało rozrywając w kawałki, głowę odciętą wznosząc na kijach...

Widok był dla obytych z wojną nawet, przerażający grozą... kilku rannych jęczało, prosząc by ich dobilo... milczenie panowało w szeregach... przerywane tylko nabijaniem broni i strzałami...

Dzicz szła... mieniając się... po za tą straconą kolumną płynęła, jak czarny strumień z gór zielonych...

W tym boju wytrwałym posuwał się zastęp znękanych już, lecz rozgorączkowanych żołnierzy przez godzin kilka, przez kilka wieków. W pochodzie uczono się obrony...

Wystrzał rozpraszał dzikich, chwila ta dozwalała broń nabić na nowo...

Tak ścigany ciągle Wodziński, gdy się już obawiać począł wyczerpania amunicji i ogień zmniejszyć musiał, ukazała się jak wybawienie... twierdza Jeantot pod Français.

Odetchnęli lżej wszyscy, ocalenie choć części stawało się możliwym.

Czarni przypuścili zewsząd szturm gwałtowny, z tym wrzaskiem piekielnym, który dla nich jest też bronią... ale dano ognia i odepchnięto ich znowu...

Z twierdzy już ujrano kompanię broniącą się rozpaczliwie dziczy... i część załogi pospieszała na odsiecz...

Widok żołnierzy, obawa dział... nie dozwolili czarnym odrazu posunąć się gwałtowniej... Wodziński w chwili, gdy jego żołnierze padali ze znużenia, dostał się do bram twierdzy...

Strata tej nocy i dnia w zabitych i rannych — wynosiła stu kilkudziesięciu ludzi...

Takie było powitanie polskich rozbitków na San Domingo.

Od pół tej drogi — w pośrodku kolumny idący Tadeusz, sam w rękę lewą ranny kula — podtrzymywał Karola, któremu postrzał kość stopy u lewej nogi roztrzaskał. Oba wlekli się milczący, z zaciętymi ustami, poglądając na siebie... Młody żołnierz mało czuł ranę swoją, przewiązawszy ją silnie chustką — stary, przez miłość dla niego, starając się ból ukryć, szedł, choć mu oczy mgłą zachodziły, choć ślaniał się i padał, na nogę prawie stąpić nie mogąc... podpierał się strzelbą... Jeszcze godzina, a byłby padł na drodze i Tadeusz z nim, bo opuścić go nie chciał...

W Jeantot, ledwie przestąpiwszy próg bramy... Karol się zachwiał i pod murem padł bezsilny.

Zaniesiono go do szpitala... Tadeusz także był ranny...

Oddział schronił się cały... gdy czarni, którym żal było pastwy, co się im wymknęła — ośmieleni zapewne przez tych, którzy się z nimi połączyli, a znali dobrze słabość przytułku i szczupłość sił francuskich — całemi masami rzucili się ku twierdzy.

Znow ten wrzask dziki, okrzyk wojenny, podobny do wycia drapieżnego zwierza... rozległ się w dolinie... ale mu wystrzały z dział odpowiedziały...

Zostawiając Karola w rękach chirurga, Tadeusz z przewiazaną ledwie raną wybiegł na okopy... czuł, że tam wszyscy byli potrzebni... Gorączka boju go objęła, serce biło... zwycięstwo otrzymane egzaltowało... Karol nie mógł się temu sprzeciwić, a może obrachował, by nieuchronne odjęcie stopy odbyło się w niebytności Tadeusza... Pragnął żyć choć kaleką,

aby nad nim czuwać jeszcze, a jeśli można, ocalić go.

Clairvaux, który przed niewielu godzinami wyszedł z tej twierdzy, a znał każdy jej zakątek, wszystkie słabe strony — pewien był prawie zdobycia — dlatego, nie dając załódze czasu przygotowania się ku obronie, opasał ją natychmiast.

Murzyni byli w przemagającej liczbie, ale napaść ich nieporządna mogła być odepchnięta... Spychani, rażeni strzałami, darli się na okopy, trupy staczały się w fosy, a po ciałach ich pieł się drudzy... ale zajądłość słabła powoli.

Chociaż strzały kładły napastników, a liczba ich zawsze rosła... mniej śmiało biegli... Napaść jednak mogła być groźną przez liczbę samą, gdy Wodziński, który ledwie schronił się w mury, przedsięwziął śmiała wycieczkę.

Polacy rzucili się z nieustraszonem mężstwem w chwili, gdy czarni najmniej się tego spodziewali; oddział ich, morderczy sięjąc ogień, odrazu rzucił popłoch na tłumy.

Poparto ich ogniem działowym... czerń stanęła... widać było tę chwilę przełomu, która stanowi o losie walki... Nagle cała ta chmura rozkołysana rzuciła się w tył, zaczęła cofać i odpędzona, w największym niedłazie i popłochu pierzchnęła.

Cała równina pod twierdzą Jeantot przedstawiała wkrótce widok straszny, masy trupów czarnych... nagromadzonych kupami... rannych, którzy się wlekli, pełzając ku lasom... lub w wysileniach zgonu — konali.

Noc poczęła zapadać na ten obraz boju, który, choć skończył się zwycięstwem, dawał tylko wytchnienie...

Gdy Tadeusz powrócił do łóżka stryja, nadstawiając obręklą rękę chirurgowi, aby mu ją opatrzył... Karol zbladły wyciągnął mu dłoń i uśmiechnął się, oczyma rany jego szukając.

Zapomniał o swojej, ale Tadeusz ujrzał nogę objętą w leszczoty i bandażę... przy której stopy już brakło.

Karol jeśli miał żyć — został kaleką...

W losach ludzi to, co się im okrutną zdaje być karą, częstokroć jest ocaleniem — któż wie, czy te rany Plutów, otrzymane prawie na samym wstępie, nie ocaliły im życia?

Lazaret — choroba, były przynajmniej niejaką obroną od wpływów zabójczego klimatu, skwarów i chorób, które się z nich wyradzały.

W szpitalach tych nieco spokoju i starania trochę znaleźć było można. Ale na łózkach, które nigdy próżno nie stały, co dzień ktoś w oczach ich konał. — Gorączka rozszerzała się straszliwie, tak, że unikając zarazy, oba ranni wynieść się musieli do gospody w Cap Français.

Śmiertelność przybierała groźne znamiona moru — najsilniejsi, najzdrowsi padali niespodzianie pastwą żółtej gorączki i nie doczekawszy drugiej doby... w okrutnych męczarniach konali. Rzadko kto trzy dni cierpiał, choroba była piorunująca: niszczyła i zabijała w oczach... Człowiek zdrow wczoraj, bladł, padał, rozkładał się, wypalał... konał, nim z pomocą nadbieżono. Najmniejsza nieostrożność zabijała, największe ostrożności nie mogły ochronić.

Polacy szczególnie usposobieni byli do schwycenia zarazy — przejście nagle do gorętszego klimatu, znużenie, praca, głód, pragnienie — wystawiały ich na niebezpieczeństwo... zdawali się pastwą wybraną moru, ofiarą jego najmiłszą. Najmłodsi, najsilniejsi, najpewniejsi siebie... często wśród śpiwu i zabawy, uczuwszy głowę ciężką, bledli, żółkli... wlekli się do szpitala i marli w boleściach... jak niegdyś na tej sa-

mej wyspie, z tej samej choroby, towarzysze wyprawy Kolumba.

Miesiąc nie upłynął, a z tysiąca ludzi batalionu Wodzińskiego zostało—ośmdziesięciu.

Samo wrażenie, jakie wywierała śmierć, przyczyniało się do szerzenia klęski, nikt nie był pewien dnia... przebudzenia po śnie nocy... jutra... Dreszcz i gorączka porywały śpiącego, o świcie był już nad grobem... Żaden znak nie poprzedzał tego piorunu, nic go nie zwiastowało i nic ustrzedz nie mogło. Jak czarny kir postrach grozą obłókł pozostałych rozbitków—wszyscy czekali już tylko śmierci...

W takim stanie znajdowali się ci, którzy w Cap Français wylądowali, nie lepiej szczęściło się dwom innym batalionom. Drugiemu dowodził starszy Bolesta.

Część jego zostawiono na załodze w Môle St. Nicolas, na stanowisku ważnem, bo środkowem, panującym posiadłościom francuzkim. Reszta przyłączoną została tak samo, jak pierwszy batalion, do czarnej dywizyi generała Dessalines. Wyprawiono ich z pośpiechem wielkim na Gonayves.

Zdrada wszędzie już zarówno była uknuta i w ciszy przygotowana, powstańcy w zмовie z murzynami posłusznymi, czekali tylko sposobności połączenia się. Bandy ich umyślnie uchodziły, unikając walki, a Dessalines udawał, że je coraz głębiej w kraj ściga, przez lasy, rzeki i wąwozy. Na pozór okrutnik ten zdawał się najszczerzej pragnąć uspokojenia, działał energicznie, oswabdzając ze zbuntowanych część północną posiadłości od Môle St. Nicolas do St. Marc. Ale cały ten pochód był zdradliwą rachubą—liczył, kiedy ma się połączyć ze swoimi i wypowiedzieć posłuszeństwo.

Gdy wojska połączone przyszły do St. Marc, tejże nocy Dessalines, obawiając się być wydanym, uszedł pospiesznie ze wszystkimi prawie murzynami do powstańców pod dowództwem Christoph'a i młodego Louverture.

W pośpiechu, przez nieostrożność, czy nie dwierząc, lub wreszcie dla jakiejś rachuby dziwnej, zostawił za sobą oddział jeden, ze czterechset murzynów złożony...

Załoga była tak słaba, położenie rozpaczliwe, iż gdyby ci czterechset zdradzili, czego się co chwila spodziewać było można—ostatki wojsk padłyby ofiarą.

Na radzie wojennej wypadł na nich okrutny wyrok śmierci.

Generał Fressinet kazał ich otoczyć i wymordować do jednego. Nieszczęśliwy oddział Bolesty użytym był do tego katowskiego dzieła.

Jest może coś straszniejszego nad zgubę własną—to konieczność okrucieństwa, gdy serce mówi za miłosierdziem, a wzdryga się od krwi przelewu.

Polacy, zmuszeni do tego morderstwa... czuli się upokorzonymi i oburzonymi razem...

Po tej rzezi okrutnej okrwawionych żołnierzy przewieziono do Port-au-Prince.

Walka bez nadziei wygranej dla oręża francuskiego, w sprawie interesów, nie idei... nie rozgrzewała serca, była sromotną.

W Port-au-Prince gorączka miała się pomścić za morderstwo... z tysiąca... stu zaledwie zostało... sam Bolesta zginął z nią w Léoganne.

Wyrok, wydany na legion, spełniała *febris flava*.

Trzeci, najmniejszy oddział, z ludzi sześciuset, w tenże sposób stracił większą część żołnierza—mór, szerzący się po wyspie, nie oszczędził go.

Z trzech tysięcy siedmiuset tułaczów, żywych zostało się — trzystu... z półtorasta oficerów — czterdziestu...

Sto trzynasta pół-brygada rozbita... wcieloną została do innych pułków francuskich...

W mnogich z powstańcami potyczkach brani w niewolę Polacy padali ofiarą dzikiego okrucieństwa. Żywych, ująwszy w drewniane deski, pilowano na wolnym ogniu, obcinano, nie odbierając życia... brano ich w początku za Francuzów...

Ale murzyni nawet, dowiedziawszy się o losie polskich żołnierzy, ulitowali się później nad nimi, czując, że ich do tej walki zmuszono. — Wypuszczano na wolność jeńców, ze słowem współczucia — z poszanowaniem ich niedoli. Wszyscy społeczni poświadczają ten fakt — który się nam dziwnym nie zdaje.

W szpitalu, w Cap Français, leżał Karol, później w lichym domu miasteczka... Szczęśliwie Opatrzności zrządzenie obu ich cudownie ocaliło od gorączki, która codzień nowe porывała ofiary. Tadeusz winien to był opiece starego, doświadczonego człowieka...

Rana ciężka powoli się zablizniać zaczęła, Tadeusz także nie władnął dobrze lewą ręką, nosił ją na temblaku... ale lekarz zapewnił, że w niej siłę odzyska...

Oba smutni, przerażeni towarzyszów losem, wyglądali już tylko możliwości powrócenia do Europy — Karol, nawet mimo powolniejszego zablizniania się rany, nie chciał czekać na wyleczenie jej zupełne pod klimatem tak srogim dla ludzi północy. Pierwszy statek kupiecki, o którym w Port-au-Prince zasłyszano, mający zawinąć do Cap Français, nastęrczył im zrzeczność powrotu, któremu Leclerc nie mógł się sprzeciwić. Sam on wkrótce powracać miał na takim statku do Francji, ale w trumnie.

Pod jesień więc, w najniebezpieczniejszą chwilę żeglugi na Atlantyku, oba ranni nasi wsiedli na pokład statku Marya, dążącego do portu Bulońskiego. Wiózł on ładunek dziwny — kilku dogorywających ludzi, kilka wdów, trupa do grobu rodziny i niedobitków walki... której upadek przewidywano.

Żeglugę przerywaną burzami, niewygodną, długą, zniesiono cierpliwie w milczeniu — wracała ich Europie!

Na ostatek z nimi siadła i żółta febra, która wśród podróży zabrała swoje ofiary, co przed nią uciekać chciały.

A gdy znękani długą, nieskończoną żeglugą — wątpili już nawet, czy ocaleni być mogą... ukazał się gościnny brzeg Francji.

Nazajutrz statek przybijał do portu w Boulogne...

Dzieje tułactwa, rozproszonego po Maciejowcach — czyż na tem się skończyły?

Po całym Bożym świecie szli rozproszeni witani — kamieniem, szyderstwem, obojętnością i pogardą... spychani nędzą w pustynie.

Wysiadając w Boulogne, na dwóch mieli dwie niedogojone rany i jednego dukata w złocie; tyle ile było potrzeba, aby położyć się na twardym łóżku w gospodzie i myśleć, jak dożyć powrotu do domu.

Ale zaraz w porcie chłopię odarte dobyło z nich wyznanie, że byli Polacy...

— Polacy! Polacy! — powtórzył serdeczny ulicznik, chwytając węzełki — chodźcie za mną, ja was zaprowadzę do gospody, której właściciel zna waszego... Kościuszkę... posłuchajcie mnie, nie pożałujecie... pójdziemy pod Żółtą kotwicę, a pod nią są serca złote...

Chłopiec nalegał, nie mieli nic do wyboru, poszli za nim.

U progu już córka gospodarza, miłuchne dziewczę z uśmiechem na ustach różowych, plasnęło w ręce, gdy chłopiec, który ich poprzedzał, oznajmił, że idą Polacy... Zobaczywszy kalekę o kuli i zbladłą twarz młodego Tadeusza, przybiegła, witając i zapraszając... Podala ramię starszemu, młodemu uśmiech i wejrzenie orzeźwiające...

— Polacy! — powtarzała z radością — o! jakże ojciec rad wam będzie, on tak kocha Polaków... on znał Kościuszkę! wielkiego waszego Kościuszkę... ale zkądże jedziecie?

— Z San Domingo!

— A! z tak daleka! z drugiego świata, gdzie tyłu poginęło naszych!

— I naszych, moja panienko, wielu tam grób znalazło...

Westchnęło dziewczę, iza zakręciła się w oku.

— Jakże to dobrze! jak szczęśliwie, że Pietrek was tu do nas przyprowadził... Nigdzie, pewnieby nigdzie lepiej wam nie było, jak pod Złotą kotwicą, u starego Merlina... Wszakżem wam już mówiła, że ojciec znał Kościuszkę, który jest teraz w Paryżu...

— Kościusko! w Paryżu! — zawołał Karol — a! cóż to za szczęście!

Wtem nadbiegł i sam gospodarz, któremu już Pietrek z tryumfem doniósł, że mu przyprowadził Polaków... Zabierał się ich całować i ścisnąć... a spojrzawszy... zapłakał...

Za nim pospieszyła żona, okrąglą kobiecina, łamiąc ręce na widok kuli i wynędznienia swych gości. Wszyscy razem rozbierali tłumoczki, chcieli pogmacać na wschodki... cisnęli się, witali...

Było to serdeczne tego pocziwego ludu przyjęcie, który psują darmo od wieków mędrkowie, a pospuć dotąd nie mogą.

— Zacni moi, kochani ludzie — odezwał się Karol wzruszony do głębi — niech wam Bóg ten dowód współczucia dla nas nagrodzi... tak dawnośmy się z nim nie spotkali!

Lecz nim stąpimy na próg wasz gościnny, musimy wam wyznać szczerze... na nas dwóch, opędziwszy drogę i statek — mamy jednego dukata... Nim nam zasilek nadejdzie, dużo czasu upłynąć może...

Stary Merlin, żona, córka z oburzeniem zakrzyknęli:

— O mój Boże! za kogóż to nas macie! co mówicie! chodźcie tylko, chodźcie... podzielimy się z wami czem mamy, nie zabraknie ani chleba, ani grosza...

Przyjęcie było domowe, rodzinne, poufale, a troskliwości pełne, tak, iż skolatanym podróżą, w której ludzie kwaśnieją, a serca zasychają — wydało się Bożym darem i opieką.

Piękna twarzyczka Marietty rozjaśniała jeszcze uśmiechem, weselem, wdziękiem ubogą ale schludną gospodę. Po statku rajem im była.

Nadużyć takiej gościny serdecznej zdawało się Karolowi grzechem, tegoż dnia napisał do Kościuszki, a nazajutrz list drugi wyprowadził do Skały...

Na odpowiedź z Fontainebleu kilka dni dłużej było, ale z domu mogli jej czekać miesiące...

Tymczasem dach pocziwego Merlina przytulił ich pod Złotą Kotwicą.

W tydzień nadeszła odpowiedź Kościuszki i pieniądze na podróż do Paryża. Generał żądał od Karola, aby przybył choć na chwilę — chciał z ust jego dowiedzieć się o losach legionu, o którym dziwne a straszne krążyły wieści.

Merlin, żona jego i córka posmutnieli, gdy im oznajmił Karol, że do Paryża jechać muszą; na twarzach ich malował się żal prawdziwy, szczerzy, bo

w krótkim przeciągu czasu przywiązali się do smutnych gości. Marietta patrzyła przez łezki na Tadeusza i wzdychała. Merlin ścisnął Karola i gniewał się trochę na wielkiego Kościuszkę, że ich tak prędko mu odbierał.

— Mogliście posiedzieć tu, a spocząć do cieplejszych dni... — szeptał markotny.

Nic jednak nie pomogło, trzeba się było rozstać z poczciwą rodziną... Przeprowadzili ich wszyscy do dyliżansu, Marietta zapłakała, ściskając rękę Tadeusza, i długo ku nim wiewały białe ich chustki.

Podróż była powolną, bo ją Karol dla niedogojonej rany z wypoczynkami odbywać musiał. Przybyli wreszcie do Paryża, a Karol, co stolicę widział za rzeczypospolitej, zdumiał się zmianie nie miasta, ale ludu, który je napelniał.

Wszystko, co wielką rewolucję przypominać mogło, już było znikło, a owe wrzące tłumy sansculotów, owe zdziczałe tricoteusy, zastąpił tłum dobroduszny, który z zapalem sypał okłaski wojsku, wódzom i konsulowi.

Na czole Bonapartego już niewidzialna jaśniała cesarska korona... Francya uspokojona, do karności wojskowej nałamana, drżała z radości — i strachu.

O swobodzie ludów mówić już było nie w modzie, rozprawiano o sławie, tryumfach i laurach.

W chwili ich przybycia Francya była pod wrażeniem śmierci księcia d'Enghien i zgonu generała Pichegru. Europa czuła już tę dłoń, która jej wnętrzości krwawo rozedrzeć miała.

Zaledwie przenocowawszy w Paryżu, oba z Tadeuszem pośpieszyli do Fontainebleu.

W małej mieścinie, wśród lasów i zieleni, wpośród ciszy prawie wiejskiej, w domku ubogim znaleźli wodza...

Karol, spojrzawszy nań, od łez prawie wstrzymać się nie mógł.

Inny był to człowiek od tego, którego spotkał raz pierwszy w Trenton, inny, niż przed Maciejowicami.

Nie wiek, nie lata — cierpienia go złamały. Smutny, z twarzą pociemniałą, z oczyma jakby przysłoniętymi, wyszedł na ich spotkanie i uściśnął w uroczym jakimś milczeniu.

Wprowadził ich za sobą do małej izdebki.

W kącie jej stało jakby obozowe łóżeczko, z historyczną ową poduszką skórzaną i wyszarpaną kołderką wełnianą.

Nad niem wisiała, świeżo oddana mu przez Dąbrowskiego, Sobieskiego szabla — jeszcze we Włoszech odarta z klejnotów, co ją zdobiły; dalej rzędem kilka profilów, nakreślonych ołówkiem ręką Kościuszki, wspomnienia różnych lat życia, niebieska wstążka od krzyża Cyncynata, który zawiesił u obrazu Matki Boskiej w Dolholisce na Podlasiu, portret Jeffersona z rysunku Kościuszki, sztychowany przez Sokolnickiego, wizerunek Washingtona i Franklina... W mniejszych ramkach sylwetki kobiece i zeschłe kwiaty...

U okna widać było tokarnię. Na stoliku kilka książek, papier i ołówki.

Przez okno wyglądał ogródek, kwiatków wiosennych pelen, a gałęzie krzewów cisnęły się ze swą wonią aż do stolika...

Wierny swym przekonaniom, Kościuszko, mimo nęcących ofiar, mimo błagania przyjaciół, z prostoty i surowości życia republikańskiego wyjść nie chciał. Jak niegdyś w obozie żył barszczem i kaszą żołnierską, a sypiał na garści słomy z tą poduszką skórzaną, tak i tu nie chciał nic mieć, co by go zmiękczyć mogło, a na duszę podzielać — odwołując od spartańskich prostoty.

Ale smutniejszą nad izdebkę ubogą była twarz wodza, nosząca ślady przebolanych losów.

Gdy usiedli, spojrzali na Karola nogę.

— Dobiełeś się spoczynku — rzekł — Pan Bóg ci odjął nogę, żebyś przecie odpoczął — ale iluż was ztamtąd choć bez nóg powróci?

— Ilu? — odparł Karol — ze czterech niespełna tysięcy — może kilku, kilkunastu... gorączka zabrała jednych, murzyni drugich dobili.

Długo mówili o Polsce, o jej przyszłych losach, o cesarzu Pawle, dla którego Kościuszko miał szacunek i wdzięczność.

Karol i Tadeusz opowiadali mu potem o 113 pół-brygady losach na San Domingo, a Kościuszko oburzał się i płakał na to umyślne zatracenie garści ludzi, których winą było przywiązanie do ojczyzny.

Po cichu potem, oglądając się z obawą, rzekł Karolowi:

— Wiecie, pierwszy konsul i o mnie pomyślał—przypomniat sobie, że żyję... chciano mnie czemś zrobić, do czegoś wciągnąć, nastraszyć — zużyć.

Ale ja tu nie zostanę długo—dodał—pojadę z Zelterami do wolnej ich ojczyzny ubogiej, do Szwajcaryi. Dadzą mi przytułek ludzie poczciwi.

Widzisz—mówił ciągle zniżonym głosem—ja tu się już nawet głośniejszym przemówić boję... otoczony jestem niedobrymi ludźmi, strach i groza panują, wszystko ulegać musi...

Cały tak dzień na rozmowie i przechadzce po lesie Fontainebleu przebywszy z Kościuszką, wrócili do Paryża, obiecując sobie częściej go w czasie pobytu nawiedzać...

Pomimo chęci jak najprędszego dostania się do kraju, czekać musieli w Paryżu, aż im posiłki nadejdą. Oba z Tadeuszem milcząco włączyli się powoli, przy-

glądając zgoła nowemu miastu, nowemu ludowi, nowej epoce.

Raz, gdy tak powracali z za Sekwany, na Nowym Moście, owym historycznym pomniku z czasów, z których zostało się stolicy niewiele pamiątek, Karol, stąpając o kuli, postrzegł u słupa mostu siedzącego człowieka, wyglądającego na żebraka... Przy nim siedział pudel, bardzo misternie wystrzyżony... Przed obu wystawiona tabliczka drewniana oznajmiała przechodniom, iż artysta, oczekujący praktyki, podejmował się psiej toalety, strzyżenia, obcinania uszu i ogonów. Chcąc zbiedzonemu, a może głodnemu artyście rzucić grosz, Karol się przybliżył, ubogi podniósł oczy i załamawszy ręce, krzyknął po polsku.

— O Jezu miły! panicz! pan Karol... — W wyędniałej twarzy ledwie Pluta poznał Stacha. Ten patrzył na nogę i kulę.

— Bez nogi! — powtarzał z rozpaczą... — ustrzelili mu nogę! Mój pan! mój pan!

— A tyż, biedny Stachu — zszedłeś na most i strzyżenie pudłów? Gdzież dom, żona, gospodarstwo? Stach podniósł nań oczy zmęczone.

— Żona! niech już pan o babach nie mówi! poprzysięgłem, że do śmierci nienawidzieć je będę.

Opuściła mnie po roku pożycia—to nic jeszcze—ale z kim, proszę pana, z kim? z podłym kuglarzem, który noże polykał. Ale to prawda, że też chyba taki człowiek mógł ją przelknąć. Przed ślubem była jak baranek... a potem... potem! co się z niej zrobiło? myślałem że oszaleję...

To mówiąc Stach, wstawał i zabierał się z całym magazynem i pudłem pójść za dawnym panem.

— Panie mój drogi — zawołał — pan do domu powraca? prawda?

— Pojadę — odparł Karol...

— A! ojcie mój, dobrodzieju, zabierzże mnie

z sobą, będę świnie pał. Paryż mi siadł tu — kością... — I całował go po rękach...

— Dobrze... ale w Skale zatęsknisz za Paryżem...

— O! nie! co, nie to nie! o jedną tylko łaskę proszę, pozwól mi mojego pudła Bretona... wziąć z sobą... Jeden on mnie kocha na ziemi...

Po kilku tygodniach oczekiwania nadeszły listy z Krakowa do Tadeusza. Prawnik, któremu powierzył interesa, przysyłał pieniądze, winał powrotu... nic nie wspominając o Skale i domu.

Udali się raz jeszcze z pożegnaniem do Fontainebleau... Kościuszko błogosławił wracającym. — Czy ja kiedy tę ziemię jeszcze zobaczę i tem powietrzem odetchnę?

I żył im się kręciły w oczach.

Nazajutrz spieszenie ruszyli w podróż, a że droga wiodła ich na Drezno, znów spoczęli dzień w tej polskiej gospodzie, której żaden polski prawie tułacz nie minął. Kościuszko, Kollataj, Potocki, Niemcewicz, Wybicki, Ogiński... wszyscy się oparli o nieuniknione Drezno. Tu pod Złotym Aniołem, chlubiącym się wspomnieniem Schillera, Eliasza Tremo namówił Dąbrowskiego do przyjęcia dowództwa nad legionami. Wspomnień pełno było na każdym kroku. Elba wydawała się Wisłą siostrzycą.

Nie zatrzymując się, biegli do Skały... spoczywać...

I znów wiosennego poranka dwaj tułacze znaleźli się w cichej lipowej ulicy... Oba zażądali wysiąść i iść pieszo... jak pobożni pielgrzymi, z cichą na ustach modlitwą.

Cisza była w ulicy, cieniem okrytej i zarosłej; omszone figury kamienne stały na dawnych swych

miejskach, ptaszki świegotały w starych lip konarach... ale na drodze rosły trawy i chwasty...

Z pomiędzy gałęzi nie można jeszcze było dostrzedz dworu... wtem rozbiegły się lipy, z których kilka wiatr obalił, i otworem spojrzeli na stare gniazdo swoje...

Stanęli przerażeni.

Dworu nie było — sterczały z niego okopcone kominy, porozwalane ściany i gruzów kupy... Pożar przeszedł i stara siedziba z dymem i popiołem znikła...

Tadeusz łamał ręce... i dla niego była to kołębka pełna pamiątek... każda pięćdziesiątka ziemi nosiła wspomnienie.

— Bóg dał — Bóg wziął — rzekł nareszcie Karol z powagą, kładąc mu rękę na ramieniu — Wola Jego błogosławiona! Dach i przytułek znajdziemy, a pamiątki serce zachowa.

Szli już, nie spiesząc, milczący...

Zbliżywszy się, dopiero dostrzegli opustoszenie, zaniebanie tego niegdyś tak ożywionego kąta.

Dworu trzymała się ścian resztką... do pół obrosła chwastami i zielem; kilka drzew osmolonych, czarnych, jak skielety nad niemi sterczało. Podwórzec rozgrodzony, zarosły, w nieładzie dzikie zajęły gąszcz.

Parę chudych koni spętanych pasło się tu, jak na rozłogu... chora jakaś krówka, przywiązana do drzewa, gryzła trawę...

Ni znaku życia, ni żywej duszy... tylko to ptactwo, które słyszeł świegocące w lipach — unosiło się i tu szczebiocąc, jak nad grobami cmentarzów.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

CZĘŚĆ TRZECIA.

Księga XIII.

TWARZE SIĘ MIENIA.

Gdy starej rzeczypospolitej nie stało, rozbiła się i społeczność Polska w druzgi, rozleciała w okrucy; z jej szczątków tworzyły się próchna, a z próchna rosły nowe postacie.

Na dole najmniej uczuł wieśniak, że mu ojczyzny zabrakło, bo ojcowizny nie miał, jeno pożyczoną — a choć on nie gospodarzył w Polsce — i był w niej gdyby gościem najemnym — kochał przecież nałogiem to, z czem się wiekami żył, wiekuiłą biedę swoją i dwór stary, z którym wiele dzielił losów, i tych panów, których buta wesoła czasem mu serce rozweseliła a czasem smuciła, i kościół, do którego na odpust chadzał i króla swojego, o którym zdala zasłyszał, że był koronowanym szlachcicem. Gdy król, pan, szlachcie znikać a mienić się poczęli, westchnął nawet wieśniak, jak się wzdycha, idąc za obojętnym

pogrzebem — bo trumna wszelka ma smutek w sobie. Ale w chacie, na polu, w pracy, nawet w nabożeństwie mało mu się zmieniło...

W zapłatę za wiele smutku przyszło trochę spokoju, wojny przycichły, wrzawy ustały. Sejmikom było dosyć — cisza zaległa kraj... ale też i spać mu się chciało, był zmęczony...

Inaczej w szlacheckim dworze i dworku — tu pan stał się podwładnym, wielkiej rozrostłej bucie wiekowej dzień strasznego sądu żelazną położył tamę.

Panowanie dawne ograniczyć się musiało w ciasnem kółku własnej wioski.

Po karnawale XVIII. w. popielec XIX! Zaprządź się potrzeba było do pracy twardej, do której ani ręce, ani głowa nie były sposobne.

Zagrzały się serca raz i drugi obietnicami Napoleona. Po pruskiej pustce polskiej, w której cicho było jak w grobie i jak w grobie zimno, przyszło Księstwo Warszawskie...

A serca wciąż były — nadzieją, nadzieja wiała zewsząd, byle wiatr, ludzie czekali bawiąc się z założonemi rękami, mówiąc po cichu wiele, robiąc głośno a mało...

Polacy wymierali powoli... Zostało trochę pobocinanych Kościuszkowskich żołnierzy, trochę ogłuchłych konfederatów, trochę zblakłych kontuszów, chodzących modlić się na groby i trochę matek świętych a bezdzietnych.

Z onej szlachty panującej, co na sejmach szumiała, nie było już nikogo...

Nowe pokolenia zrodziły się, wypastowane wspomnieniami, żałami, nadziejami — ale już zesłabłe...

W górze nie zmieniło się nic. Ci, co nawykli byli do europejskiego świata, weszli wien z prawami obywatelstwa, nie stracili nic. Szambelanowie króla

zostali łatwo podkomorzymi, generałowie rzeczypospolitej przywdziali inne mundury... hrabiowie pojechali do Wiednia, z kąd były rodem ich hrabstwa, książęta do Włoch, bo tam księstwa rosły dziko jak pomarańcze drzewa, baronowie do Prus... a ci, którym tytułów na wychodnem zabrakło, jak kapeluszów przy wyjściu z reduty — aby się od tłumu wyróżnić i nie wynieść z gołą głową, pobrali tytuły z grzecznych kopert królewskich... kancelarye nie śniły o tem, że obcięte ćwiartki ich miały starczyć za patenta...

Tam też w górze nie płakano bardzo, choć wzdychano z początku, nowi panowie kraju byli starzy znajomi... a na łyż nie ma czasu... bo się trzeba bawić i śmiać się. W Wiedniu zaręczano, że tytuły poszanują i nowe dadzą, w Prusach wpajano chlubę należenia do tak wielkiego narodu, który po całym świecie w tłumokach mydło i kulturę roznosił!

Zresztą arystokracja całego świata jest, była i będzie niby jedną wielką rodziną... mówi, jednym, swoim językiem, ma swój obyczaj powszechny... choruje na jedne słabości. Niewiele zamknęło się w pałacach po wioskach, z jermiaszową boleścią w sercu — to byli wybrani — ojcowie narodu, ci zmarli na kurulskich krzesłach swoich... ale tych policzyć można.

Tymczasem wokoło wszystko się zmieniło powoli — klasztor zarysował się i runął, kościół opustoszał i zubożał, mnich modląc się skonał, miasta się popaliły, dwór okrył słomą, pałace opadły z marmurów... na polu tylko zieleniały potem podlane kłosa i śpiewały w krzewach słowiki, dopóki ich do Niemiec nie powywożono...

Na zgłiszczach spalonego dworu w Skale po powrocie rozbitków zbudowano naprzód naprędcę dworek, w którymby się przytulić i burzy resztę

przetrwąć było można, a siedząc u komina, gwarzyć o starych wspomnieniach.

Karol, stargany na siłach, wrócił tu z pokojem duszy, ale z tym, co zwiastuje w starości zbliżanie się ku krainie wiekuistego spoczynku. Tadeusz przybiegł z namiętną radością oglądania — ojczyzny... Dla Karola był to już tylko cmentarz złudzeń i nadziei. — Tadeusz, co się z niej wyrwał w świat młodzieuchnym, dziecięciem prawie, dopiero teraz słodczy domu, wsi, mienia i gospodarzenia wedle fantazyi obiecywał sobie używać.

Oba znaleźli naówczas w Polsce ten pokój martwy, jakim śpi mąż, co po walce długiej rzucił się na ziemię.

Dla Karola Polska była pustką — dla Tadzia ogrodem, rajem... Widział cudniejsze strony, czary klimatów szczęśliwych, a przecież tu mu było najmilej — tu łzawo się czuł szczęśliwym... tu był — dom! Ten smętny krajobraz, opasany lasami, stokroć mu się wydawał cudniejszym nad wspomnienia Włoch i drugiego świata.

Jedną z pierwszych wycieczek Karola były odwiedziny cmentarza — poszedł obejrzyć ten swój grób stary, do którego żyw powracał...

Zastał go opuszczonym, zarosłym, potrzaskanym... Klimat niszczący okrył go wczesną pleśnią, wyżarł kamienie, pościierał napisy... Toż samo się stało z rodziców i dziada grobami.

Żywa pamięć o nich, miłość dla nich dziwnie odbijała od grobowców potrzaskanych... cienie żyły... mogiły poumierały.

— Trzeba to wszystko poodnawiać — rzekł Karol — naprzód tamte... a mój na ostatku. Szczęściem, mam gotowy przytułek, aż nadto na kości moje wspaniały... dziśbym ją nie chciał, a tybyś nie mógł takiego postawić... Ale — przez posłuszeństwo synowskie trzeba się w tej tumbie położyć...

Powrócili do domu, było się krzątać koło czego, bo wszystko, jak groby, leżało w ruinach.

Jeśli się co zmieniło w Polsce, to nie starodawna gościnność nasza.

Można sobie wystawić, jak tych rozbitków, o których chodziły już mnogie legendy — przyjęto serdecznie.

Choć w okolicy Skąty nie było z dawnych przyjaciół nikogo, ale nowi znali przybylców z powieści, kochali na wiarę — po dworach z pokolenia w pokolenie przechowały się o nich wspomnienia... więc kto żyw, cisnął się zobaczyć... Nieznani byli przyjaciółmi gotowymi... Wszystko, co żyło, przybiegło witać ocalonych rozbitków.

W kilka lat po powrocie do Skąty barski żołnierz i legionista siedział milczący, osłabły, sparaliżowany, pół żyw w krześle u komina... rzadko się słowem odzywając do ludzi — rozmawiał tylko tęskny z duchami przeszłości.

Wcale inaczej było z Tadzim, który przyniósł z sobą cały zapas niezużytej młodości. Nawykły do czynnego życia, jął się żywo dźwigać ruiny i co padło, podnosić.

Ledwie się otrząsłszy z kłopotów, pomyślał o postawieniu nowego dworu w Skale... Karol chciałby był mieć go takim, jak był ów stary dworzec dzia-dowski... ale i grzyz już ziemia pojadała.

Tadzio tyle pięknych rzeczy widział za granicą — jakże tu było nie zamarzyć, by sobie cacko gniazdko wystawić?

I przychodził do starego, przybranego ojca z coraz nowemi projektami parku, willi, pałacyku... a Karol, popatrzywszy nań, posłuchawszy, całował w czo-

ło, ścisnął milczący, nie mówił nic lub czasem: — Rób, jak ci do smaku!

W planie był tam i pokój dla starego, zaciszny, z kominem, od słonka... Na tę utopię Karol potrząsł głową, szepecząc niedosłyszczanym głosem: Czy mnie to tego potrzeba... albo ja tu długo z wami!

Jakoż sprawdzili się przeczucia. Barszczanin siadł jednego dnia wieczorem, zadumał się, zapłakał, a nazajutrz rano uczuł się słabym i z łóżka już nie powstał. Było mu źle, ciężko... w uszach tętniała śmierć... Tadeusz płakał.

— Dajże tym łzom pokój — ozwał się, cisnąc rękę jego Karol — nie męska rzecz kwilić... nie polska zazdrościć tym, co umierają. Duch mój zostanie przy tobie... a kiedyś zejdziemy się tam... gdzie wszyscy na wieki się schodzą...

Mężnie dogorywał żołnierz, patrząc przez okno otwarte na zielony świat Boży... Ołowiany sen padł wreszcie na czaszkę i oczy mu zamknął na wieki. Zmarł tak uśmiechnięty, z głową spuszczoną na pierś, z błogim wyrazem na wyżółkłym licu...

Przy nadzwyczajnym tłoku ludu odbył się pogrzeb wspaniały — odprowadzono zwłoki do starego już, czekaniem zniszczonego grobu, jak do domu, który go zamknął na wieczny spoczynek.

Tadeusz opłakał pustkę... posmutniał, uczuł się boleśnie samotnym... przemęczył się parę miesięcy na wsi, aż go przyjaciele prawie gwałtem wyciągnęli dla rozerwania się do Warszawy...

Tadeusz był w kwiecie wieku, młody jeszcze, choć już świetnemi wspomnieniami okryty, życiem wykształcony i niezmiernie wszystkim sympatyczny. Nowe stosunki nieznacznie pociągnęły go w świat nowy. Tadeusz stał się pożądanym w najpierwszych

domach stolicy, które sercami były jeszcze polskie, choć usty, formą już kosmopolityczne i francuskie.

Napoleońska epoka w całej niemal Europie, a u nas więcej niż gdzie indziej, wpływ obyczaju i języka Francji rozpowszechniała.

Wszystko, co się zwało dobrze wychowaniem, tchnęło francuszczyzną, mówiło wyłącznie prawie tym językiem, używało go, jak rodzinnego. Tadeusz mówił nim, jak Francuz, w salonie więc ówczesnym znalazł się, jak w domu.

Zaraz po przybyciu do Warszawy, zaledwie parę lepszych mając znajomości, obcy jeszcze, pochwycony został i wciągnięty w wir zabaw i rozrywek, które u nas, nawet w najboleśniejszych epokach, bywały zawsze potrzebą jakąś, pragnieniem, a często dochodziły do szalu.

Wyrzucamy nieraz nędzarzom, że się upijają wódką, my także upialiśmy się nieraz tańcem, swawolą, szaleem...

Stosunek jakiś dawny, łączący rodziny węzłem, który u nas szanowany był dawniej święcie — zbliżył Tadeusza do domu Wojewodzica...

Wojewodzie, *nomina sunt odiosa*, był człowiekiem największego świata, ale obcował i z małym, w tradycjach domu było utrzymanie popularności. Rodzina zresztą z ojca w syna utrzymywała się w stosunkach jak najświetniejszych, z najpierwszemi i najbardziej wpływowemi domy i osobistościami w kraju i za granicą. Wojewodzie sam był jak najlepiej widzianym w Petersburgu, w Wiedniu, w Berlinie, w Paryżu, co mu nie przeszkadzało być gorącym patriotą, teoretycznie, w ciśnieńszem kółku ludzi dyskretnych.

Mówił wszystkiemi językami doskonale, stworzonym był do salonowego i dworskiego życia, charakter miał łagodny, uprzejmość pańską, majątek znaczny, przekonanie polityczne niezbyt wybitne i do-

zwalające mu prawie ze wszystkimi być dobrze, trochę łagodnego sceptycyzmu, wiele pobożania, nieco obojętności czyniły go ulubieńcem ówczesnej społeczności.

Sama pani z domu — Francuzka, spokrewniona przez rodzinę z kilku familiami znacznymi, mająca pełno kuzynów w Wiedniu i Paryżu, trochę po całym świecie, jeszcze bardziej kosmopolityczną barwę nadawała salonowi i towarzystwu, co ją otaczało. Spotykali się tu wszyscy, jak na gruncie neutralnym, a chociaż czasem starły się żywioły wprost sobie przeciwne i nieprzyjazne — umiano je tak zręcznie postawić, że częściej przejednały się chwilowo niż zwaśniły.

Oddawano też tu równą cześć bohaterstwu wszelkiemu i sławie, Blücherom i Wellingtonom, Napoleonowi i Kutuzowym, Barclayom i ks. Józefowi — a zatem laurem młodego legionisty zarówno, jak szlifom generałów rosyjskich, legionom honorowym napoleońskich żołnierzy i gwiazdom rodem z naddunajskiej stolicy. Sama pani znalazła dla każdego słówko pochlebne, wyważone tak, by nikogo z obecnych nie raziło rykoszetem.

Tadeusz na wsi, spragniony towarzystwa — uczuł się tu, jakby w raju... żył... Wistocie pierwsze zetknięcie się z tym świetnym światem salonowym zawsze jest pełnem uroku. Gdyby on był rzeczywiście tym, jakim się być zdaje na pierwsze wejście, tą słodyczą, miłością, pobożaniem, dobrocią, wonią i blaskiem, w jaki się na zewnątrz przyodziewał! Każdego zrazu olśni ten wdziek formy tak miłej, tak powabnej, tak pociągającej; to pokrycie umiejętnie wszytkiego, co razi, co w życiu jest dysonansem, dysharmonią, przykrością.

Trzeba dodać, że pani domu miała przy sobie zwykłe kilka mniej więcej majątnych, ale bardzo powabnych kuzynek blizkich i dalszych do umieszcze-

nia, a o Tadeuszu wiadano, że był nieżonatym, dosyć majątnym *et très comme il faut*.

Mogło się to znacznie przyczyniać do tak uprzejmego przyjęcia przez wojewodnicową i gospodarza. Ten trzeciego zaraz dnia odwiedził Tadeusza, zaprosił go na obiad *en petit comité (cravatte noire)* i przypomniawszy koligację, zalecił się, jako wielce na usługi gotowy i przychylny kuzynek. Spragnionemu życia, ludzi, towarzystwa niewieściego, tego rodzaju pokusie oprzeć się było trudno.

Na ów obiad proszony, oprócz domowych i paru osób troskliwie do barwy gościa dobranych (między innymi sławnego pułkownika Hebanowskiego; w takim dobieraniu gospodyni taktem i umiejętnością celowała) — nie wezwano więcej nikogo. — Szczególną ozdobą były dwie rodzone siostrzenice pani wojewodnicowej, panna Olga i Natalia hrabianki... Nosiły one imiona rodziny, o której narodowości wyzrec było trudno; mogła ona być polsko-niemiecką, holenderską, angielską, szwedzką...

Panny były wychowane w Smolnym Monasterze, mówiły doskonale po francusku, rozmowa toczyła się tu przeważnie w tym języku, z powodu częstych cudzoziemców.

Piękna, wyniosłego wzrostu blondynka, z cudnemi, omdlałemi, niebieskimi oczyma, ze złocistym warkoczem, budzącym uwielbienie, otaczającym skronie i w puklach spadającym na białe, przesłizne ramiona, panna Natalia... oświadczyła Tadeuszem... Okazywała mu szczególną uprzejmość, sympatyę i jak gdyby świeżo studyowała te kraje, o których z nim mówiła, jakby się nauczyła wypadków, w których miał udział, odzywała się o nich z zadziwiającą świadomością. Zasiadła, czy posadzono ją obok niego przy stole, zajęła się nim wyłącznie w czasie obiadu, okazywała mu sympatyę gorącą, a przytem dowiodła umysłu tak wykształconego, tyle naturalnego dowci-

pu, uczucia, serca, wdzięku — iż legionista wstał oczarowany, podbity. — Nie wiedział, jak mu przeszedł ten obiad, nie pamiętał, czy kto więcej siedział u stołu, zdawało mu się, że nie było tam więcej nikogo, oprócz ich dwojga. Po obiedzie, gdy szczęśliwe sąsiedztwo na chwilę się rozzerwać musiało, nie wiedzieć jak wkrótce potem znaleźli się, panna Natalia i Tadeusz, niepojętym sposobem obok siebie. Opowiadał jej jeszcze dosyć długo o San Domingo, o Włoszech i nie rychło opatrzył się, że gospodarzy zaniedbał, że się stał niegrzecznym, że mu wypadało z tego snu nazbyt młodego przebudzić się nareszcie.

Uchybienie to jednak nie zostało mu wcale za złe wziętem, owszem, gospodyni i gospodarz rozstali się z nim jak najczulej, zapraszając, aby dom ich za pokrewny i poufaly uważał.

Powróciwszy dopiero do Gerlacha, biedny wojak uczynił rachunek sumienia z samym sobą i postrzegł, że był w niebezpieczeństwie zakochania się w niebieskich oczach, złotych włosach i białych ramionach. Zgromił się srodze za to niespodzianie znalezione w sobie uczucie, ale począł rozważać, coby w następstwie mogło z niego wyniknąć.

Juz po pierwszych dniach krąg znajomości Tadeusza był dosyć obszerny, przypominały się różne odwieczne stosunki, pozawiazywały liczne nowe. — Szczególną przyjaźnią zaszczycał go, wspomniany już, znany naówczas całej Warszawie, dymisjonowany pułkownik wojsk Napoleońskich, Hebanowski, okryty krzyżami, sławny z nieustraszonego mężstwa, który w jednej z bitw wielkich stracił był rękę i powrócił do kraju okryty laurami, popularnością, szacunkiem... zachwycając swym dowcipem nieco żołnierskim, a przecie dobrego tonu.

Hebanowski celował szczególnie w opowiadaniu anegdot z czasów cesarstwa, pamięć miał nadzwyczajną i talent takiego zręcznego obwijania rzeczy drażliwych, iż z jego ust, wychodząc, bezkarnie mogły obić się o ściany salonu.

Był to typ epoki w swoim rodzaju... zarazem żołnierski, obozowy i salonowy; bawiła w nim pewna rubasznosc *du meilleur cru*, połączona z usposobieniami arystokratycznymi, zamilowaniem życia, wykwintu, próżniaczkiej gawędki. Serce było dobre, lekkomyślność niepospolita, wyrozumiałość dla przyjaciół bez granic. Mówiąc o nim, zwano go: *Le brave des braves... l'honneur personnifié, le galant homme par excellence...*

Nie było w salonach wesela, gdy nie przyszedł Hebanowski.

Starszy on był o wiele od Tadeusza, ale się do niego z pierwszego poznania przywiązał, jak do syna. Oddawna w domu Wojewodzica gość codzienny i poufaly, zaszczycony szczególną łaską samej pani, którą umiał bawić anegdotami osłoniętymi przyzwyczajem — znalazł się naturalnie na obiedzie danym dla Tadeusza... Nazajutrz rano, zbyt nawet rano może, z cygarem w ustach przyszedł do Gerlacha.

— *Ah! ça mon ami!* (wszyscy jego znajomi nosili ten tytuł) — odezwał się, siadając w fotelu, swą francuszczyzną ulubioną — zdaje mi się, że ty wczorajszego dnia... pokochałeś się na seryo... Przyznaj się... wrażenie, jakie uczyniła na tobie Natalia, było widoczne, uderzające.

Tadeusz spojrział nań pomieszany, nie mogąc wstrzymać się od zarumienienia, i odparł prędko:

— Nie rozumiem, kochany pułkowniku! doprawdy... nie rozumiem...

Hebanowski położył mu rękę na kolanach.

— *Alons done! à qui le dites vous?* między nami, *cela crévait les yeux*, hrabianka Natalia... prawdzi-

wa czarownica, co dziwnego, że ci się podobała... i co dziwnego, żeś ty też jej bardzo, bardzo przypadł do smaku, czego się nie zapiera... Wszyscy to zaraz spostrzegli, coś sympatycznego, *quelque chose d'irresistible*, porwała was oboje... Po wyjściu twem prześladowano tobą Natalkę... nie bardzo się broniła. A trzeba wiedzieć, że ona wcale nie jest do entuzjasmów skłonna... ale tym razem... *elle est prise!*

— Kochany pułkowniku — przerwał Tadeusz — widziałem ją po raz pierwszy... nie znam prawie. Byłem przy obiedzie grzecznym, to prawda—ale...

Pułkownik schylił się i śmiejąc, pocałował go.

— A! a! skromnym jesteś i tajemniczym do zbytku! — zawołał — powiadasz, że nie znasz hr. Natalii—a no! to może chcesz, abym ci co o niej powiedział? Lepszego objaśnienia o niej nikt ci dać nie potrafi. — Ja tam jestem jak domowym. To wiesz, że rodzona siostrzenica naszej Wojewodzicowej. Ojciec jej—który już nie żyje, był wysokim urzędnikiem przy dworze csaarsko-rosyjskim. Matka mieszka w Petersburgu... Między nami mówiąc: *elle s'est un peu compromise*, trochę płocha baba (*mais très comme il faut*), dlatego siostra jej córki odebrała i po dokończeniu wychowania, wzięła je do siebie.—*Elles n'auront pas grande chose*, ale zawsze bez posagu nie są, a protekcyje ogromne. Ja ci powiem—dodał, zniżając głos pułkownik — że i mnie Natalka szczególnie się podobała... *une femme solide, beaucoup d'esprit de bon aloi, et charmante!* Ramiona! *mais c'est une Venus grecque...* I wdzięk! i takt! i rozumek i dobroć. Osoba niezmiernie wykształcona, a nie pedantka!

— Na nieszczęście — rozśmiał się Tadeusz — ja się jakoś żenić nie myślę—a dla wieśniaka i człowieka niemającego, przyznasz pułkowniku... że jakkolwiek śliczna i miła, nie byłaby wcale żoną stosowną...

— Ba! ba! mów, co chcesz! — zawołał Hebanowski — *c'est une femme supérieure*, takie kobiety

z każdym położeniem zgodzić się umieją, każde potrafią uprzyjemnić.

— Zapewne, ale ani ona partyą dla mnie, ani ja dla niej — odezwał się, z cicha wzdychając, Tadeusz.

— Dlaczego? — przerwał żywo Hebanowski — masz wszystkie kwalifikacye do zrobienia jak najświetniejszej karyery. Służyłeś wojskowo—tu się na nowo tworzy armia polska, potrzebują ludzi, proszę cię, po co się zakopywać na wsi! Gdyby nie moja ręka i nie inwalidztwo, poszedłbym pewnie za przykładem Chłopskiego...

Zamilkli, Tadeusz jakoś posmutniał.

— Ja, mój drogi pułkowniku—rzekł po chwili—nie mam już powołania do wdziwania munduru, chcę spokojnie gospodarzyć... aż... aż...

Tu westchnienie przerwało...

— Tulałem się dosyć — dodał — służyłem, chcę mi się odetchnąć na wsi.

— Tak, tak, ale nie na starego wyjść kawalera — zawołał Hebanowski — do stu kartaczów! Gdybym był młodszy i nie kaleka, ożeniłbym się i ja, bo nie ma w świecie nic smutniejszego nad życie samotne, z lokajem we dwóch, bez domu, w oberży... na łasce obcych... *Cré nom d'un nom!*

Nie mówili już więcej o tem, zagadano o rzeczach obojętnych, ale odchodząc, pułkownik zapytał:

— Więc wieczorem, nieprawdaż, do zobaczenia u Wojewodzica?

— Jakto? dziś wieczorem?

— A dziś! Wojewodzie kazał ci przypomnieć, że jesteś raz na zawsze proszony na herbatę i że miło im będzie widzieć cię jak najczęściej, bez ceremonii... Kilka osób zastaniesz pewnie, *et des plus muppées*. Trzeba, byś poznał tutejsze matadory... I powinienesz przyjść...

— Miałem inne plany na myśli.

— Przecie miłszego i więcej ci sprzyjającego towarzystwa nie znajdziesz. — Podał mu rękę. — Do zobaczenia! słowo, mam twe słowo.

— Ale przychodzić tak codziennie...

— Spokrewniony jesteś z niemi, proszą! cóż dziwnego! przesadzony formalista jesteś! Tak ci tam sprzyjają wszyscy... *Allons donc!* przyjadę po ciebie.

Trudno się było oprzeć naleganiu w takiej formie. Tadeusz i tego dnia pojechał znów, a traf tak zrządzł (traf bywa filutem wielkim), że po pierwszych ewolucjach salonowych znalazł się przy paninie Natalii. Jakim sposobem cały niemal wieczór z sobą przegadali, tego sam nie wiedział...

Zbliżyło ich to znacznie do siebie, a Tadeusz wychodząc rozmarzony, pieszko, około północy, zeznał sam przed sobą, iż w istocie było niebezpieczeństwo. Należało uciekać albo się poddać... Kochał.

A że uczucie to było dlań prawie nowem, stało się odrazu panującym, gwałtownem, oślepiającym.

Rozum mu jeszcze wskazywał niestosowność, walczył z sobą, oburzał się; związek ten z wielu względów zdawał mu się dziwnym, nienaturalnym, poczwarnym, czuł, że następstwem jego mogło być położenie fałszywe, pokuta całego życia... Wszystko to jasno przedstawiało mu się, a przecież namiętności zwyciężyć nie mogło.

Wróciwszy do domu, żelazną wolą wymógł na sobie, iż za parę dni pojedzie napowrót do Skąły. Ta dni para była nieuchronną dlań do przygotowania się... a wyjazd musiał zerwać wszystko.

Ale któż obrachował, kiedy ważność i stanowczość dwóch dni w życiu człowieka?

W ciągu tej pary dni przesunęła mu się nieraz przez myśl przeszłość cała, od kolebki począwszy, do ucieczki.

Serce uczuciami dawnymi odbiło znów, przypomniat Karola, którego tak kochał... matkę — usiłował wskrzesić w sobie dawne myśli i wstręty — niestety! — napróżno się rozgrzewał, próżno usiłował zwyciężyć — z przerażeniem postrzegł sam w sobie zmianę, zobojetnienie, upadek.

Tadeusz rzucał się w przeróżne sofizmata, aby samego siebie przed trybunałem sumienia rozgrzeszyć.

Łatwo się domyśleć, że tak prędko nie wyjechał do Skąły, że się dał zatrzymać w Warszawie i poszedł znów do Wojewodzieów i wiele mówił z panną Natalią, a powracał chmurno zamyślony i niespokojny. Hebanowski, który go widocznie z ojcowską troskliwością szpiegował, nie badał już więcej i czekać się zdawał, aż go delikwent sam zaczepi. Obawiając się snąć spłoszyć ptaszka, nie zważano zbyt na zawiązujące się czule między nim a panną Natalią stosunki.

Gdy nareszcie potrzeba było odjechać do Skąły, Tadeusza puszczono, ale panna półżartem wymogła na nim słowo, że za miesiąc powróci i nie zakopie się na wsi.

Dotrzymał pan Tadeusz, przyjechał, siedział tygodni kilka i oświadczył się hr. Natalii.

Był już pewnym, że odrzuconym nie zostanie. Wiejska tęsknica pchnęła go do tego kroku.

Po oświadczeniach dopiero, ciotka wzięwszy go na osobność do swego gabinetu, wypowiedała we cztery oczy historię nieszczęśliwej siostry, która była raczej nieszczęśliwą niż występłą, która... miała zapewniłą sobie wysoką protekcję. Zapewniała Tadeusza, że ona dla siostrzenicy uczyni co tylko będzie w jej mocy, wdychając dodała, iż na teraz o żadnym posagu mowy być nie może... zaręczyła przytem, iż Natalka będzie dlań najlepszą w świecie żoną, najwierniejszą towarzyszką, bo go z duszy pokochała.

Nie potrzebujemy dopowiadać reszty. — Tedeusz wziął za żonę cudowną blondynkę, zawiózł ją do Skali i rozpoczął z nią nowe życie.

Za posag posłużyła nominacya na jakiś urząd wysoki, nie obowiązujący do niczego, oprócz noszenia jakiegoś mundurku, połączona z pensją roczną dosyć znaczną.

W Skale zmieniło się nagle wszystko; kobieta, nawykła do życia w świetnych sferach stołecznych, nie mogła się zadowolnić skromną szlachecką dolą. Potrzeba było liberyi, ekwipażów, pałacu, zimy w Warszawie, stosunków z domami możnemi, utrzymania się na pewnej stopie równości z niemi.

Wkrótce po ślubie pierwsze zapęły ostygły zaczęły, w życiu coraz chłodniejszym przyszło rozpatrywać okiem. Tadeusz uczuł popełniony błąd — ale już było za późno. Żonę kochał namiętnie, a przekonał się wprędce, że była istotą zimną, częścią, bez serca, rozwiniętą umysłowo, moralnie zepsutą, chciwą życia... a nie pojmującą go inaczej, jak w tym świecie sztucznym, wśród którego pierwsze lata spędziła.

Przyjście na świat syna, któremu dano imię Aleksander, związało go nowym węzłem z kobietą, jakby stworzoną na to, ażeby go uczynić najnieszczęśliwszym z ludzi. Umiała ona panować nad nim, rządzić, obudzać przywiązanie, rozżarzać namiętność, a nieubłagane iść do celu, który sobie założyła. Tym celem było samo życie wśród żywiołów umiłowanych wrzawy, zabaw, balów, plotek i intryg, dworskiego zamętu... i zalotów. Jak niemal wszystkie blondynki, Natalia, którą żadne uczucie nie dotknęło głębiej, która nigdy nie potrafiła się wzruszyć i zabołęć, zachowywała swą zachwycającą piękność, pielęgnowana zresztą bardzo starannie, i cały urok młodości.

Błyszcząc było dla niej potrzebą, koniecznością, warunkiem szczęścia.

Na wsi mieszkala tylko tak długo, ile musiała, resztę czasu spędzała w Warszawie, nie bardzo troszcząc się o to, czy mężowi z tem było dogodnie. Urząd wymagał zrazu pobytu w stolicy, ale wkrótce z powodu tej synekury, za niedopełnienie jakiejś formy, Tadeusz podał się do dymisji.

Tadeusz z synkiem został na wsi, a piękna pani, jak dawniej, siedziała po większej części w Warszawie.

Gdy pani nie było w Skale, przybierała ona wcale inną postać... Tadeusz zgryziony, smutny, żył w ciasnym kółku przyjaciół i dla dziecięcia, wspomnieniami przeszłości.

Ale gdy piękna pani z nudy, po pieniądze, chcąc się okazać lepszą matką niż była, przyjechać raczyła do Skali — Tadeusz słabł, zakochanym był znowu, dawał się bałamucić, milczał, krył się z uczuciami... i dozwalał czarodziejce robić z sobą, co jej się podobało. Piękna Natalia dorastającego powoli Olesia chciała zabrać do Warszawy i wychowaniem jego pokierować, nie wątpiła na chwilę, że mąż jej na to zezwolić musi — omyliła się wszakże, przypochlebiania się, płacz, gniew, groźby, nie pomogły nic — Tadeusz nie dał Olesia.

Po raz pierwszy przekonała się, iż władza jej, urok, potęga, miały granice — i że mąż posłuszny zdobyć się mógł na wolę niezłomną.

Po pierwszym przypuszczonej na próżno szturmie — odjechała wprawdzie z niczem, gniewna, ale nie wyrzekła się naćziei, iż męża ulagodzić potrafi. Przyisywała ona niepowodzenie całej niecierpliwości i zbyt gwałtownemu postępowaniu, obiecując sobie być tak dobrą, tak dobrą dla Tadzia, że on jej w końcu Olesia odmówić nie potrafi.

Oleś tymczasem chował się w domu, dostał nauczyciela Polaka, a że ojciec sobie życzył, by szedł do szkół publicznych, posłano go do najbliższej wydziałowej... gdy mamy w domu nie było.

Można sobie wyobrazić rozpacz wielkiej damy, gdy przez szpiegi domowe o losie syna uwiadomiona została. Jej syn... jej Oleś na jednej ławce z ekonomczukami!!

Poleciała na wieś... udała chorą, groziła, że umrze... spazmowała... klękała, prosiła... Tadeusz chwilami miękł, zdawał się już dać sobą zawładnąć — potem nazajutrz do swego uporu powracał... i Oleś pozostał w szkole.

Ale piękna Natalia nie powróciła już do Skąły. Jakoś właśnie w tej porze zmarła naprzód matka jej w Petersburgu, po której zawikłane resztki majątku odziedziczyć się udało, potem ciotka, która uczyniła dla obu siostrzenic zapis testamentowy... To wszystko, z dodatkiem pensyi Tadeusza, którą on żonie odstąpił, dozwalało dosyć świetnie żyć w Warszawie. Stosunki były jak najpiękniejsze, nazywano ją hrabiną, należała do świata wykwintnego, a że sławna jej piękność zachowała się cudownie, nie zbywało na wielbicielach.

Nie potrzebowała więc jechać do tej nieznośnej Skąły i nudzić się *avec le vieux hermite*, o synu pozwoliła przestała wspominać, zdawał się jej straconym.

Nie bez przyczyny zwała starym Tadeusza, bo o ile ona sama była w pełni i rozkwicie piękności czarującej, która się zmieniała, nie zmniejszała, o tyle on nagle, tęsknotą i bólem wewnętrznym zniknął, zestarzał.

Była to jakaś starość dobrowolna, opuszczenie się, zwątpienie, znużenie życiem, do którego ledwie głos syna go budził. Żył, śmiał się, odmładzał, gdy

Oleś przyjeżdżał na wakacje; gdy wracał do szkoły zatapiał się w czytaniu pamiętników z czasów Napoleona... trochę gospodarzył... nie wyjeżdżał nigdzie prawie... i żył prawdziwie po pustelniczemu.

Tak, bez wielkich zmian w losach i trybie życia Tadeusza, przechodziły lata... na skroni jego włos się srebrzeć zaczynał — a piękna *Comtesse Natalie* była zawsze tą uroczą istotą, w której się wszyscy ludzie dobrego tonu kochali. Ubolewano nad nie-szczęśliwą, że się tak omyliła w zamażpójściu, że z anielską dobrocią znosiła dziwactwa męża, tyrana, który jej dziecię odbierał, chciał ją zmusić do zamknięcia się z sobą w pustyni... Nie miano jej też za złe tego, iż uciekła od gburą, o którego grubiaństwach i fantazyach opowiadano rzeczy niestworzone!! Był to w oczach ludzi anioł dobroci, nie-szczęśliwa ofiara, rozczulano się nad nią i przebaczano chętnie zbyt czasem miękkie serce... i nie właściwą żądę zbyt płochych rozrywek, któremi zagłuszyć zapewne pragnęła napróżno tajone boleści.

Tę rolę ofiary odgrywała Natalia z niepospolitym talentem, posuwając się czasem aż do tragicznego ruchu... które stanowiło przyłożenie do oczów batystowej chusteczki...

Ilekoć zresztą mówiono przy niej o mężu, zawsze gorąco stawiała w jego obronie... co wywoływało naturalnie entuzjazm dla tego anioła.

Wiedział cały świat bardzo dobrze, że anioł miał w generale L... wiernego pocieszyciela i przyjaciela, ale to nie gorszyło nikogo. Stosunek ten sięgał bardzo podobno dawnych wspomnień młodości, z czasów gdy generał był kapitanem gwardyi i nie miał nic, oprócz szlifów. Teraz zmieniał się wielce okoliczności... L., zwany w lepszym świecie Lorkiem, był jednym z ulubieńców księcia, miał się bardzo do-

brze, a że w sercu tkwiła mu dawna miłość — znałszy Natalię w Warszawie, będąc zupełnie wolnym, cały się oddał na jej posługi. Wszystek czas wolny od obowiązków spędzał w domu pięknej przyjaciółki.

Domyślano się nawet (może fałszywie) iż jej do utrzymania na stopie świetnej salonu dopomagał. Natalia pod jakimś pozorem zwała go poufale *mon bon frère*, a że stosunek trwał już lata, nie obudzał nawet szmerów i plotek, bo się do niego przyzwyczajono. Wszystkie panie zresztą niewinnie były zupełnie biedną oliarę, która teraz opowiadała pocichu z najgłębszym przekonaniem o prawdziwości słów własnych, iż nieboszczka ciocia zmusiła ją do tego niefortunnego związku, któremu ona opierała się jak mogła.

Generał Lorcio, oprócz innych przymiotów, któremi się odznaczał, miał i ten, niezmiernie szacowny, iż wcale nie był zazdrosny. Pewien przyjaźni i uczuć pani Natalii, patrzył z szyderską obojętnością na zakochiwania się, zaloty i naprzykrzone najścia młodzieży, którą otaczana była; zdawał się pobłażać wszystkim fantazyom i nigdy go one od przyjaciółki młodości odstraszyć nie mogły.

Salon pani Natalii był wówczas jednym z tych, w którym się spotykały wszystkie odcienia przekonań i ludzie różnych obozów.

Księga XIV.

W WARSZAWIE.

Jedynak Tadeusza, poczciwy Oleś, w lipcu skończył był szkoły i miał wstąpić do uniwersytetu. Wahał się zrazu Tadeusz z wysłaniem go do Warszawy, obawiając się nieuniknionego wpływu matki i usiłowań przewidywanych wciągnięcia chłopca tam, w ten świat, w którym ona żyła, nad który innego nie pojmowała dla — ludzi *przyzwyczajonych*.

Wprzód niżeli postanowił, co miał czynić, wybadał Tadeusz syna, a rozmówiwszy się z nim z serca w serce, zaniechał trwogi — był pewnym, że mu go żaden wpływ nie odbierze. Pojechał z nim do Warszawy i śmiało poszedł razem do pani Natalii.

Piękna zawsze jeszcze i nadzwyczaj strojna pani, przyjęła tych *gości* z niepokojem jakimś, ze zdumieniem, z trwogą prawie.

Uściskała drżąc syna, łza zakręciła się w jej oku — po pierwszych wyrazach poufalskich różnica

pojęć uderzyła ją boleśnie, zagryzła usta i otuliła się milczeniem. Pojęła, że dziecię chce przerobić, już było zapóźno — Oleś widocznie należał do ojca, dla niej był na wieki straconym.

Chłopak wychowany był miłością rozumną, surową zarazem i serdeczną, nawykły do pracy, skąpany potem w tem życiu szkolnem, które od ławy studenckiej uczy wielkiej sztuki obcowania z ludźmi — a wiało od niego duchem prawdziwie polskim.

Matka od pierwszych słów, z kilku odpowiedzi zrozumiała (po swojemu), iż chłopiec był tak *popsuty* przez ojca, że z niego nic już być nie może.

Nie sprzeciwiała się wcale umieszczeniu go u profesora, dla przyzwoitości wymówiwszy sobie tylko, iż będzie u niej co Niedziela bywał na obiedzie. — Zafrasowała się trochę, aby na nią utrzymywanie młodego akademika nie spadło... gdyż miała tyle — tyle wydatków niezbędnych, a dochody tak szczupłe!

Serce macierzyńskie uderzyło parę razy, gdy rażnego, śmiejącego się do życia chłopaka całowała w czoło... Iza mimowolnie zakręciła się w oku — ale też znów widok Olesia, któremu młodzieuchny wąsik wysypywać się zaczynał — tej żywej metryki, dla pani wyglądającej młodo, a pragnącej uchodzić za młodszą jeszcze niż była — z pewnych względów niezupełnie był na rękę. Uważała i to, że był opalony, rękawiczki miał nieprzyzwoite, buty niekształtne i że mu nie nadano dystynkcji wcale... Co dla niej znaczyły wszystkie nauki w świecie, gdy chłopak był niedźwiedziowaty! Powiedziała sobie nawet po cichu, że w Niedzielę na obiad gości zapraszać nie będzie i cieszyć się Olesiem sam na sam.

Tadeusz naówczas upewniwszy się o dziecię, które opiece jednego z najczcigodniejszych profesorów polecił, po ceremonialnem pożegnaniu z żoną — która potrafiła z niego trochę pieniędzy wydobyć — uciekł co najrychlej z Warszawy na wieś.

Cisza wiejska była mu teraz miłą nad wszystko, a pobyt w Warszawie był zatruty.

Tak siedział teraz na wsi, wyczekując czegoś niespodziewanego a przeczuwanego. Z sąsiadami nawet bliżej nie żył.

Znał go może lepiej jeden tylko, ściślejszą z nim przyjaźnią związany, sąsiad o miedzę, Henryk Pięckowski, były kapitan artylerji. Z tym, przywyklszy do niego, zżywszy się, Tadeusz na cztery oczy wynurzał się chętnie, spowiadał z tego, co czuł i myślał, chociaż przezacny kapitan, pocziwy z kośćmi, z innych względów lekkomyślny był, gaduła i nie bardzo charakterem do Tadeusza przystawał.

Płaciły za to wielkie przymioty, jak u nas bywa często, zmieszane z wadami wielą.

Na dni kilkanaście przed pochmurnym owym wieczorem Październikowym Henryk wyruszył był pod jakimś pozorem do Warszawki, jak ją nazywał. — Natychmiast po powrocie przyrzekł być w Skale i Tadeusz po dziesięć razy na dzień wychodził do okna, wyczekując, rychło-li przybędzie. Powrót się jakoś nadspodziewanie przeciągał.

— Ależ nudziarz! już gdzieś pewnie siadł grać w karty, zgrał się i odegrywa... — mruczał, znając go Tadeusz — po co on tam tak długo siedzi w tej Warszawie?

Nareszcie owego wieczora zaturkotało przed ganikiem, gospodarz wybiegł aż do sieni... i tu zetknął się ze służącym, który właśnie biegł mu pożądanego zwiastować gościa.

— Pan Henryk przyjechał!

A tuż się spotkali sąsiedzi.

— Przecież, kochany panie Henryku! oczy wypatrzyłem, czekając na ciebie. Cóż cię tam trzymało? Dawno z Warszawy? — spytał gospodarz.

Były kapitan artylerii, wymuskany, z wąsikami podkręconym do góry, w nowiutkim tuzurku, ubrany jakby na wielką wizytę, ścisnął rękę Tadeusza.

— Ale dziś, dopiero dziś wróciłem, przed kilku godzinami — rzekł, poprawiając ubranie — gdyby nie do was, w taką psią porę nigdziebym się nie wybrał. Na grobelce o mało nie ugrzązłem.

— Grobelka przecie twoja! — rozśmiał się Tadeusz — alem ją gotów kazać poprawić, byłeś jeździł do mnie — No, widziałeś Olesia!

— A! to pytanie? jakżebym twojego jedynaka nie widział? zaprowadziłem go nawet do Lesła i na teatr. Przywożę ci list od niego, zdrów jak ryba, czerwony jak rak i wesół jak trznadel.

Tak gwarząc, weszli do pokoju Tadeusza, który najczęściej z całego domu tylko parę izb narożnych zajmował — resztę domu, zbyt niegdyś po pańsku urządzonego, zostawiał pustkami prawie — gdyż mu smutne dzieje przypominały.

— Chodź do komina — zawołał gospodarz — ogrzejesz się. Ogień olchowy... choć przy nim zziębłego przyjaciela ogrzać... Siadaj, mów — nakarm przyjaciela zgłodniałego... co słychać?...

Pan Henryk zmilczał, nakładając fajkę — spojrzeli po sobie znacząco.

— Niema nawet mowy o tem, że przenocujesz u mnie; twoja grobelka nie do przebycia po nocy... ślota, wicher... ciemnica... barometr spada. Przez wieczór przynajmniej nagadamy się do syta... na Boga! co słychać! co słychać!

W tej chwili właśnie wszedł służący, choć to był najpocześniejszy w świecie Matyaszek, kapitan wszakże dał znak pokryjomu, że się wstrzyma z odpowiedzią... i siadając przed ogniem, zawołał głośno:

— Co słychać? at! zachciałeś! po staremu... nowego nic...

Tadeusz doskonale zrozumiał tę ostrożność, nie ponowił już pytania... zwrócił rozmowę na Olesia... na drogę, na deszcz, tymczasem podano herbatę i tak gwarząc o rzeczach obojętnych, doczekano się, że słudzy się rozeszli.

Naówczas Tadeusz, nucać coś, nieznacznie podszedł do drzwi, ażeby się przekonać, że ich nikt nie podsłuchuje, a pewien będąc, że służba w kredensie i pod oknami niema nikogo, z ciekawością wielką przysiadł się do Henryka.

Teraz, gdy zostali sami, Tadeusz, kładąc rękę na ramieniu przyjaciela z gorącą, natarczywą ciekawością, cicho powtórzył pytanie.

— Mów! zmiłuj się! co tam się dzieje w Warszawie — co słychać?

Pan Henryk dziwnie jakoś kiwał głową, kręcił wąsa; nie był to człowiek stworzony do badania usposobień w masach, łatwowierny, wrażliwy, lubiący towarzystwo i hulankę... naprzemian salony i cukiernie... nie miał bystrego poglądu, ani nawyknięcia do głębszego zastanowienia się nad symptomatami.

— Co ty chcesz! — zawołał — skarz mnie Panie, jeśli rozumiem, co się dzieje, i wiem, co będzie? Kaduk ich wie! Ty najlepiej wiesz, po co jeździłem do Warszawy, doszło do mnie, że się tam coś rusza, pojechałem przez ciekawość, ostrożnie, w domu rozgłoszący, iż jadę wódkę sprzedać. Chciałem języka dostać, co się dzieje... a dostałem — figę... Nic nie rozumiem! ale to, powiadam ci, nic.

Westchnęli, Henryk kiwał głową i poprawił głownie u komina.

— Trudno coś w tych ciemnościach dojrzeć, mówił dalej — za co mogę ręczyć, że w młodzieży szalony duch... kipią, wrą, biją serca, ale się to kryje i dusi... W ostatnich dniach zajrzałem po starej znajomości do Rożnieckiego nawet, z którym kolego-

wałem niegdyś, do Kuruty, z którym grywaliśmy często...

— Byłeś gdzie więcej?

— Po to jechałem, ażeby wszędzie być a dawać się czegoś, biegałem więc wszędzie, gdziekolwiek drzwi dla mnie były otwarte — ale przez ciemności nie dojrzałem do dna.

— Jeśli ty, kapitanie, nie widziałeś jasno, jakże ja mogę przejrzeć? — rzekł Tadeusz. — Zgadzałem się z tobą, iż zapewne chwilowe to tylko rozdrażnienie, poruszenie bezsilne... u nas nie ma się porywać komu, ani z czem, terroryzm przybił i spłaszczyl... Ale niemniej — smutnoż, smutno, cała Europa porusza się, wiję, drży, zrywa...

Nie dokończył — Henryk popatrzał nań i ramionami ruszył.

— Otóż ci powiem — dokończył ciszej, — że biłem się z myślami w Warszawie tak jak ty, przerzuciłem z jednych w drugie... nie wierzyłem, nie wierzę w nic... a mimo to... mimo to...

— Cóż, mimo to? — podchwycił Tadeusz.

— Mimo to wszystko kat ich wie — dorzucił Henryk — przecucie jakieś mi mówi, że coś się stać musi...

Rozmowa sąsiadów przedłużyła się tak niemal do rana, nie potrafił jednak Henryk, mimo najsilniejszych argumentów, odwieść Tadeusza od zamiaru podróży do stolicy.

Parę dni poświęciwszy przygotowaniom, wyruszył ze Skąty z niepokojem i gorączką, zarówno niecierpliwie widzieć syna i zbliżyć się do Warszawy, w której przecucie wskazywało mu nadchodzące wypadki.

Ale Warszawę zastał zrazu tak spokojną, tak powszednią, jakby pod temi popioły szaremi żadna już iskra nie tlała.

Dawne stosunki Tadeusza, mimowolnie z powodu żony i przez nią pozawiazywane, dawały mu wstęp do tych nawet kół towarzystwa, które się najmniej z jego usposobieniami zgadzały. Znał niemal wszystkich w najwyższych sferach, wielu w pośrednich, a z wojskowymi różnych stopni łączyły go sympatyje starego żołnierza i znajomości, pozabierane tu i owdzie. Mógł więc przy baczniejszym umyśle przejrzeć lepiej niż Henryk, co się naówczas działo w Warszawie.

Z bijącym sercem wjechał do stolicy, i — jak zwykle, stanął w hotelu Gerlacha. Natychmiast zawiadomiony o przybyciu ojca Oleś, przybiegł mu się rzucić w objęcia, rozpromieniony i szczęśliwy. Cały wieczór spłynął na opowiadaniach o profesorach, o życiu akademickim, o naukach... po trosze o życiu miejskiem w ogóle, które chłopakowi młodemu niebardzo było dostępnem.

Nazajutrz była Niedziela, dzień, w którym Oleś zawsze chodził na obiad do matki. Tadeusz postanowił być, nie oznajmując wprzód o sobie, pójść z nim razem.

Stosunek obojga małżonków był dziwny, bo Tadeusz, który w oddaleniu tracił swą słabość dla Natalii, zbliżając się do niej, ulegał zawsze jej urokowi, pomimo; że wdzięku tego znał już wartość całą i fałszywość jego blasku.

Resztką dawnej namiętności gorzała zawsze pod popiołami.

Któżaby kobieta nie wiedziała o tem, nie poznała, że ma władzę, i nie starała się z niej korzystać? Zimna, niecierpiąca męża Natalia, którą życie nauczyło przybierać wszystkie role, stawiała się też dla męża uprzejmą, a przy nim melancholiczną, popisującą się z rozumem i dowcipem, słowem, jak można było najmiłą. Zdawała mu się mówić: — Patrzą, co straciłeś... Wobec syna, jak w obec świata,

chętnie grała potrosze rolę ofiary niewinnej, osłaniającej się szatą wielkiego charakteru.

Na obiad niedzielny, jak zwykle, nie proszono nikogo, byli sami — ale kuchnia była zawsze bardzo wykwinna, prawdziwie pańska, bo pani Natalia miała tę słabość starzejących się pań, że dobrze jeść lubiła bardzo. Przy czarnej kawie, gdy Oleś w drugim pokoju przeglądał wspaniałe dzieło o pogrzebie cesarza Aleksandra, Tadeuszowi przez szczególny fawor pozwolono zapalić cygaro... i pani Natalia z tajemniczą minką, po krótkiej przechadzce, przysiadła się do niego.

Po obiedzie ojciec z synem pożegnali piękną panią, która się wieczorem wybrała na teatr...

Oleś powrócił do profesora, a Tadeusz poszedł powoli odwiedzać znajomych, dla zbadania umysłów i przejrzenia jaśniej w położeniu.

Postanowił sobie, nie pytając wręcz nikogo, ślezić biernie, przypatrując się towarzystwu, słuchając rozmów, szukając symptomów zdradzających się mi-mowoli.

Ówczesna społeczność warszawska z dziwnych składała się żywiołów i nie mniej osobliwe nosiła na sobie znamiona. Napoleon, Księstwo Warszawskie, wniosły tu potrzebę języka francuskiego i nałóg, z Polski czyniąc małą Francję.

Po salonach, w koszarach, we wszystkich niemal domach znaczniejszych innego języka prawie nad ten posłyszeć nie było można. Wszyscy, co mieli pretensję do dobrego wychowania i lepszego tonu, do uczoności nawet, tym tylko posługiwali się językiem.

Z niejaką trwogą dowiadywano się o wypadkach we Francyi i Belgii, chociaż jeszcze nie przypuszczano, ażeby one nad Wisłą odbrzmieć miały. Ilekroć kto śmielszy odczuwał się z hipotezą walki orężnej — odpychano ją śmiechem i pogardą, jako szaleństwo dziecinne.

W wyższych warstwach rewolucya widocznie na pochopnych sprzymierzeńców wcale rachować nie mogła.

Tadeusz, przebiegając znajome domy, spotykał się z osobami wyżej położonemi, rozmawiał z wielu i przekonał się tylko, że tu nawet myśl podobna nie powstała...

Tadeusz w kilka dni też po przybyciu, zbadawszy, jak mu się zdawało, Warszawę, zupełnie zwątpił o prawdziwe postrzeżeń Henryka i zabierał się już do wyjazdu...

Lekka na pozór słabość Olesia powstrzymała go jeszcze na dni kilka.

Tymczasem chłopak zapadł ciężiej, a troskliwy ojciec, nie mając tak dalece spieszyć po co do domu, został przy nim dłużej nieco. Ogarnęło go było zwątpienie jakieś i już mu, prócz syna, wszystko na świecie stało się obojętnem. Siedział więc tu, bo mu znośniej było niż w Skale.

Nadszedł listopad chmurny i mglisty w tym roku. Oleś po chorobie zwolna do sił przychodził, Tadeusz przeciągał wyjazd aż do zupełnego jego wyzdrowienia. Matka odwiedziła go ukradkowo, parę razy, a zresztą karteczkami, regularnie przesyłanemi co rano, dopełniała obowiązku, dowiadując się o zdrowie.

Tadeusz też ceremonialnie jej tylko oddawał wizyty. Spotykał tu prawie zawsze towarzystwo, do którego zastosować się nie umiał, które na niego koso patrzyło, mając mu za złe obojętność dla kobiety dystygowanej, milej, zacnej, a tak wybornie odgrywającej rolę nieszczęśliwej ofiary.

Tadeusz u przyjaciół jej uchodził za istne straszidło moralne; w ich oczach ten człowiek zamknięty, sztywny, milczący, noszący tytuł niezasłużony męża, odbierający matce syna... wyglądał na nielitościwego kata... Natalia przy nim podwajała aniel-

ską swą słodycz i dobroć, aby on się jak najczarniej wydawał.

Pod koniec już pobytu swojego w Warszawie, gdy Oleś miał do przerwanych nauk powrócić, pan Tadeusz, parę razy zdala na Saskim placu przypatrując się parodom wojskowym, obcując ze starszą znajomą, przez nią zabrał też znajomość z kilku młodszymi oficerami i podchorążymi.

Z dwoma też Kicińskimi, Adamem i Tomaszem, ze szkoły podchorążych, był nieco spokrewnionym.

Raz wieczorem, spotkawszy się z nimi i kilku ich towarzyszymi, zaprosił ich na wino.

Dzień był mglisty i usposobienia spleenowe, w powietrzu coś niecierpliwącego. Tadeusz czuł się tego dnia bardziej niż kiedykolwiek zrozpaczoną i kwaśnym. Młodzież siadła za stół zrazu milcząca, ale powoli wyszła z tego apatycznego usposobienia, gdy stary wojak jął opowiadać historię legionów, bitwy swe i straszliwy poemat wyprawy na San Domingo.

Mimowolnie sam on też dał się unieść przypominieniom dni młodych, serce i usta, hamowane nawykniem do milczenia, otwarły się nagle... Łza zrosiła oczy... Słuchano go z poszanowaniem, z sympatją gorącą.

— Kiedy pan wyjeżdżasz z Warszawy?—spytał któryś.

— A no—co najprędzej, jutro, pojutrze może—zawołał Tadeusz—już mi tu jakoś cięży... a nuda wiejska, do której nawykłem, znośniejsza.

— Hm—odezwał się inny—to bo pora do podróży brzydka... Niechby się pan choć do mrozów zatrzymał... bo czego się tam teraz wlec po takim błoście.

Tadeusz, podnosząc głowę, dostrzegł po ustach kilku przebiegający uśmiech i wejścia ich pełne zna-

czenia. Zdawali się oczyma naradzać z sobą: mówić, czy milczeć.

— Hm—rzekł Tadeusz, którego to mocno zaciekawiło—czy panowie sądzicie, że wartoby zostać?...

— Ale bo szkaradne błoto! błoto! błoto! Po co się tam spieszyć!—dodał pierwszy...

— Myślę że w Grudniu, choć po grudzie, drogi wszelako powinny być lepsze...—dodał, nie patrząc na nikogo.

— Albo jeszcze gorsze!—rozśmiał się trzeci—w takim razie, nie byłoby już doprawdy na co czekać.

— W istocie, to dobra rada... posiedzę do pierwszych dni Grudnia—bądź co bądź—szepnął Tadeusz.

Tadeusz tłumoki rozpakował i powiedział Oleśowi, że dla reumatyzmu w nodze jeszcze na dni kilka pozostać musi...

W zaburzeniach i walkach, jakie 29 listopada wyniknęły, w jednym z tych starć chwilowych, zbłąkana kula uwięzła w prawem ramieniu Tadeusza i wytrąciła z rąk broń. Józef, który ciągle był przy nim, podchwycił zaraz rannego... Zrazu kazał się on tylko obwiązać chustką naprędce i nie ustępował z placu, ale po godzinie miotania się, gdy krew coraz gwałtowniej uchodzić zaczęła, czując się osłabłym, musiał pomyśleć o jakimś ratunku. Józef podtrzymał go już niemal upadającego—chciał on być przeniesionym do hotelu, ale że bliżej było do domu pani Natalii przy ulicy Miodowej, sługa, na ten raz nieposłuszny, pociągnął go, niemal zmuszając, do żony. Osłabiony, znużony utratą krwi, złamany, nie mogąc się opierać, dał się poprowadzić, gdzie chciał pocziwy Józef. Przybywszy do wrót, znaleźli furtę, którą byli

wyłamali, uchodząc, zabita nanowo i zabarykadowana. — Józef napróżno się do niej dobijał i nierychło, po przeciągłym parlamentowaniu, stróż na naleganie znajomego, ośmielił się ją nareszcie otworzyć. — Tadeusz już był całkiem siły utracił, z pomocą dwóch ludzi zdołał go ledwie wnieść na wschody... Było to już nad świtanie...

Drzwi mieszkania pani Natalii znaleźli zamknięte i do tych znów dobijać się przyszło z jeszcze większą trudnością. Dopiero głos Józefa poznawszy słudzy, mimo czyjegóż niezrozumiałego oporu — otworzyli. — Od progu już na ręce rannego wziąć musiano, który nie stracił był przytomności wprawdzie, ale krwią obłany był cały... Co najprędzej wszedłszy do salonu, bez poszanowania dla adamaszkowej kanapy, złożono na niej rannego.

W saloniku nie było nikogo — pozostał on, jak go rzucono wieczorem z zastygłym do herbaty przyrzędem, z porostawianiami w nieładzie meblami.

Dziwnym trafem oczy Tadeusza wprost padły na stół i zatrzymały się wlepione w parę zmiętych białych męzkich rękawiczek wojskowych, rzuconych nań... z gorączkowym znać pośpiechem...

Rękawiczki te... przyciągnęły jego wzrok tak, że go od nich oderwać nie mógł — były one dlań aż nadto łatwą do odgadnięcia zagadką. Uśmiech ironiczny, gorzki przesunął mu się po ustach wybladych, oczy się zamknęły... omdlał.

W tejże chwili, z rozwianemi włosami, blada, żółta, straszna przecierpianą trwogą, wbiegła Natalia i stanęła... Oslupiałemi obłąkanemi oczyma popatrzyła na męża, który się jej zdał trupem — potem na krzątających się koło niego ludzi — powiodła ręką po czole i — niepojęta rzecz! — to, co ją do rozpacz przywieść było powinno — zdawało się orzeźwiać i budzić otuchę. Odetchnęła wolniej.

Z rodzajem zimnego jakiegoś obłąkania zbliżyła się do kanapy... wpatrując się w Tadeusza, jakby szukała rany śmiertelnej. Ciężar wielki spadł z jej serca... czuła się bezpieczniejszą może, mając w obronie tego trupa. Oczy jej z bladej twarzy mężowskiej przesunęły się machinalnie na zamknięte drzwi do dalszych pokoiów.

Stanęła... Józef krzątał się, starając pana orzeźwić; chłopaka posłano po doktora lub cyrulika... Zbroczona, krwią płynąca ręka, zwieszona z kanapy, bezwładna, ciekła kroplami płynu, z którym uchodziło życie. Ale mimo osłabienia, w piersi słyhać było oddech, ciało drgało, jakby się w bój pragnęło rzucić na nowo.

Wśród tej sceny milczącej drzwi się nagle otwarły z trzaskiem — Oleś wbiegł do salonu, nie spojrzawszy na matkę i przypadł wprost do ojca. Ukląkł przy nim i usta do bladego przyłożył czoła. — Tadeusz otworzył oczy, podniósł się — ożył. Płacząc, całowali się, nie mogąc wyrzec słowa.

Matka, popatrzywszy na nich, jak od czegoś straszego cofnęła się — i szybko wyszła, drzwi zatraskując za sobą... Spostrzegła oczy Tadeusza, który jej wejrzeniem dzikiem wskazywał rzucone rękawice...

Ze zręcznością starej intrygantki potrafiła, uchodząc, pochwycić je ze stolika... Szło o to Tadeuszowi, bo dla dziecięcia matka czystą powinna była pozostać...

Księga XV.

W P R U S A C H.

Tadeusz odbolał długo swą ranę. — Młoda krew goi łatwo, starsze ciało nie spieszy do życia. — Pomimo zaklęć żony, aby w jej domu pozostał, tegoż dnia, osłabły, na noszach kazał się przenieść do Gerlacha.

Na twarzy jego odcisnął się wyraz jakiegoś niewysłowionego szczęścia i razem boleści — pocóż mu właśnie w tę godzinę los rzucił tę rękawicę w oczy, jakby wyzywając do niepotrzebnego boju?

Ta rękawica przypomniła mu upokorzenie przeszłe, życie zmarnowane, przetrawione, a odnowione rozpacz.

Wśród dalszego przebiegu tych smutnych wypadków Oleś wzięty został do niewoli, Tadeusz zaś wraz z oddziałem Gielguda znalazł się na terytorium pruskiem, gdzie rozbijono wszystkich.

Rozbrojeni jeńcy ruszyli do Preklus, wioski nad brzegiem morza, położonej nad zatoką Kurońską, od pierwszego obozu o parę małych mil odległą. Za tłumem żołnierzy, dźwigających swe tlomoczki, szła jedna kompania Prusaków w tylnej straży.

Dzień był, jak na jesień, dosyć pogodny i wkrótce ukazało się morze, a na niem około półtorasta małych statków rybackich, których żagle pospuszczane na masztach wisiały.

Dwa większe okręty miały zabrać starszyznę i wojsko pruskie; łodzie przeznaczono dla żołnierzy.

Dość długo trwało wsiadanie i ładowanie się u brzegów, tak, że dobrze spóźnionym wieczorem ruszyła dopiero flotylla... Słońce na pogodnem niebie zachodziło, jak kula ognista; ale wiatr kołysał falami... Większa część tych ludzi po raz pierwszy widziała morze i ważyła się na nie — myśli, że się oddalali od ojczyzny, zasępiała czoła... Milczący zabrali miejsca na statkach... a gdy te wypłynęły na pełniejsze wody i bałwany kołysać zaczęły niemi, większa część pokłaść się musiała pod ławami i onieśmielona... czekać końca tej przeprawy. Najbujniejsi potracili fantazyę. Tadeuszowi żywo przypomniała się wyprawa owa młodzieńcza, na innych wodach, wśród burzy... ale naówczas! w duszy jego tyle życia było jeszcze!

Krótkiej tej żegludze po Kurońskiej zatoce nie zbywało na dramatycznych epizodach — bo noc nadeszła wkrótce, a że sternicy byli niewprawni, morze dosyć rozhułkane i coraz niespokojniejsze, łodzie spotykały się z sobą, tłukły i kilka z nich było w niebezpieczeństwie. Naówczas rozlegały się krzyki chwilowe, wiatr je roznosił i w ciemnościach nie wiedzianno nawet, co się z drugimi stało.

Niektóre statki, z połamanemi od wichru masztami wirowały, inne, przeciążone, skłaniały się na boki, jakby zatonać miały... Najmężniejsi na lądzie,

czuli się przejęci trwogą dziecinną, widząc się bezbronnymi na łasce żywiołu, groźniejszego nad wszystkie i nieubłaganego w swym gniewie.

Ta nieprzebyta, długa noc wietrzna, chłodna, smętna, przebyta na falach — nie jednemu zdała się ostatnią godziną, żołnierze mruczełi, że ich umyślnie na zgubę wyprawiono... nikt przecież nie zginął i nareszcie świtać poczęło, a o świcie pokazały się brzegi... zbliżano się do lądu,

Czerwone dachy miasteczka Schacken w mroku poranka powitano z niektórych łodzi okrzykami radości, tak piekielnie długą wydała się ta noc burzliwa i bezsenna.

Zmokli od bryzgów fali, złamani rzucaniem statków, chorzy... wysiedli na brzeg, u którego powitała ich, oczekująca widocznie z punktualnością niemiecką, wyciągnięta w linię kompania kirasyerów w pełnej formie.

Poczęto jeńców rozprawadzać i rozdawać im bilety na kwatery do Szulców i Müllerów, do których ledwie się nieszczęśliwi na spoczynek dopytać mogli...

Tu, po długiem wylegiwaniu się na ziemi, żołnierz pierwszy raz spotkał łóżka i osłonę dachu... i choć niegościnne, ale dobroduszne ubogiego ludu przyjęcie.

Księga XVI.

TUŁACZE DZIEJE

Szły dnie jednostajne powoli.

Co robić wśród takiej martwej ciszy z gorzkością wspomnieniami, z jutrem zagadkowym i niepokojem?

Byli na łasce i niełasce Prusaków, którzy, jak im się podobało, mogli postąpić z nimi.

Niepewność nękała, wzmagala się niecierpliwość. Żołnierze, stosunkowo szczęśliwsi, szli pracą zabijając tęsknotę, młócili Niemcom po stodołach, bo cep wioskę im przypominał rodzinną, a potem wieczorami, zapominając troski, skakali z dziewczętami po gospodach i tłukli niemieckich parobków, gdy im stanęli na zawadzie. I młocka i zaloty robiły im nieprzyjemność, więc ucierano się krwawo, a kłótnia była rozrywką.

Niemki przepadały za rycerzami... Z tem wszystkim prostym szeregowcom życie było znośniejsze;

starszyzna marła z głodu dusznego, z nudy i bezczynności. Wielu cierpiało niemal nędzę, bo nieopatrznie rzuciło groszem w dniach pierwszych.

Żołnierz zarabiał tyle prawie, co potrzebował, oficerowie śpiewali i tęsknili. Zapomnienia szuka się najczęściej w szatach... więc gra i kieliszek szły w pomoc.

Niech rzuci kamieniem, kto dni podobnych nie przeżył!

Wioska, w której postawiono Tadeusza i Lewandowskiego, nie dalej nad parę tysięcy kroków leżała od morza, więc ilekroć razy dzień był pogodny choć zimny, szli razem patrzeć i słuchać wód mówiących o prastarych dziejach świata.

Lazurowy Adryatyk może powrócić zamarłemu życie, Bałtyk szary, żywego smutkiem przygniata. Nic posępniejszego nad pustynne jego brzegi—morzu temu brak barwy, brak głosu, brak woni mórz południowych—ale i ono, wsłuchawszy się weń—mówi o tęsknicy wiekuistej rodu ludzkiego.

Godzinami tak siedząc, patrzyli jak się przed nimi białe zwijały rybitwy, jak się morskie potwory wychylały z fali, jak się rybacze kręciły łodzie, a niekiedy łabędzie postawy, z rozpiętymi żaglami białymi w dali, przesunął się okręt, jak senne widziadło.

W listopadzie widok morza stał się dramatyczniejszym... przyszły wichry jesienne, szalone, i fale się piętrzyć zaczęły... Nieraz, siedząc na podniesionych o kilkadziesiąt łokci brzegach, zapatrzeni godzinami — wracali przemokli od bryzgów szturmującego morza... Ale ryk i huk tych fali był dla nich rozrywką, widok tych walczących gór wodnych, okrytych pianą, rozwścieklonych, rozsalałych, przypominał im walki niedawno przebyte...

Nie wolno jednak było zbyt blisko wpatrywać się w to igrzysko... bo strażę chodziły na brzegu nie

wygnańców pilnujące, tylko wypuszczonego w dzierzawę słonecznego kamienia, który wyrzucało morze.

Wpatrywali się więc opodal w łowców bursztynu, wygrzebujących popłatane algi, wyrzucone przez fale i przepełnione kamieniami drogiami. Na cichej rozmowie całe dnie często w tych kontemplacjach świata cichego, pustynnego, ożywianego tylko zdala przebiegającymi falami—spływały... ciągle jedno i wiecznie do siebie podobne.

Tadeusz w tem zapatrywaniu się na groźną, majestatyczną, posępną naturę północy, czerpał coraz nowe, mistycyzmu pełne idee...

Niekiedy wśród burzy modlił się zwrócony ku północy, duchem przywołując ku sobie stracone dziecko jedyne.

Lewandowski młody, ale z natury swej smutny, przywiązał się do legionisty, z którego charakterem sympatyzował — szedł za nim nieodstępnie i niekiedy był tak szczęśliwym, że mu jaką osłodził godzinę. Razem coraz nowe w okolice przedsiębrali wycieczki...

Długą chwilę przebyli na tych rumowiskach, długą przeblądzili, posuwając się wązkim ziemi pasem między Bałtykiem a zatoką, przypatrując widokowi rozhukanego morza z jednej strony, spokojnego Hafu z drugiej, okrytego łodziami rybackimi, opasanego brzegami, na których, jak rzędami pereł białych, świeciły osady i miasteczka.

Nadszedł grudzień, a z nim koniec tej przedmowy nowego żywota. Rozesłano jeńcom zapytanie urzędowe, dokąd się udać chcieli.

Do wyboru dawano im — powrót do kraju... — lub Francję.

Ostatniego dnia roku, przeprowadzeni przez mieszkańców, oficerowie ruszyli w podróż i dostali się do Królewca, gdzie na sam smutny dzień Nowego 1832 roku, około stu się ich razem znalazło. Wszystkich razem też konwojować miano, nie dając

się im rozprościć, aż do pruskiej granicy. W Królewcu czekały na nich proste wózki, tu spotkała ich zima ze śniegiem i mrozem.

Większa część nie miała okrycia ciepłego, ani grosza, aby go nabyć—ale—ktoby tam zważał—je chali do ciepłej; gościnnej Francji swych marzeń.

Transport ten tułaczów, jak się tu dowiedzieli, był siedmnastym z porządku; dowodził nim major Żurawski z szóstego pułku piechoty liniowej. Sam rząd dostarczał podwozy i kwatery do granicy, a że się ich pozbyć chciano—koni nie zabrakło nigdzie. Oficer pruski towarzyszył do Erfurtu...

Za Królewcem zimowy wiatr począł przejmować do kości — mróz się powiększał co chwila — a było wielu w jednej koszuli i jednym starym mundurze.

Zsinieli i drżący jechali milcząc ponad wysokim brzegiem morza, gdzie wiatr smagał całą siłą... Ale słońce zimowe, połyskując na morzu rozkołysanem, bawiło oczy, wyprawując igrzyska świetlane.

— Patrz, Lewandowski — zawołał Tadeusz, jadący z nim razem — patrz, co za widok cudowny!

— Pułkownik — odparł porucznik — marzę tak, że aniołabym z nieba zstępującego nie zobaczył...

Wistocie mróz był niecznośny — skostniałi wszyscy przywlekli się do Brandenburga, ale i tu mróz ścigał coraz ognistszy. Po takiej przeprawie w sam dzień Nowego Roku, nie dziw, że kto żyw, pobiegnie się ogrzać do gospody... A była, jako w dzień ów uroczysty, Niemców pełna i, w dodatku, na galeryjce, rzępoliła muzyka... Zrobiono ponczu naprzód, aby z kości mróz wypędzić, a tuż ozwała się kapela...

Wierście, czy nie — zziębłe nogi się ruszyły — o! potęgę młodości!

Mróz wzrósł do dwudziestu stopni i nagich biedaków ścigał, nie folgując, do Elbląga. Wszystko to

były stare niegdyś posiadłości Rzeczypospolitej, której dzieci burza rozbila, bezdomne i wynędzniałe.

W domu, w którym Tadeusz stanął razem z nieodstępnym Lewandowskim, gospodarz po polsku pozegnal ich ze łzami.

Mróz w Elblągu łitościwszym był nieco, droga wiodła po nad Nogatem, żyznemi Żuławami, w których ciągle jeszcze lud polski spotykali. Około południa ukazały się mury zamku krzyżackiego w Marienburgu, z onym kościołem, którego całą ścianę olbrzymi wizerunek Maryi zajmuje. Niektórych żołnierzy postawiono na zamku, inni z ciekawością pobiegli go oglądać, pamiętając historię oblężenia i tej kuli tkwiącej w ścianie, która omal nie obaliła kapitułarza...

Wzdrygalibyśmy się historii tego pielgrzymstwa dopełniać fantazją, byłaby ona może obfitszą w barwy, ale pewnie mniej boleśnie prawdziwą, nad to, co czerpiemy ze żółtkiej, ołówkiem zapisanej książki, którą nam umierający żołnierz z łoża śmierci przekazał *).

Ze Tczewa jeszcze polskie [wozy i parobczaki powieźli ich do Starogardu... Śnieg sypał, ale mróz zelżał. W Starogardzie już nikogo, coby po polsku rozumiał, nie znaleźli. Ztąd wlekli się dalej do Czerska (Tschersk-Siersk?) wsi dziwnej, dwulicowej, jakby na upokorzenie plemienia naszego zbudowanej. Polski i niemiecki Czersk, obok siebie stojące, przedstawiały obraz żywy losu dwóch narodowości... W niemieckim domy murowane, sklepy, handel, dostatek — w polskim domki pod słomą, stodółki pona-

*) Ś. p. Kazimierz Lewandowski, podporucznik 1 pułku ułanów, zmarły w Radomiu dnia 17 listopada 1859 r. P. A.

chylane, obory drewniane... kościółek mały z drzewa, wpośród starych lip rozłożystych...

W niemieckiej oberży grano *Mein lieber Augustin!* w kościółku polskim rozlegały się organy i śpiew—Święty Boże...

Ledwie zsiadłszy z wozów, rzucili się podróżni do otwartej świątynki, która im rodzinne przypominała...

Trafili na koniec nabożeństwa i na ten rzewny śpiew, który ze łzami płynąć się zdaje—Zmiluj się nad nami!

Na wychodnem lud ich otoczył, ściskając jak braci, płacząc, witając, żegnając.—To nasi! Ale chwila ta wypoczynku była krótka, trzeba było zdążać do Chojnic, Człuchowa i Koronowa... gdzie już znów polskiego nie usłyszeli języka...

Prześliznęły się im potem niegościnnie Küstrin i Frakfurt nadodrzański. W obu tych miejscach Prusacy okazali się nieprzyjaźni, usposobienie ludności było niechętnie i pogardliwe...

Dopiero w Saksonii pruskiej zmieniło się na lepsze, na serdeczne prawie i pełne zapału. Na każdej stacyi przyjmowano rozbitków z coraz wzrastającym entuzjazmem, ze współczuciem gorącym.

W Prusach rząd dostarczał podwód i mieszkań, tu mieszkańcy przyjmowali gościnnie.

W Luckau, ugaszczano uroczyście.

Odtąd począł się ów pochód, który trwać miał aż do Francyi... Na Torgau i Eilenburg podążyli tak do Lipska.

Lipsk słynął zawsze ze swej szczególnej sympatii dla Polski. Dowiodło tego usposobienie miasta dla przybywających Polaków. Wysłano naprzeciwko nim powozy i konie, zabrano pakunki do furgonów, oficerów do paradnych ekwipażów. Było to dziełem komitetu utworzonego z mieszkańców, który

nad przejeżdżającymi miał poruczoną opiekę... Przyjęcie uroczystsze jeszcze było niż gdzieindziej.

Znaczną część oficerów zabrali bursze z sobą do onej sławnej Faustowskiej piwnicy, do Auerbachowskiego loszku, z którego nikt pono trzeźwym nie wyszedł... Toasty brzmiały długo pod staremi sklepioniami, przeplatane poezjami Platena i Maltz'a.

Tadeusz bronił się słabością od kielichów, patrzył, słuchał i uśmiechał się młodzieńczym wybuchom.

Lewandowski rozplakał się, upił i mówił potem, że się nie wytrzeźwił aż we Francyi.

Wyrywając się zbyt tłumnemu i wrzawliwemu towarzystwu, Tadeusz otrzymał pozwolenie udania się dla wypoczynku do stolicy Saksonii, do Drezna, pamiętnego mu z pierwszej epoki jego życia.

Lewandowski napróżno zatrzymać go pragnął, przeprowadzał niepocieszony, i nie przedź się uspokoił, aż mu przyrzekł stary, że go we Francyi lub może jeszcze na drodze dopędzi.

Zły wszakże był ten wybór Drezna dla odpoczynku; przepełniali je naówczas Polacy, starym nałogiem szukający tu zawsze schronienia. Roili się Polacy po starem mieście, po hotelach, po domach, a że Saksonia dość była gościnna, tu gorliwsi a czynniejsi z wychodźców rozpoczynali już wrzawliwe narady tysiącnymi kwestyami, których rychłego zastosowania do życia spodziewać się nie było można; tu także święte one niewiasty: Klaudyna Potocka, generałowa Dąbrowska, ks. Sanguszkowa — związane dziełem miłosierdzia, biegły wspomagać, pocieszać, goić rany i sióstr a macierzy dlonią łyzy biednych ocierać.

Wieczorem pełne były teatru tych, co jutro nie mieli za co kupić obiadu.

Około Tyszkiewicza, pułkownika Kamińskiego, Nakwaskiego, Bydłowskiego, kęcili się ci, co już niecierpliwi byli bawić się w komitety, wybory i rozprawy. Całe dnie spędzano na opowiadaniach, na określeniu przedwczesnem tego, co się we Francyi czynić miało... Wieczory spływały na koncertach, na teatrze, w kilku domach zacnych Polek... lub szalonej grze u zielonego stolika.

Pragnący ciszy, skupienia ducha, nie wiedział Tadeusz może, iż wpadnie w gwar i zamęt, wśród którego obronić się od napaści będzie trudno.

Niełatwo się było nawet pomieścić w Dreźnie i nie wiem, jakim szczęściem, wśród przepelnionych hotelów, on i jego tłumaczek znaleźli kątek skromny, izdebkę od dziedzica pod znanym, starym — Złotym Aniołem. Tadeusz nie szukał nikogo, prócz samotności. — Przybywszy w Sobotę wieczorem, nazajutrz rano pierwszą wycieczkę zrobił do kościoła.

Wyszedł, okryty płaszczem swym żołnierskim, z którego tylko zdarł niepotrzebne znaki mundurowe i z osłoniętymi oczyma powlókł się ulicą zamkową ku znanemu kościołowi przy zamku... Godzina była ranna — przecież w ulicy minął się już z kilku twarzami swojskimi, z postaciami, które ciekawie badać go chciały, napróżno zabiegając mu drogę.

Minął je wszakże, udając, że nie widzi i wszedł pod ciche sklepienia. W tej godzinie ubogiego tylko ludu było wiele, msza cicha odprawiała się przed boczny ołtarzem. Kilka polskich twarzy spostrzegł także Tadeusz... i poszedł z rzewnem uczuciem do modlitwy.

Tu uczucie jakieś boleści i znękania objęło go u stóp ołtarza silniej niż się spodziewał; znużony drogą, złamany na duchu, z tęsknicą, którą wzmogła jeszcze modlitwa — poczuł zimny pot, występujący na czoło, oczy zasłży mu mgłą — dziwne osłabienie owładające nim całym i mimowolnie, bojąc się paść, po-

chylił ku podłodze... Ręce, na których się chciał zerwać, uchyliły się bezsilne... oczy okryły ciemnością — omdlał i padł.

Gdy otworzył powieki — nie mógł już sobie przypomnieć, co się z nim stało. Znalazł się w powozie zamkniętym... obok niego siedział lekarz i średnich lat kobieta z wyrazem współczucia na twarzy.

Przyjście do przytomności było prawie tak nagłe, jak omdlenie po długich trudach... Tadeusz podniósł się przerażony, zmieszany i trąc czoło, starał przypomnieć, co się z nim stało.

— Gdzie jestem? co było ze mną? — zawołał po polsku.

— Nic, nic — odpowiedziała kobieta łagodnie — zemdleś pan w kościele, pospieszyliśmy mu na pomoc. Ja jestem rodaczką pańską, a nawet, choć pan tego pewno nie przypominasz sobie — dawną jego znajomą... Widywałam go w Warszawie.

Tadeusz, wpatrzywszy się, poznał w istocie księżną Barbarę, której rysy szlachetne utkwily mu niegdyś w pamięci. Ale teraz, dawniej pogodne i wesołe, młodsze oblicze, okryte było troską i smutkami. Ona także straciła wszystko, co kochała...

— A! pani — zawołał orzeźwiony — proszę mi przebaczyć — to było jakieś chwilowe... osłabienie... Jestem silny i zdrow, alem był może trochę drogą zmęczony, nie wiem. Niemoc ta już przechodzi, już przeszła... czuję się zupełnie dobrze i jestem pewien, że gdybym mógł wysiąść, poszedłbym o swej sile do domu.

— Na to ja nie pozwolę — odpowiedziała kobieta.

— Stoję niedaleko... pod Złotym Aniołem.

— Bardzo dobrze, tam więc odwieziemy pana, ale pozwolisz się spytać (doktór towarzyszący nam słowa nie rozumie po polsku) — dodała ciszej — pozwolisz pan spytać... czy — czy mu nie zbywa na czem... czy... służyć mu czem nie mogę?... pan zapewne...

— Jadę z Prus—odpowiedział Tadeusz — dążę do Francyi, chciałem w Dreźnie odpocząć, odetchnąć...

— Tak... ale może przy utrudnionych z krajem stosunkach, mogłabym panu w czym być użyteczną... może mu zbywa...?

— A! na niczem! na niczem! — szybko zarumieniony odparł legionista — niech księżna wierzy... nie zbywa mi na niczem, oprócz syna...

— A żona?

Tadeusz spuścił głowę i rzekł cicho:

— Została w Warszawie...

Rozkazano powozowi jechać pod Złotego Anioła. Tu księżna pozwoliła wprawdzie wysiąść pułkownikowi, ale mu zapowiedziała, że go nie może wypuścić ze swej opieki...

Pożegnawszy tych, co go tak litościwie ratowali, ze wstydem i uczuciem przykrości powlókł się do swej izdebki...

Traf zrządził, że właśnie pragnąc tu odpocząć, ukryć się, skupić w sobie — został słabością zdradzony...

W pierwszej chwili pomyślał nawet, czyby mu ujęć nie wypadało szukać gdzieindziej tej ciszy i spokoju z myślą o Bogu?

Siadł z głową spuszczoną i dumał, gdy do drzwi zapukano... Po chwili otwarły się one z trzaskiem i wpadł zdyszany cały Henryk, ów sąsiad Skąły, teraz pułkownikiem mianowany, który mężnie artylerją dowodził, z którym się ledwie parę razy na placu boju skrzyżowali, a który w tej chwili może, mimo dawnej zażyłości, najmniej mógł być pożądanym.

Nie zmieniła go wojna o wiele, ale rozwinęła jako istotę, która we właściwym teraz była żywiole. Pozostała mu spotęgowana tylko wesołość, lekkomyślność, trzpiotowatość wiekowi niezbyt właściwa — a — co najdziwniej, gdy inni pochudli, on nawet utył nieco na wojence... Z wąsikami podkre-

conym do góry, sztywny, wyprostowany, czupurny, padł w objęcia sąsiada i przyjaciela...

— Jak się masz! jak się masz! a widzisz! góra z górą... otośmy oba wyrzuceni na ląd... kochany mój pustelniku... księżna Barbara, którą spotkałem, wyjawiała mi twoją kryjówkę! Kiedyżeś przybył, najdroższy kolego? cóż ty tu siedzisz tak nachmurzony i posępny! — pfe! pfe! my tu w najlepsze komerażujemy, trzpioczemy się, bo smutek nie pomoże, a na nasze zdrowie wpływ wywiera zgubny... Co ty tu robisz?

— Ja dopiero wczoraj przybyłem — rzekł Tadeusz.

— Tak i dziś zemdląłem w kościele. Cóż to stary legionista został bigotem?

— Pułkowniku, byłem pobożny całe życie.

— To ślicznie, ja sam bywam pobożny, gdy mam czas i kiedy jestem goły... Ale... głodnemu, na czczo iść do kościoła, modlić przed ołtarzem Pańskim? Cóż ci to było? czyś się wódki nie napił?

— Ja wódki nigdy nie piję.

— I dlatego taki jesteś osłabiony... Ja ci powiadam, palnij kieliszek koniaku, jak ręką odejmie...

Tadeusz mimowoli się uśmiechnął, pułkownik poszedł się przejrzeć w zwierciadło, wąsa pokręcił i zanucił.

— Przekonany jestem — dodał, odwracając się nagle — że ci Sasi muszą wino szampańskie fabrykować z buraków... Wystawże sobie...

W tem, nie dokończywszy mowy, począł szukać cygara i zapomniał, o czym mówił.

— A jakże się teraz czujesz? — spytał, zmieniając rozmowę.

— Nic mi nie jest, słabość była przemijająca...

— Ja obstaję przy koniaku — dodał Henryk. — Nadewszystko nie dam ci tu gnić i muszę cię zaraz rozruszać... Mnóstwo mamy ludzi, towarzystwo naj-

lepsze, sympatya dla nas ogólna... entuzjazm, powiadam ci, kiedy Niemcy sięgają do kieszeni... a tam u nich serce siedzi!.. Trzeba być dobrej myśli... — dodał uśmiechając się — krzątać się, krzyczeć, a zobaczysz...

Tadeusz nie odpowiedział... patrzył nań zdumiony, prawie z politowaniem.

— Dziś dla Polaków wielki bal u hr. Fleming — dodał pułkownik, zwracając mowę — i ty pewnie dostaniesz zaproszenie...

— Ale z niego korzystać nie będę.

— No, to przynajmniej bądź u swoich, u hr. Tyszkiewicza, u Nakwaskiego, u Kruszyńskiego, u ks. Sanguszkowej, u Klaudy Potockiej. Jak widzisz, jest tu naszych poddostatkiem...

— Kochany przyjacielu — odparł cicho Tadeusz — celem mojego tu przybycia był odpoczynek — pozwólcie sobą rozporządzać, jak mi najlepiej.

— Nie — rzekł śmiejąc się Henryk — z tego nic nie będzie, bobyś z tęsknoty zdechł, a to byłaby szkoda. Trzeba się konserwować, a być dobrej myśli. My tu już daisze narady rozpocząć mamy nad sprawami krajowemi, do których i ty musisz należeć...

Tadeusz ramionami wstrząsnął.

— Do żadnych! do żadnych! — zawołał — ja inaczej położenie pojmuję i zadanie emigracyi. Czcze narady wystawią nas na pośmiewisko... lekkomyślne rzucanie się na pogardę.

Na tem, szczęściem, skończyła się rozmowa. Zapewniwszy się, że Tadeusza zostanie w domu, pułkownik wyszedł, podśpiewując.

Cały czas, aż do jego powrotu, spędził Tadeusz na rozmyślaniu.

Chmurny dzień zimowy, powietrze mgliste i szare, usposabiały do smutku, nie dał się też ludzi żadnej z tych błyskotliwych nadziei, które ożywiały jego towarzyszków.

Jeszcze piąta nie wybiła, gdy Henryk powrócił zarumieniony, w humorze daleko lepszym niż rano. Był widocznie świeżo po dobrym obiedzie.

— Ale Niemcezkę poznałem! kubek w kubek czekoladniczka Liotarda! niech ją dyabli... a! przylepka!

Tadeusz spojrzał nań chmurno... Henryk uderzył się po ustach.

— No, no! przy tobie o tem mówić nie wolno! Ubierajmy się i idziemy.

Do mieszkania posła Nakwaskiego było niedaleko. Zastali już u niego mnóstwo emigracyi, wiele dymu i rozmowę nader ożywioną. — Czekano na nadciągających jeszcze ciągle towarzyszków, z których większa część była znajomą Tadeuszowi. — Gwar poczynął być ogromny, tak, że gdy nareszcie do narady przyjsć miało — niełatwo było wyprosić milczenie.

Gospodarz podał gazetę francuską, którą Henryk podjął się czytać głośno. Opisanem w niej było w bardzo wymowny sposób świetne i uroczyście przyjęcie Ramorina, Langermanna i Sznajdgo w Strasburgu. Dodało ono serca.

— Czcigodni współobywatele — rzekł po odcytaniu gospodarz — jutro mamy walną odprawić naradę u Staniewicza... dziś zesłaliśmy się tu tylko dla przygotowania i przysposobienia do niej... odczytamy więc projekt.

Na wzmiankę o czytaniu fizyognomie tych, którzy pragnęliby byli wysunąć się co najrychlej do teatru, gdzie grano „Oberona” Webera — przeciągnęły się znacznie — pozostali wszakże.

Projekt wnosił utworzenie i podawał środki, jak się miał ukonstytuować komitet w Paryżu, władza wybrana z łona emigracyi, którejby się poddali wszyscy. Tymczasowo żądano stworzenia podobnego komitetu w Dreźnie, mającego się zajmować obmyśleniem środków podróży, utrzymania i pomocy dla

przybywających emigrantów. Komitet drezdeński miał zawiązać korespondencję z komitetami niemieckimi na prowincjach.

Ledwie się ukończyło czytanie, poczęli wszyscy zabierać głosy i rozprawiać, poddając każdy swą myśl, swój projekt, formę nową. Toczyły się rozprawy parlamentarnie i z zachowaniem wszystkich wyrażań a przyjętych na sejmach formalności. Miało to nieco śmieszności w sobie, ale przynajmniej broniło od chaotycznej wrzawy. Niektórzy prawili długie mowy, sądząc się na elokwencyę, ze stratą czasu. Tadeusz milczał, przybity...

Obok niego stojący Mikołaj Kamieński nielitościwie począł drwić z szanownych preopinantów, a że go pozwano do tłumaczenia, pod pozorem, iż był członkiem komitetu dam — odparł, ruszając ramionami:

— Szanowni rodacy, w pierwszych chwilach, gdy emigracya napływać tu zaczęła, nie znajdując opieki, najczęściej bez grosza i w najprzykrzejszem położeniu — Pan Bóg też zesłał kilka szlachetnych i czułych na niedolę Polek, które się dobrowolnie poświęciły spełniać ciężki obowiązek wspomagania biednych.

P. Bernardowa Potocka, generalowa Dąbrowska, pani Dobrzycka, ks. Wł. Sanguszkowa, ze złożonych przez się kilkudziesięciu tysięcy, opatrywały przejeżdżających w koszule, buty, ubiory i pieniądze na drogę. W ostatnich czasach złożyły 24.000, które ja wozilem, dla przeprowadzenia żołnierzy za granicę.

Ale to nie był żaden komitet... bo pieniądze pochodziły z ich własnych dobrowolnych ofiar, rozdawanych wedle woli. Hoffman trzymał przez uprzejmość rachunki, Odyniec godził szewców i krawców, a ja, jako dawny wojskowy, zajmowałem się kontrolowaniem biedy, żeby się pod nią nie podszyło szalbierstwo.

— Tego rodzaju dzieło — dodał pułkownik — nie podlega niczyjej kontroli, bo to sprawa prywatnego miłosierdzia. Tym paniom wolno rozporządzać ofiarą, jak się im podoba, a wścibiacz — z przeproszeniem — nosy, gdzie nie należy, obrazilibyście je tylko niepotrzebnie.

Chociaż mruczając nieco, stanowczo to tłumaczenie przyjęto, a że część przytomnych już się powysuwiała to na „Oberona“, to na landsknechta, to po prywatnych domach — Tadeusz też miał prawo wywnioskować się niepostrzeżony i byłby tego szczęśliwie dokonał, gdyby go pułkownik Henryk głośno nie zainterpelował.

— Dezerterujesz — zawołał — tak nie może być! My nie pozwolimy, abyś się od nas wydzielał i oddalał. Jutro zbieramy się u Staniewicza, na Wilsdruffer... tu niedaleko... daj słowo, że przybędziesz...

— Ale, po co? — spytał zwolna Tadeusz.

— Po co? a to piękne pytanie! Cygan się przecież dał powiesić dla kompanii, a ty nie chcesz uszów narazić na trochę hałasu! Musisz przyjść!

To mówiąc, począł go ścisnąć... Tadeusz, któryby się był może opierał natarczywości, uściskowi uległ był skłonny. Wyrzucał sobie zbytnią powolność swoją — a w końcu, ze słabością wszystkim nam właściwą — dał z siebie wymódl słowo.

Staniewicz, Żmudzin, stał nieopodal od Złotego Anioła na Wilsdrufferstrasse. Tu znaleźli się ciż sami prawie z dodatkiem nowych przybyszów, między innymi Skulski, ten, który był zabił Giełguda, ukrywający się tu pod imieniem Zaręby. Na prezydencką teraźniejszej rady uproszono hr. Tyszkiewicza, który się od niej wymówił; zmuszono więc do zastępstwa p. Tarnowskiego (Trzcinańskiego), ażeby ład utrzymywał i marszałkował zgromadzeniu i — dla zadośćuczynienia wszelkiej formie, do pióra posadzono Krużyńskiego. Nuż tedy znów czytać projekt komitetu,

ale w początku zaraz przybyły wprost z Paryża Chłapowski objaśnił, iż tam jeden już istnieje, za nim Świrski oświadczył, że tworzenie nowych uważa za niepotrzebne, zbyteczne, nawet szkodliwe.

— Rząd saski — rzekł Świrski — mimo przychylności swej dla nas, cierpi nas tylko dopóty, póki może bez narażenia się rządowi silniejszym. Stracilibyśmy przytulek...

Za Świrskim przemówił hr. Tyszkiewicz, potem inni, wrzawa rosła coraz. Jedni się domagali komitetu, drudzy oponowali, niektórzy mówili, aby się popisać z wymową. Szczęściem dla uszów i cierpliwości tych, którzy nie brali czynnego w rozprawach udziału, nadeszła obiadowa saska godzina, grożąca tem, że później na głodno musiano by czekać wieczora. Poczęto więc skłaniać się ku solwowaniu sesyi, ale nim to nastąpiło, Kruszyński, który dotąd między rządem a wychodźstwem pośredniczył, objawwszy tę funkcję z polecenia Świrskiego, któremu ją zdał wyjeżdżający do Paryża Bonawentura Niemojowski, złożył swe obowiązki... Poczem posypali się wszyscy do drzwi, sesję solwowano na godzinę piątą...

Wychodzącego Tadeusza Henryk znów za ręką pochwyił.

— Przyjdiesz? — spytał.

— Nie, bo nie mam po co — tym razem stanowczo odezwał się Tadeusz — nie przyjdę...

— No, to już wiem, co to jest! wiem! — rzekł Henryk, ściskając jego rękę.

Ale, być-że to może, aby cię ta wiadomość, do której zdawna przygotowanym być przecie musiałeś, tak obeszła, iż wszystkich cię sił pozbawiła — a nawet ochoty do życia?

— Jaka wiadomość?... — podchwycił, stając, Tadeusz.

Henryk popatrzył nań, zawahał się — zmieszał

widocznie, jakby nie wiedział, czy ma mówić, czy zmilczeć.

— Nie, czyż ty nie wiesz tego, co dla drugich już nie jest tajemnicą? a od czegożeś omdlał, jeśli nie z tego...

— Ale cóż to jest? co? na miłość Bożą? nierozumiem! — zawołał zniecierpliwiony legionista...

— Jeśli znów ja mam być pierwszym zwiastunem przykrej wieści, to nie chcę! — rzekł Henryk.

— Nie potrzeba mi było zwiastować, że istnieje... — zawołał strwożony, chwytając za rękę towarzysza, Tadeusz. — Mów! czy to co ty czącego się mego syna? mego dziecka? — dodał skwapliwie i wpatrzył się w Henryka, który był wielce zakłopotany.

— Bynajmniej... Zresztą to może być bajka! ja nie wiem! Jeśli wy nie słyszeliście nic, to musi być plotka... której powtarzać nie warto...

— Cóż to jest ostatecznie? co to jest? mów! — naglił Tadeusz — nie puszczę cię. Najgorsza wieść nie wyrówna tej niepewności, w jakiej mnie trzymasz...

— Bo to widzisz... na co plotki daremnie roznosić! Głupstwom zrobił, żem o to zaczął — odezwał się Henryk zmieszany. — Wczoraj, czy pozawczoraj, z jakiegoś listu roznieśli tu tę wiadomość. Ale tyle baśni krąży... Zresztą, gdyby nawet była prawda, ty to, jestem pewien, mężnem zniesiesz sercem.

— Ale mów! mówże nareszcie, o co idzie?! — odezwał się do najwyższego stopnia rozdrażniony Tadeusz.

— A ty się nie gorączkuj! Rzecz w świecie najpospolitsza. — Nie ty pierwszy i nie ty ostatni! Twoja jejmość, korzystając z tego, że, jako wychodziec, jesteś *civiliter mortuus*, poszła sobie pono za mąż, za generała...

Tadeusz zbładł strasznie, ale usta mu skrzywił uśmiech wzdurliw, ironiczny.

— A! — zawołał — to tylko to! Miałeś mnie czem tak dręczyć! W istocie, spodziewać się tego mogłem i rozpaczać nie będę. Bądź zdrow.

Pomimo szyderskiego tonu, z jakim odchodząc, słowa te wymówił Tadeusz, głos jego drżał. Henryk poczuł w nim stłumiony jęk i stał chwilę, odejść nie mogąc. Patrzył na legionistę, który, zataczając się, jak upojony, wracał co prędzej pod Złotego Anioła, wpadł do swej izdebki i na klucz się zamknął.

Chciał być sam.

Jakkolwiek człowiek przygotowanym być może do ciosu, który ma w serce jego uderzyć — czuje on ten pocisk ostatni, bo ludzić się może do końca, iż los go odeń ocali.

Ta kobieta była dlań od pamiętnej nocy d. 29 listopada obojętną — przecież była to matka jego Olesia, jedyne dziecko, ukochanego nad wszystko, kobieta, którą był ukochał, której przebaczył wiele, śniąc, że w jakimś serca zakątku choć odrobinę czułości, pamięci zachowała dla niego — a na czołe wstępu choć trochę...

— Matka Olesia! matka Olesia! — powtarzał, chodząc po izbie z załamanymi rękami. — Żona bez serca dla męża! matka bez przywiązania dla dziecka!

Zakrył oczy i — począł się modlić.

Do tych, co w drzeniu i trwogach przebyli całą wojnę o niepodległość, należała pani Natalia. Siedziała w domu zamknięta, z nienawiścią do męża, któremu przypisywała los syna, z obawą, aby jej uczuć i myśli nie wyszpiegowano. Bojaźń ta nie była całkiem bezprzyczynną, utrzymywała bowiem korespondencję, przysyłała wiadomości z Warszawy i potrafiła sobie wielkie zaskarbić zasługi. Wieczorem, pocichu, schodzili się u niej ludzie, ukrywający się, jak

ona. Zamykano się u niej dla redagowania raportów, które szły śliczną francuszczyzną pisane.

8-go września, w domu przy ulicy Miodowej, otworzyły się okna i jaśniejąca, promienna, uśmiechnięta twarz pani Natalii wyjrzała po długo tłumionym strachu i gniewie.

Natalia wiedziała nieco, więcej domyślała się losów męża, od którego wprost nie miewała już dawno wiadomości. Wiedziała, że albo poledz lub wyjść musiał za granicę — potem stanowczo doniesiono jej, że się znajdował w Prusiech... Dosyć jej było tego, że powrócić nie mógł.

Ponieważ nic jej odmówić nie śmiano, podała natychmiast prośbę o zajęcie majątku dla syna, o którego uwolnienie, domagała się... Protekcya, stosunki, obietnice, nie dozwalały ani wątpić, iż wszystkie jej prośby zostaną spełnione. Tak się też stało. Syn sądzonym był do służby na Kaukazie; — pod pozorem choroby, dozwolono mu powrócić do matki.

Skalę też oddano jej, nie jemu, jako wynagrodzenie za straty, w których ściślejszy rozbiór wcale się nie wdawano.

Nagrodą tych łask było przyrzeczenie ręki generałowi L.

Wszystko odbyło się bardzo żwawo — czasu do stracenia nie było, pani Natalia w czasie wojny dostrzegła kilka siwych włosów na skroni. Natalia pojechała do swej Skali, aby z niej co rychlej zetrzeć ostatnie znamiona znienawidzonego człowieka.

Tadeusz, wybierając się z rodzinnego gniazda, rzucił tu wszystko — nie mając czasu nie ocalić, zabezpieczyć, ani zniszczyć. Pamiątki, papiery, ślady przeszłości... poszły teraz na ogień, do żydów... precz... Skala przybrała postać wcale nową.

Oleś tymczasem głód i chłód cierpiał, w żołnierskim płaszczu, pod karabinem. Ale wszędzie, gdzie są źli ludzie, Opatrzność i dobrych zsyla. Dzie-

cie obudzało litość w poczciwych sercach, a cierpieć uczyło się przykładem drugih.

Gdy jednego poranku niespodzianie zawołano go do sztabu i odczytano mu rozkaz, ażeby był zwrócony matce, gdy zarazem list do generała przesłany, oznajmił mu, iż pieniądze na podróż odbierze, a przy pieniądzach przyszła po francusku pisana matki karteczka, już nowem jej nazwiskiem podpisana — chłopak zrazu nie wiedział, co począć z sobą...

Na wspomnienie matki rumienił się. Niespodziane uwolnienie nową gorączką nabawiło go i rozbudziło fantazję... Przymuszony tać się z myślami swemi, rozpętłowywał je, zamykając w sobie. Z Tyflisu dano mu wkrótce potrzebne uwolnienie, kartę podrózną, pieniądze — a że drogi nie były bezpieczne, odbył pierwszą część podróży z małemi oddziałami kozaków, które zwykle wówczas pocztom nawet towarzyszyły. Tak dostawszy się do ziemi kozaków dońskich, pospieszniej już potem zbliżał się do Warszawy.

Przez całą tę drogę myślał, jak ma się stawić przed matką.

Z trwogą myślał o chwili przybycia do Warszawy; im ona bardziej się zbliżała, tem bardziej czuł się wzruszonym i niespokojnym.

Nie dojechawszy do stolicy, dowiedział się Oleś przypadkiem od jednego z towarzyszków uniwersytetu, potem kolegi w wojsku, którego w drodze spotkał, że ojciec jego, wedle wszelkiego podobieństwa, żył i znajdował się w Prusiech.

Ta wiadomość wzburzyła go... — nie mógł pojąć zamąpójścia matki... wzdrygał się na nie.

Dwa dni potem przeleżał chory w małej mieście, usiłując się uspokoić i obmyśleć, co mu czynić wypadało. Matka... matka występna... była dlań wszakże i być musiała zawsze matką!

Z postanowieniem ukrycia swych uczuć i stania o ucieczkę — zbliżył się do Warszawy. Dojeżdżając, ociągał się, odwlekał chwilę stanowczą, ale — i ona w końcu nadejść musiała.

Odarty, zbiedzony, chory, zastukał do drzwi wybronzowanych matki i wpuszczony został do oślepiającego przepychem salonu. Po chwilce szelest sukni jedwabnej oznajmił mu wejście tej, która zwała się jego — matką. Nie wyszła sama. Z cygarem w ustach, wyprostowany, szedł za nią barczysty, sztywny małżonek, surowo i z góry spoglądając na chłopca, odzianego jeszcze w płaszcz żołnierski, pokornie stojącego u drzwi.

Matka z żywością zrazu posunęła się ku niemu i — jakby rozmyślnie z rozczulenia przechodząc do powagi chłodnej, wstrzymała się na pół drogi. — Oleś patrzył na nią trwożnie. — Nie krzyknęła, nie odezwała się — podeszła ku niemu z wolna, nieco tylko zarumieniona.

Wyciągniętą mu rękę Oleś, zapomniawszy o wszystkim na chwilę, pocałował z uczuciem — ale usta matki nie zbliżyły się do jego czoła.

— Podziękuj temu panu, który ci dziś ojca zastępuje — odezwała się. — Jemu winienesz wolność...

Oleś zmilczał...

Po wyjściu generała matka zbliżyła się nieco do Olesia.

— Ja ciebie nie obwiniam — rzekła — byłeś nadto młodym, a przykłady nadto zaraźliwe — wszystkiemu winien on, twój ojciec, co cię tak wychował. Ale trzeba teraz o tych wszystkich głupstwach zapomnieć, a wstąpić zaraz do służby. Generał będzie cię protegował, awansu możesz być pewnym wkrótce.

— Ja — rzekł powoli chłopiec — nie mogę tak prędko być do służby zdatnym, bo się czuję chorym i bardzo znużonym...

— Prawda, wyglądasz okropnie — odezwała się nieco czulej Natalia — ale to skutek podróży. — Idź, pokażą ci tam pokój przygotowany dla ciebie na trzecim piętrze... powiesz, żeby ci dali co potrzeba... Na obiad przychodzić będziesz tylko, gdy ja ci powiem, w inne dni mamy wiele gości, toby było dla nas i dla ciebie żenującem. Zresztą... potem, zobaczmy...

Popatrzała nań długo.

— Proszę się zachować jak należy, a wszystko będzie dobrze.

Tak, nie okazawszy mu żadnego uczucia, podała rękę do pocałowania, popatrzyła jeszcze, zadzwoniła na kamerdynera i wydawszy rozkazy — skinęła głową na pożegnanie.

Oleś wyszedł osłupiały — w matce nie znalazłszy serca matki; gdyby był mógł zapłakać, płakałby może, tak czuł nieszczęście swoje.

Ale w Olesiu zawczasu przeniesione nieszczęścia wyrobiły hart duszy niepospolity — zgnieciony, upokorzony, cały zamknął się w sobie.

Pierwsze dnie wychodząc prawie, przebył w swej izdebce, bliższej poddasza, sam jeden, na rozmyślniach, co ma począć.

Pragnął ojca poszukać i losy jego podzielać. Planu tego wszakże bez czyjejs pomocy, bez stosunków, wykonać nie było podobna. Cekał na to, co los zdarzy.

Nigdzie nie spotkał znajomej twarzy. Przypominał sobie wszakże przyjaciela od serca w uniwersytecie, niejakiemu Seweryna Fiszer... Był to syn obywatela miasta Warszawy, czyli po prostu mieszczańska, pokrzywione miał nogi i niezdolny był do wojska.

Rodzice Fiszer mieli własny dom przy Wareckiej ulicy. Oleś — dostał się na Warecką ulicę. Właściciele domostwa zamieszkiwali na tyłach jego, bo to byli ludzie ubodzy. Oleś dostał się jakoś do kuchenki i

drżącym od wzruszenia głosem zapytał o Seweryna. Sługa popatrzyła nań zmieszana i nic nie odpowiedziała; ale wkrótce potem wyszła znajoma mu dobrze matka, która krzyknawszy na widok jego, wciągnęła go do pokoju. Nim się od niej mógł co dopytać, spłakała się naprzód, witając stokroć serdeczniej nad matkę rodzoną.

— Ale gdzież jest Seweryn? co się stało z Sewerynem? — począł naglić Oleś. Zamiast odpowiedzi, zaprowadziła go staruszka na piętro do malej izdebki i tu ukazawszy drzwi pokoju, wpuściła samego.

Seweryn leżał na kanapce, twarzą ku poduszce, podniósł głowę, usłyszawszy wchodzącego i w pierwszym wzruszeniu, zapomniawszy o kulach, mało nie upadł, chcąc naprzeciw koledze pospieszyć.

Powitanie było braterskie, rozmowa przerywana, bolesna, prawie niezrozumiała... bo się jej połowy domyślać trzeba było. Oleś jemu, on naprzemian towarzyszowi, opowiadali dzieje i przygody. Gdy przyszło do powrotu, do tego, co teraz znalazł w Warszawie, Oleś prawie mówić nie mógł, ścisnął milcząc przyjaciela, słów mu brakło.

— Ojciec twój żyje niewątpliwie — rzekł Seweryn — widziałem niedawno żołnierza, który z Prus powrócił, uwolnionego z powodu późnego wieku i kalcetwa, ten mi nazwisko ojca twego wymienił pomiędzy starszyzną, która wyszła ostatnich dni Grudnia do Francji. — Imię to dobrze utkwilo mi w pamięci.

Ale cóż ty myślisz począć z sobą?

— Ja? — cicho odparł Oleś — mam jak najmniejsze postanowienie udać się do ojca... ująć za granicę... Ale jak... jak to wykonać?

— Czekaj, — szepnął Seweryn — naprzód nikomu w świecie ani pół słowa... Ja pomyślę... powoli środki ucieczki znajdziemy.

Rozprawiali tak długo... Jedną z ważniejszych przeszkód do przedsięwzięcia podróży był brak pieniędzy. Oleś spodziewał się ich dostać od przyjaciół ojca w sąsiedztwie Skały, gdyby tylko mógł tam dać znać o sobie.

W Styczniu r. 1832 Oleś z okolic Skały, w największej tajemnicy, odebrał przysłane drogami ubożnymi trzysta dukatów, które ktoś ojcu jego na słowo pozostał był dłużnym. Postanowiono uciekać, i urządzono w ten sposób wszystko, ażeby uszedłszy z domu, pierwsze chwile poszukiwania i pogoni przebył w bezpiecznym schronieniu w samej Warszawie. Młodość Olesia, twarz bez zarostu, rysy wdzięczne, czyniły przebranie go za kobietę bardzo łatwym. Strój ten był dlań wstrętliwy, ale się stał koniecznym, bo on jeden mógł go uczynić bezpiecznym. Matka Seweryna przygotowała wszystko, ale u siebie mogła przechować, boby go tu najłatwiej wysledzono.

Zrana, wedle zwyczaju, wyszedłszy do kościoła, Oleś wymknął się z niego drugimi drzwiami i przez ogród klasztorny dostał się na drugą uliczkę. Tu już na niego czekano, zmieniono zaraz ubiór męzki, zaprowadzono do domu pod zamkiem i przebranego za dziewczynę, niby świeżo ze wsi przybyłą — zatrzymano.

Ponieważ Oleś częściej teraz z domu wychodził, aż do pory obiadowej nieobecność jego żadnych podejrzeń nie obudziła. Służący, który mu obiad nosił, rad, że się dobrze pożywi, gdy panicz nie nadszedł do wieczora, nie oznajmił nic o tem, zawsze sądząc, że powróci. Dopiero pod noc, gdy przeciw zwyczajowi do późna go nie było — dał sługa znać matce.

Pani generałowa wzięła to na karb jakiejś rozpusty młodzieńczej, dla której skłonną była być do zbytku pobłażającą i postanowiła nic mężowi nie mówić do rana. Dopiero gdy około południa nazajutrz

Oleś się nie pokazał, a ściślejszy przegląd jego mieszkania dowiódł, iż niektóre droższe pamiątki zabrał z sobą, pobiegła do męża z nowiną, że chłopiec chyba uciec musiał.

Natalia uczuła żal, ścisnęło się jej serce, płakała cały dzień. — Wyrzucała sobie zbyt surowe z dzieckiem obejście, które do rozpaczliwego kroku popchnąć mogło; ale — po czasie — czuła, że dla niej Oleś był stracony.

Trzeciego, czy czwartego dnia dopiero z pasportem służącej, na wiejskiej furce, przebrany za dziewczynę, chłopak wyjechał z Warszawy. W tej samej postaci dostał się do granicy i szczęśliwie przebywszy komorę — znalazł się na Szlaku, gdzie mógł nareszcie zrzucić z siebie suknie kobiece i odetchnąć swobodnie.

We Wrocławiu jeszcze nie był pewnym, dokąd mu się udać przyjdzie, zwykły wszakże ówczesny gościniec polski wiódł go do Francji, na Drezno. Opiekun jakiś, następczyni mu we Wrocławiu, opatrzył go w paszport austriacki, z którym jako galicyanin, pod imieniem Izydora Hłaski, ruszył do Saksonii. — Już we Wrocławiu mówiono mu o wielkiej liczbie przebywających tu Polaków, głównie w Dreźnie i Lipsku. Spodziewał się więc od którego z nich zasięgnąć pewniejszych o ojcu wiadomości.

W smutny wieczór zimowy dyliżans, wiozący Olesia od Budziszyna, wtoczył się nareszcie przed pocztę drezdeńską. Zabrawszy swój tłumoczek i spytawszy, gdzie najłatwiej znajdzie pomieszczenie, dostał od kogoś wskazówkę do gospody pod Trębaczem. Poszedł więc tam, z człowiekiem niosącym rzeczy, i w istocie na drugim piętrze znalazł zimny pokój.

Noc na śnie twardym upłynęła. — Nazajutrz potrzeba było wyjść na miasto, zorientować się, poszukać kogoś, rozpytać. Machinalnie pokierował się wprost przed siebie, idąc napowrót ku tej pocztce, w której był

wysiadł, a potem uliczkami ku Zwingrowi. Nie wiedząc sam jak, dostał się tędy do placu i kościoła.

Na zapytanie u drzwi, powiedziano mu, że kościół był katolicki...

Dzwoniono właśnie na mszę ranną w zakrystyi, gdy Oleś wszedł...

Pod wysokimi sklepieniami szary mrok jakiś panował, mrok ponurych dni zimowych... Ksiądz szedł ze mszą do bocznego ołtarza. Wiedziony uczuciem jakimś niewysłowionem, Oleś za nim się udał i nieopodal uklęknął. Przyszły mu na myśl szkolne lata, gdy do mszy posługiwał.

Chciał, rozczulony i przejęty, z dziękczynną modlitwą, za ocalenie swe cudowne, złożyć Bogu serce w ofierze. Ołtarz, ksiądz, ranna prymaryi godzina... przemawiały mu wspomnieniami do serca. Ukląkł.

Niedaleko od niego w siwym, grubym płaszczu, z osłoniętą twarzą, modlił się klęcząc mężczyzna, którego tylko srebrzący się włos siwy po nad kołnierzem widać było. Przy podniesieniu ów modlący się padł cały na ziemię i jęknął.

Na głos ten Oleś się odwrócił, jakby ze snu przebudzony — obejrzał się.

W tej chwili od ziemi podniosła się właśnie twarz nieznajomego.

Oleś nie mógł powstrzymać okrzyku podziwienia. To był — ojciec!

Wejście Tadeusza padło także na syna, ale nie dowierzając cudowi — zdumione, przełękł tem, co mu się jeszcze wydawało złudzeniem.

Nagle, wpatrzywszy się, jak klęczał, tak podpełznął na kolanach syn do ojca, ojciec do syna i przed tym ołtarzem padli sobie w objęcia, płacząc oba.

Oba razem, klęcząc przy sobie, dosłuchali na modlitwie gorącej, mszy świętej i po ostatniej ewangelii, błogosławieństwie — wyszli milczący, trzymając się za ręce...

Rzadkie są w życiu chwile tak błogie, w których człowiek, napawając się szczęściem, o wszystkim w świecie zapomina. Taką chwilę dała dwóm tym ludziom Opatrzność.

Szli z sobą, ciągle milcząc jeszcze, aż do bramy Jerzego. Tu ojciec począł znów ścisnąć Olesia i wpatrywać się weń, szukając na jego twarzy śladów przebytego losu, o który jeszcze pytać go nie śmiał.

Oba rozmowy począć nie mieli odwagi. — Nieobecna pomiędzy nimi, stała nieszczęśliwa kobieta, której imienia bez wzdargi i litości wspomnieć nie mogli — a poszanować w niej musieli godność żony i matki...

Drżąc, prowadził z sobą Tadeusz syna do mieszkania, urywanemi słowy pytając go tylko, zkąd i jak przybył. Oleś odpowiedział mu krótko... Powiedział, że uwolnienie z Kaukazu winien był matce, nie zataił tego, ale nie wspominał nic o przyjęciu w Warszawie, ażeby ojcu zdawać się mogło, iż dziecko przyjęła macierzyńskim uściskiem.

Potem już mowy i wspomnienia o niej nie było. Jak grób obchodzą ludzie, aby nań nie stąpić, tak oni oba omijali Natalii imię...

Cały ten dzień w izdebce Tadeusza przeszedł na czarownej rozmowie. Posłano po rzeczy do gospody, aby się więcej nie rozdzielali z sobą. Tadeuszowi przybyła pociecha wielka, ale i nie mniejsza troska. Syn jego szedł na to nieznane tułactwo, które on już znał, jako najcięższą próbę człowieka.

Zmierzchało już, gdy drzwi się otworzyły, zabrzmiała piosenka i wtoczył się pułkownik Henryk... Nie spostrzegł zrazu Olesia i już miał żołnierską rozpocząć rozmowę, gdy Tadeusz, podając mu rękę, zawołał:

— Patrz, bracie, jakim mnie Bóg szczęściem obdarzył... patrz! to mój syn, mój syn, uwolniony cu-

dem z Kaukazu, zbiegły cudem z Warszawy i dziś cudem odzyskany w kościele...

— Jakto, w kościele? jakim sposobem? co?—zapytał Henryk wśród mroku, napróżno usiłując się przypatrzeć twarzy młodzieńca.

Tadeusz w krótkich słowach opowiedział ranną przygodę...

— Ale, jak Boga kocham, jeśli nie fanfaronujecie, o co was nie śmiałbym posądzać, to istotnie cud! No—i to dobrze! przy tak widocznej łasce Boskiej, gdybyście się powinni podzielić radością z ziolkami, siedzicie jak mnichy w celi.

To nie do zniesienia! Miałem być dziś albo w teatrze, albo u pani Szymanowskiej—ale ażeby historię tego pana Aleksandra posłyszeć—zapraszam was na ponczyk do cukierni... Zróbcie mi tę łaskę.. Albo nie, chodźmy razem do Bydłowskiego... tam się nasi schodzą... tam was uraczymy i posłuchamy...

Tadeusz już z kilku dni doświadczenia wiedział, że u Bydłowskiego srodze grywano, tego przykładu lekkomyślności i szalu nie chciał synowi stawić przed oczyma...

— Mój drogi pułkowniku—zawołał—jakkolwiek bardzo ci jestem wdzięczny, ale Oleś zmęczony, ja złamany szczęściem, kroku się dziś z domu nie ruszymy. Poncz, jeśli raczysz wypić szklankę z nami, znajdzie się i u Złotego Anioła.

— We trzech? a fe! ale nie! — przerwał Henryk — jeśli mi odmawiacie, ja też odmówię, bo co ja tu będę robił z dwoma rozczulonymi do łez a tak bogobojnymi ludźmi... Kocham was, a znudziłbym się z wami na śmierć! Nie!—nie...

— Ale ponczu się napijesz? — spytał Tadeusz, idąc do dzwonka...

— No, tak, w krótkich abugach... szklaneczkę—odparł pułkownik — dzień zimny, do Szymanowskiej kawał drogi... szklanka ponczu nigdy nie zawadzi...

Przyniesiono ową szklankę...

Pułkownik zapalił cygaro i zagadnął Olesia, ale ten skromnym był w słowach. Najwięcej zabawiło pocziwego żołnierza, gdy się dowiedział, że uciekać musiał w kobiecych suknaich.

— Ale to, jak Boga kocham—*je vous donne ma parole*, doskonała historia, czysty romans... dopijam ponczu, niosę nowinę do pani Szymanowskiej i jutro wam pokoju nie dadzą... stanicie się bohaterami dnia! Załóżcie się, że otrzymacie pięć zaproszeń na obiad i drugie tyle na herbatę...

— Na miłość Bożą, pułkowniku, byłoby to najcięższą dla nas klęską...

— A to dziwactwo! my się wam kwasić nie damy! tak nie może być... z ludźmi żyć potrzeba. Tyś stary, ale Olesiovi się osamotnieć nie godzi... ja na to nie pozwolę...

To mówiąc, nałożył kapelusz na głowę, poszedł do zwierciadła, wąsy zakręcił do góry i pożegnawszy, wyniósł się z nowiną na miasto...

Ocaleni na ten raz zostali sami... Tadeusz i Oleś, i do północy gwarzyli.

Tadeusz, przebywszy czas jakiś w Dreźnie, za innymi pragnął przenieść się także do Francji, ciągnęli tam wszyscy chciwi czynu; rachował też na to, że w Paryżu będzie mógł przerwane i zwichnięte dopełnić wychowanie syna...

Jednego poranku, nie opowiadając się nawet współtowarzyszom, którzy napróżno do narad go ciągnęli, zapakował tłumoczek i cicho z Olesiem wymknął się z miasta, dążąc ku nowej ojczyźnie...

Los chciał, by nasi podróżni po drodze do Straszburga spotkali nieopodal od tego miasta kolumnę polskich wychodźców, która przebywszy wśród okrzyków zapалу całe Niemcy, upojona, dążyła także na owo

stanowisko zbiorowe. Francya w pojęciu wszystkich, to były legiony...

Kilku ułanów poznało siwe wasy ulubionego pułkownika, kilku akademików rzuciło się do Olesia, mimowolnie stanąć musieli i połączyć się z nimi, a jakże ich potem było porzucić? Tadeusz ze łzami w oczach powiedział sobie, że ich losy podzieli...

Spotkanie to, które oni wówczas szczęśliwem mienili, pod samym Strasburgiem ich wstrzymało.

Na płaszczyźnie w dali, zarysowała się olbrzymia strzała sławnego tumu...

Zdaje się, że tu oczekiwano już na oddział, o którym wcześniej zawiadomione były władze, bo przed bramą miejską czekała nań gwardya narodowa z muzyką...

Wszyscy wysiedli i poczęli się ścisnąć z nieznanymi braćmi, panowie gwardziści wzięli pod rękę tulaczów i przy odgłosie muzyki, szli na główny rynek, gdzie rozdawano bilety...

Całe miasto wybiegło przed domy i do okien, rzucano kwiatami, witano chustkami, wyrivano sobie przybyłych, ciągnięto ich do gospód, w których najserdeczniejsze czekało ich przyjęcie.

Pod pozorem choroby, Tadeusz potrafił się wyknąć na cichszą kwaterę z synem... ale po tego wbiegli zaraz towarzysze i wyciągnęli go z sobą...

Nazajutrz miasto dało wielki bal w teatrze na korzyść Polaków, bilety płacono po 25 franków, a osób było parę tysięcy... Przepysznie oświetlona sala, jaśniała pięknymi twarzami i ubiorami... Ochota i wesołość gospodarzów kazała gościom zapomnieć o tem, że troskę wiedli za sobą.

Nie jeden z tych, co wyświeżony bawił się noc całą i błyszczał dowcipem, nie miał grosza w kieszeni, żadnego środka do życia na przyszłość i żadnej nadziei pomocy z domu. A jednak... śmiano się w oczy groźnemu jutru, jakby wyzywając niedolę,

która szła z osłoniętą twarzą naprzeciw uśmiechniętych... Nie jeden później z tych taneczników wesołych... miał mrzeć samotny na poddaszu z tęsknoty i głodu.

Ale można było wapić o przyjaźni i opiece rządu, którego reprezentanci gospodarzyli na tym balu? Prefekt departamentu, generałowie dywizyi i brygady, urzędnicy wyżsi, oficerowie w paradnych mundurach...

Blahe te oznaki zwiększały nadzieje i złudzenia.

Polacy zaproszeni byli wszyscy, nalegano od początku, by tańcowali, oparł się temu pułkownik Oborski i wyjątkowo tylko ku końcowi puścili się niektórzy...

Po balu ciekawi oglądać poszli Strasburg... Jeden z nich—żołnierz, w prostocie ducha wdrapał się na wierzchołek, a spytany dlaczego piął się tak wysoko, odpowiedział smutnie:

— Myślałem, że ztamtąd Polskę zobaczę.

Przyjęcie takie, jak w Strasburgu, czekało ich niemal wszędzie po drodze. Polacy byli nowością, byli modą... kolumny ciągnęły do Besançon na Colmar... Tadeusz i Oleś powlekli się za niemi, aby przypatrzeć się zblizka losom towarzyszków, których tu zrazu do tysiąca osiemset się zebrało. Wybrali oni dla porządku między sobą władzę, na której czele stał pułkownik Oborski. Akademicy a dawni towarzysze powiązali się w kółka, rozpoczęło się oczekiwanie, nasłuchiwanie i owo życie bez celu, bez stałego kierunku... które musiało rozproszeniem się skończyć. Pomimo namów swych dawnych znajomych, Aleksander po kilku dniach pobytu, pojechał z ojcem do Paryża.

Tadeusz, choć ulegał może pewnym czasom owego i ogólnych usposobień wpływom, skutkiem poprzedzających życia doświadczeń, jaśniej widzieć się zdawał przyszłość niż towarzysze. Nie rozczarowy-

wał on nikogo — mówił niewiele, synowi nawet nie odbierał nadziei, ale milczeniem a smutkiem dowodził, że dla niego przyszłość wcale się inaczej przedstawiała.

W Paryżu, który do dzisiejszego wcale nie był podobnym ani fizyognomią, ani duchem, tułacz stanął za Sekwaną na jednej z małych uliczek, w gospodzie taniej i skromnej. Trzeba było rozpatrzyć się, postanowić coś, obmyśleć. Wprawdzie rząd obiecywał subsydia i pensye, tworzyły się komitety, mające się starać o fundusze, obiecywano sobie przyszłość spokojną — ale Tadeusz zwykł był rachować tylko na siebie i trzeźwo zapatrywać się na położenie. Z założonemi rękami czekać nędzy i być zmuszonym zebrać pomocy, oburzała się jego dusza.

Trzeciego dnia po obejrzeniu miasta, po wypoczynku, po zetknięciu się z ludźmi, którzy nalepiej oświadczomieni być mogli z tem, co się we Francyi działo, stary legionista zawołał na radę syna.

— Mój Olesiu — rzekł — jest twojego wieku cechą i przymiotem, że on wszystko widzi jasno, tak samo o porankowej dobie dnia pogodnego oblewa się świat żywymi blaskami; jam stary, złamany i w moim wieku widzi się wszystko szaro a ciemno. Nie miej ty mi tego za złe, jak ja ci za złe wziąć nie mogę uśmiechu... Wolę, dla wszelkiego bezpieczeństwa, przewidywać zło, ażeby mu zapobiedz.

Nie ma się co łudzić — Francya da nam śpiewać, pisać, radzić i nic dla nas nie zrobi... O legionach wątpię... lub jeśli będą, to znów legie do wysłania na jakie San Domingo.

Do kraju powrócić ja nie mogę, ty nie zechcesz, oba nie mamy po co! niestety! Zebrać nie potrafimy... Zliczywszy obie kasy nasze, nie przeniosą one pięciuset dukatów... Jest to wiele w stosunku do tych, co nie mają nic i żyją z komitetów, a bardzo mało na dwóch ludzi, którym już nie więcej znikąd przyjść nie może.

Moją myślą jest szukać pracy, dla ciebie trzeba nauki. Ja obejdę się jak najmniejszym... Wszystko potrzeba poświęcić twojej przyszłości... powiedz mi, do czego masz ochotę, jakie obrałbyś powołanie? Co do mnie, ponieważ na siłach mi nie zbywa, a pracować obowiązkiem — ja sobie już stan obrałem... będę rzemieślnikiem...

— Jakim? — zapytał Oleś zdziwiony.

— Zgadnij — rzekł wesoło Tadeusz.

— Nie potrafię... — szepnął syn.

— Więc nie pamiętasz, co stało u mnie w Skale, tam, pod oknem mojego pokoju? — spytał Tadeusz.

— Al! tokarnia!

— Tak jest, tak, mój drogi, dla czegożbym nie miał spożytkować mojej siły i zręczności, aby sobie na chleb zarobić?

Oleś zamilkł, smutno mu było, ale się nie śmiał sprzeciwiać.

— Wejdę jeszcze na naukę do tokarza — rzekł legionista — a potem założę warsztat na swoją rękę... Drudzy z tego żyją.

— A więc, kiedy tak, to i ja — odparł Oleś — już się na coś zdecydowałem. Może się porwę nad siły... ale mi się zdaje, że medycyna odpowiedziałaby i mojej miłości dla natury, której tajemnice bliżej poznaćbym pragnął, i potrzebie wyżywienia się pracą. W najgorszym razie z medycyną mogę choćby do Ameryki jechać, a z głodu nie umrę...

— Tak — zawołał Tadeusz — nic nie mam przeciwko niej, ale przestrzegam, że nauka ta więcej nad inne do przewyciężenia przedstawia trudności... Oswoic się trzeba z tem, co dla nas obrzydliwem było... uczuciu kazać milczeć... a...

Szli tak, rozmawiając, gdy naprzeciw nich ukazał się słuszny, wojskowo wyglądający mężczyzna, który, Tadeusza postrzegłszy, wykrzyknął.

— I wy tutaj! oddawna?...

— Od kilkunastu dni, panie generale.

Nadchodzący był generałem w istocie i jednym z tych, co się najwięcej śmiałością i szczęściem odznaczali.

— Jakto? a nigdzie was nie widać.

— Gdzieżbyśmy być mieli? — zapytał Tadeusz.

— Przecież gdziekolwiek bądź, między swojemi — przerwał jenerał — kupą się trzymać należy, nie odłączać... bo rozproszeni zginiemy.

— Co z sobą myślicie?

— A! — odparł, śmiejąc się Tadeusz i wskazując na syna — schwyciłeś nas jenerale na uczynku... oto w tej właśnie chwili syn mój obrał sobie za powołanie medycynę, a ja postanowiłem rzucić się do rzemiosła...

Jenerał spojrział na nich zdziwiony tak, że przez chwilę odezwać się nie mógł.

— Jakto? — zawołał — nie rozumiem... Po cóż to wszystko! Jesteśmy żołnierze, szabla nam tylko przystoi... Pójdziemy do Belgii, za morza bodajby... Ja tylko to jedno rozumiem powołanie.

Tadeusz podniósł głowę.

— Służby podobnej próbowałem — rzekł.

Na twarzy generała uśmiech jakiś przebiegł, w którym było niby politowanie... i pobłażliwe zdziwienie.

— Ha! — odezwał się — zrobicie, co się wam podoba...

Przeszli tak chwilę z sobą. Generał chłodno podał rękę Tadeuszowi i wyprostowany, sztywny poszedł na narady do księcia Adama...

Dwaj tułacze pociągnęli na swą uliczkę, zatopieni w myślach.

— Olesiu mój — szepnął ściskając syna, gdy weszli do domu ojciec — wierzaj mi, łudzić się darmo... trzeba się wziąć do pracy...

Księga XVII.

NA PARYSKIM BRUKU.

Dwa lata upłynęły od czasu, gdy przewidujący przyszłość legionista przeczuł chwilę, kiedy zabraknie onego entuzjazmu, a nadejść mogą chwile jawnej niechęci.

Przecucia te aż nadto się sprawdziły nieszczęśliwa wyprawa Zaliwskiego, naleganie rządów, wreszcie znuzenie, któremu łatwo ulega naród francuski, gorączkujący się skoro, ale też wyziębiallycy zbyt prędko — spowodowały zupełną prawie zmianę stosunków emigracyi we Francyi.

Wiele się marzeń rozwiało, wiele nadziei poszło na dno, coraz straszliwsza rzeczywistość nagie zaczęła pokazywać oblicze. Rząd francuski skąpą i niechętną dłońią dawał jeszcze subsydia, wyglądające na jałmużnę, ale drogo je środkami surowemi opłacać kazał.

Wychodźcy, internowani jak zbrodniarze, ruszyć się już nie mogli z miejsc im wyznaczonych; każdy,

który samowolnie przestąpił granicę, tracił do powrotu prawo i nadzieję pomocy...

Ci, którym wyniesione z kraju zasoby starczyły jeszcze, żyli po dawnemu, ci, co otrzymywali przekradane zasilki, o nich ciągnęli do godziny spodziewanej, inni o szczupłej pensyjce schodzili na żebraków głodnych... niewielu pracą i zabiegliwością potrafiło sobie niepodległość zabezpieczyć.

Zwolna ta społeczność polska wychodziła, tak jedna i cała, rozpadała się nie już na stronnictwa polityczne i nieprzyjazne obozy, ale na najróżniejsze stany i transfiguracje losu.

Jedni wcielali się do rodzin francuskich... wcale wykształceniem i pojęciami ich przeszłości nieodpowiednich, drudzy płynęli do innego świata, kędy ich nie lepsze losy czekały; innych osamotnienie w kącie zapadłym odrywało od swoich na wieki... tamtych zabijała tęsknica, tych kule w wyprawach awanturnych.

Księżę Ogiński zakładał introligatornię w Paryżu... drugi stawał się mistrzem tańca, trzeci ogrodnikiem... nie licząc tych, którzy na poddaszach o chlebie i wodzie politykowali do upadłego.

Pobożnych schwyliły bractwa i stowarzyszenia, liberalnych pochłonęły spiski kosmopolityczne.

Któż te niedole policzyć? kto całą rozmaitość losów obejmie?... kto wszystkie odcienia tego życia odmalować potrafi?...

Tragedya, dramat, wszystko, aż do farsy, odbija się na licu schorzałem.

W boleściach powoli reszta złudzeń się rozpryskiwała... wychodźstwo czuło potrzebę zjednoczenia, organizacyi, władzy, a formy ich przez wszystkich uznanej, znaleźć nie umiało i nie mogło.

Wśród tych walk, na których ogół ciągle tracił, nic nie zyskując nigdy — Tadeusz, co mu za złe miano, jeden z pierwszych odłączył się od napróżnej

a częściej słowa szermierki — poszedł w cichości pracować... Wielekroć spotykali go dawni znajomi z wyrzutami, odpowiadał im chłodno — że do polityki nie czuł powołania i że do próżnych narad należeć nie chce. Osadzono go chłodnym, ale gdy szyderstwa i groźby nie pomagały — dano mu pokój.

Starzy znajomi z innego świata albo już w nim nie poznawali dawnego towarzysza lub udawali, że go nie widzą. Ubóstwo też odstręczało, obawiali się możniejsi, ażeby zapomogi nie potrzebował...

Tadeusz uśmiechał się z tej trwogi, którą na twarzach ich czytał... i milczący dalej szedł swą drogą.

Razem z synem na przedmieściu św. Antoniego mieli na czwartem piętrze najęte dwie izdebki.

W jednej z nich uczył się Oleś, otoczony książkami, kośćmi i preparatami anatomicznymi, w drugiej ojciec toczył od rana do wieczora dla tych, którzy mu robotę do domu dawali. Zarobek był bardzo mały, chociaż bardzo misternie nauczył się wyrabiać najtrudniejsze i najdelikatniejsze ozdobne sprzęty... Do wielu jeszcze bardziej skomplikowanych brakło kosztownego warsztatu i narzędzi... Nie zrażał się wszakże stary żołnierz i pracował milczący. Myśl jego od warsztatu biegła w sfery inne, a praca rąk nie przeszkadzała dusznej...

Naprzeciwnko, na ścianie, wisiał na drewnianym krzyżu wizerunek Zbawiciela, w koronie cierniowej, ze zwisiła na ramię głową... W niego wpatrywał się, by siły zaczerpnąć, legionista... a czasem, gdy mu się niewypowiedzianym bólem ścisnęło serce, szedł pokłęknać i pomodlić się... kto by go był tak widział, wśród dnia, od rzuconych narzędzi pracy, odbiegającego nagle do stóp tego wizerunku wielkiej ofiary, byłby sam może łzę uronił nad tą niedolą milczącą, pokorną.

Całą pociechą było dlań, gdy po dniu trudu do czekał się na wschodach znanego odgłosu chodu uko-

chanego dziecięcia, gdy je w progu witając, pochwycił dłonią spracowaną za głowę, by na czole złożyć pocałunek — gdy potem siadł w poufnej rozmowie dopytując o szczegóły dnia, o lekcye, o trudności, o najmniejszy krok Olesia, nad którym czuwał z macierzyńską troską.

W izdebce był piecyk, który im służył za kuchenkę. Tadeusz w życiu swem nigdy wprzód nie umiający pomyśleć o potrawie i jadle, najczęściej sam gotował sobie i Olesiovi, ażeby mu oszczędzić czasu. Żona odźwiernego niekiedy im z miłosierdzia pomagała natrętnie...

Tadeusz nieraz też głodził się potajemnie, ażeby oszczędnym groszem dziecku dać pokarm obłitszy i ponętniejszy. Kłamał pobożnie, iż jadł wprzód, ażeby dla Olesia dać więcej i lepiej. W godzinie wieczornej dopiero, gdyż we dnie Oleś się także obchodził bułką suchą i szklanką mleka — zasiadali razem do skromnego obiadu. Najczęściej Tadeusz zapewniał, że już jadł wprzód... i karmił tylko zgłodniałe dziecko. — Starszy wiek mniej potrzebuje, obchodzi się małem.

Uczyły to były pytagoryjskie, spartańskie raczej, do którychby po dostatnim polskim chlebie nawyknać było trudno. Kawalek mięsa, trochę zielonej sałaty, chleb i atramentowego smaku wina szklanka składały najczęściej ubogie ich jedzenie. Tadeusz sam gotował trochę kawy... chleb zadławił resztę głodu. I tak się żyło z dnia na dzień.

Ci z wychodźców, dla których stół wykwinny był prawie życia warunkiem, dworować musieli móżnym, aby się ich okruciami pożywić.

Ale powolnie zbliżył się koniec lat nauki i Oleś mógł się spodziewać, że ze stopniem lekarza, zaświeci lepsza przyszłość. Szczęściem dlań, zagrzany miłością ojca umysł jego, rozwinął się bardzo świetnie — zdolności okazały niepospolite, a że chęć pra-

cy była niezmierna, uczeń ten musiał zwrócić i nauczycieli bacność i współtowarzyszów zjednać szacunek... Prorokowano mu, że jeden z najświetniejszych w Paryżu operatorów weźmie go za pomocnika. Dorównywało to zapewnieniu najpiękniejszej przyszłości.

Tak stały rzeczy w ubogim kątku naszych dwu tułaczów, gdy — mimo najgorętszych modlitw, zupełnego oddania się na wolę Bożą — pracy nad sobą i walki z sercem, Tadeusz coraz bardziej opanowywany tęsknicą za krajem niezmierzoną, nieuleczoną, nieprzewycięzoną — zapadł w rodzaj choroby wycieńczającej i groźnej. Oka syna ujść ona nie mogła, ale nawet Oleś nie mógł nigdy być pewien ani przyczyny, ani natury słabości. Tadeusz był zamknięty w sobie i skarga nigdy z ust jego się nie wyrwała.

Bronił się wezbranemu uczuciu, ażeby synowi nie dodawać nadaremno bólu...

Ale w chwilach, gdy dziecka przy nim nie było, gdy sam jeden, zamknięty, wśród ciszy... wydany był na łup własnych myśli — choroba, gorączka, tęsknota, brały górę i zmuszały go do krwawego z sobą boju... Nieraz musiał porzucić warsztat, bo mu się w oczach łzami zachodzących śmiło, bo ręce zimnym potem okryte drżały, bo w piersi brakło tchu... i czoło stygło jak lód po wierzchu, gdy wewnątrz czuł pod nim gorejące płomienie. Naówczas młodość, matka, Skala... ze swym dworem, cmentarz, na którym pogrzebał ostatniego druha i najlepszą z matek — ogród, drzewa, ścieżyny, woń tamtejszego powietrza, dźwięk wsi polskiej... twarze upiórów jakichś nieznane a swoje... otaczały go widmami i wołać się zdawały: — wróć tam umierać!

Jakaś siła niepojęta, straszna, gwałtowna jak śmierć, pociągająca jak przepaść, chwytiała go i rwała ku swej ziemi... Obawiał się pomieszczenia... nie był

panem siebie. Godziny upływały w jakiejś gorączce wspomnień z sercem bijącym, jakby się ona siłą woli uprzytomnić i odrodzić mogła... siedział z założonemi rękami, odśniwał przeżyte godziny... i płakał...

Złamany tą chorobliwą tęsknicą, napróżno klękał na modlitwę...

W modlitwie tętnił dzwonek polskiego kościoła... głos naszych wiejskich organów, woń zieleni wędniejących u ołtarzy... Napróżno błagał Boga o oddalenie tej pokusy... na chwilę przemożona, powracała na jawie, wracała we łzach... stawała u warsztatu... nie opuszczała go nigdy. Wzrost tego cierpienia, mimo staczanej z niem walki, codziennie był widoczniejszym, zamiast słabnąć, wzmagano się ono codziennie.

Oleś widział tylko ślady jego na licu, o stanie ducha, starannie tajonym, nie wiedział...

Z każdym dniem wszakże było coraz gorzej a gorzej...

Jednego poranka, rad, że zmuszonym był wyjść, gdyż hałas uliczny rozbijał te myśli natłoki, Tadeusz, z robotą wykonaną pod pachą, wybrał się do składu, z którego miewał dawane sobie roboty.

Była to wiosna właśnie i dzień, jak na kwietniowy, do zbytku ciepły a piękny; niebo po nad Paryżem roztaczało się w błękitech niemal włoskich... białe chmurki toczyły się po niem wesoło... Ruch w mieście był ogromny i miał tę cechę paryską ochoczą a rażą, jaką mało ma miast europejskich... Wyszedłszy z ciasnych uliczek przedmieścia, zmuszony przebiegać się do wytworniejszej części miasta, Tadeusz dostał się wreszcie aż do placu Vendôme i napoleońskiej kolumny.

— *Mais c'est impossible!*

Dodać należy, iż Tadeusz miał na sobie niebieską bluzę robotnika, ubiór ubogi i czapkę starą...

Ten wykrzyknik zmusił go zwrócić oczy... przed nim stał, od Drezna niewidziany, pułkownik Henryk.

Mniej on był zmieniony wprawdzie, ale i na nim tych lat para odcisnęła się bardzo wyraźnie. Na pozór był to jeszcze ten sam człowiek, dbały o swój ubiór i wąsy, o postawę, o powierzchowność... ale zbliżka wpatrzywszy się, znać było po wytartych sukniach, wątpliwego kształtu butach, bieliźnie starannie ukrywanej, nawet twarzy żółkłej i oczach zapadłych, że wiele marzeń i rzeczywistości od rażnego dawniej emigranta, daleko gdzieś odlecieć musiały...

Pozostał cień świetnego pułkownika, ale wyblakły i stary...

Tadeusz, poznawszy go, zawahał się, czy ze swą bluzą do tak jeszcze wytwornie wyglądającego pana zbliżyć mu się będzie godziło. Pułkownik tymczasem oczy otwierał i usta coraz szerzej, powtarzając:

— *Impossible...* Ale, do stu katów — albo Tadeusz... albo...

— Ja sam, ja, mój stary sąsiedzie, nie mylisz się...

— Cóż to jest? w bluzie? przystałeś do demokracji? czy to jest habit zakonu nowego? po co? na co? jak? czy nie masz ani z domu nic, ani pensji z subsydyów? Jakże to może być? Ty! w bluzie... przecież... przyjaciele, książę Adam... komitet...

Wyrazy te wymówił Henryk pospiesznie, z przestrachem prawie, tak, że Tadeusz uśmiechnąć się musiał.

— A! rzekł powoli — co się tam dziwicie. Na niczyjej łasce być nie chciałem, prócz na mej własnej... i... ale jakże się wy macie?

— Ja? ja? zapytał Henryk — jak widzisz... wybieram się w służbę cudzoziemską, nie mogąc doczekać nic dla nas... a tymczasem pracujemy...

— Pracujecie?

— Tak jest! tak jest! wy bo widzę obcy wszystkimu... Jakże, nie wiecie nic? nie mieszacie się do niczego? Nie należycie do żadnego towarzystwa? Jakież są twoje opinie... czy jesteś z Księciem, przeciw Księciu? Lelewelista, czy Czartoryszczyk?... Mów!

— Usunąłem się od czeczych paplanin, których nie lubię...

Henryk ramionami ruszył.

— Ale to znów śmieszna rzecz... żeby nawet nie wiedzieć co się ze swymi dzieje? Przecież my pracujemy i po gabinetach, i po dworach, i na wszelkich drogach...

— Daj mi pokój, pułkowniku — odparł Tadeusz — nie będę wierzył w nic.

— Cóż to niesiesz pod ręką? — zapytał Henryk?

— Moją robotę... tokarską.

— Jak to? rzemiosłem się zajmujesz?

— Jak widzisz...

— Nie masz pensyi?

— Nie starałem się o nią, są potrzebniejsi.

Henryk ruszył ramionami.

— Już to prawda — szepnął — że Francya ze straszną meskineryą postępuje sobie z nami. Targują się w izbach o mizerne 300,000 fr. i grożą nam, że subsydyja dawać przestaną. Cóż dla Francyi znaczy nędzne półtora miliona? Ja, proszę cię... naprzykład, ja... ja... wiesz, co mi oni dają?

Ruszył ramionami z pogardą.

— Gdyby nie to, że się człowiek w ciągu tygodnia to tu, to tam pożywi, zaprosi na obiad, podje... liźnie, powiadam ci, przyszloby przestać na frankowych obiadach, które są trucizną...

A tobież jak się dzieje? he?

— No — tak — ubogo, ale ja niewiele potrzebuję — rzekł Tadeusz...

— Toś szczęśliwy! — zawołał, śmiejąc się Henryk — bo oto ja, na przykład, jeśli mnie hrabina M...

nie zaprosi na obiad, dalipan jestem bez pięciofrankówki w kieszeni! Czy... nie miałbyś tam zbywającej?

— Niestety! — nie — odparł Tadeusz, idę dopiero po moją szczupłą należność, a mieszkanie zapłacić trzeba.

Rozstali się milczący... — Henryk poszedł do hrabinej M... w nadziei, że jego dobry humor wyjedna mu na obiad zaproszenie... Tadeusz do swojego przedsiębiorcy... mającego skład mebli i sprzętów wytwornych i znaczną pracownię stolarską...

Twarz jego, na chwilę poczerwieniała wzruszeniem, okryła się znów bladością, oko przygasało... spuścił głowę i przybrawszy pozór obojętny, jako prosty robotnik wszedł do magazynu.

Składy i warsztaty zajmowały wielką przestrzeń, jeszcze naówczas nie tak przedrożałych, jak dziś, gruntów Paryża; od ulicy znajdował się wspaniały sklep, którego okna ozdobne wychodziły na ulicę *de la Paix*.

Tadeusz i jako człowiek i jako artystycznym uczuciem obdarzony robotnik, wysoko był szacowany przez naczelnika warsztatów i magazynu, p. Vervier, republikanina zagorzałego, demokratę.

Vervier czczył w nim spartańską cnotę i ile razy Tadeusz przyszedł doń, zatrzymywał go, rozmawiał, okazując mu serdeczne współczucie. Umiał też w sposób nieznacznym, nie dając tego poznać po sobie, przyjść mu w pomoc i dobrać robotę, która się najlepiej opłacić mogła. I tym razem, jakkolwiek zajęty, rzucił pióro zobaczywszy pułkownika, kochanego *Colonel Thaddé*, witając go serdecznym obu dłońmi uściskiem...

A że znalazł go pochmurniejszym niż zwykle, starał się być weselszym jeszcze, aby tę troskę spędzić z jego czoła. Przypisywał on ją trudnemu po-

łożeniu i pomyślał zaraz w pocziwem sercu swoim o nastrojeniu roboty, któraby mu była korzystną.

Gdy Tadeusz rozwijał z zielonego płótna co przyniósł z sobą, Vervier zawołał wesoło:

— To są małe arcydzieła, kochany pułkowniku! tak dziś nikt nie robi z tych, co dla chleba pracują... Mnie was żal... bo to się naprawdę naszą taryfą nie opłaca. Gdy nad takimi rzeczami pracuje bezmyślna ręka wyrobnika... a! to jeszcze, ale wy to wykonywacie z miłością, wlewając ducha w rzecz najmniejszą. Łamię głowę, aby wam wynaleźć stosowną robotę i coby się jako tako wywdzięczyła... Otóż nadarza się bardzo szczęśliwa okoliczność... Przywieziono z Chin, czy z Indyi, precudowne szachy z kości słoniowej... Cenione są kilka tysięcy franków... chcę je pokazać wam... a jeśli coś w tym rodzaju wykonacie, coby nie było kopią, ale artystycznym naśladowaniem, mój pryncypał zapłaci... bardzo wysoką cenę. Idzie o to, by pokazać, że ręka inteligentna Europejczyka może iść w zawody z niewolniczem dłutem półbarbarzyńcy, którego geniuszem jest cierpliwość.

To mówiąc, ujął Tadeusz za rękę.

— Chodźmy, kochany pułkowniku, do magazynu... szachy tam stoją, przypatrzysz się im... i powiesz mi, co o nich myślisz...

Tadeusz, choć czem innem w tej chwili zajęty, pomruczał tylko i dał się prowadzić. Drzwiczki z biura wywiodły ich do ogromnego składu, a ztąd weszli do magazynu, ułożonego tak, jak tylko Francuzi na pokaz, dla znużenia oczów, ustawiać umieją.

Tadeusz z podziwieniem ujrzał tam nie jedną pracę rąk swoich, tak misternie zużytkowaną i wystrojoną, że ją ledwie mógł poznać.

Cudowne owe szachy, które może lat kilka pracy kosztowały tego, co je wydłubał z kości i hebanu, stały w oknie. Trzeba więc było przejść boczne-

mi drożynami magazynu cały, aby, nie zawadzając gościom, których było pełno o tej godzinie—dostać się do okna...

Tadeusz usłyszał za sobą szelest kobiecych sukni jedwabnych i pieszczące głosy szczęśliwych starych dzieci, przychodzących tu po zabawki... potem papuzie szczebiotanie komisantów magazynowych, umięających doskonale zalecać towar i zapalić doń przychodniów, ale cała jego uwaga była zwróconą na parę figurek szachów, które w tej chwili z pod okna dobył Vervier.

Było to w istocie nieco dziwaczne arcydzieło cierpliwości i wykonania raczej niż pomysłu... Jeszcze królowę trzymał w ręku, gdy szelest sukni kobiecej, zbliżył się ku niemu, jakiś niepojęty prąd elektryczny przebiegł po nim, oczy mimowolnie podniosły się... i — osłupiał.

Przed nim stała kobieta nie pierwszej młodości, niezmiernie wytwornie strojona, jeszcze dość piękna, z twarzą zimną, marmurową, którą w tej chwili marmurowa też oblała bladość, oczy jej jakby w obłakaniu stężały, wzrok bezmyślny ściał się szklisto... i gdyby ją stojący obok słusznego wzrostu, barczysty mężczyzna nie podtrzymał, możeby była upadła.

W rękę Tadeusza kosztowna figurka zadrżała, Vervier, który ten niemy dramat odgadnął, podchwycił ją co żywo, aby na ziemię się nie potoczyła... Chwila grobowego milczenia panowała, Tadeusz drżącą ręką powiódł po czole kroplami potu okrytem i z zatamowanym tchem, blade, popychał z wolna Verviera, aby mógł wyjść.

Ale gdy nie mówiąc słowa, miał ustąpić — osłupiała owa niewiasta wyciągnęła ręce i chwyciła go za bluzę...

— Tadeuszu! — zawołała nagle — na miłość Boga! mój syn—gdzie jest mój syn?...

Mężczyzna nieznany, towarzyszący kobiecie, po-
bladł z kolei, słysząc te wyrazy... i zawołał cicho po
francusku:

— *Au nom du ciel.. Nathalie! vous nous mettez
en spectacle..*

Kobieta, nie zważając na to — trzymała konwul-
syjnie pochwycony rękaw bluzy i powtarzała głosem,
w którym przebijało się jakby tłumione łkanie:

— Mój syn... mój syn!

Walczył z sobą widocznie Tadeusz, nim się ze-
brał na odpowiedź.

— Pani nie masz syna... syn należy do ojca...
nie masz syna...

Usłyszawszy te wyrazy, kobieta oczy sobie za-
kryła ręką, puściła bluzę i padła w objęcia stojącego
przy niej mężczyzny... Ten oczyma gniewnymi da-
wał znaki Tadeuszowi, aby co prędzej odszedł...
W istocie, o ile mu siły dozwoliły, szybko dosyć, cho-
ciaż chwiejąc się na nogach, pułkownik wraz z p.
Vervier, który mu towarzyszył, odszedł spiesźnie boczną
drogą, zakryty ustawionemi tu sprzętami.

Scena ta, jakkolwiek krótka, nadto była wyra-
zista, ażeby przytomnych, ciekawych, jak zwykle by-
wają Francuzi, nie zwróciła oczów i uwagi. Wszyscy
się skupili dokoła pięknej pani... cisnąc, szepecząc, do-
pytując, co się stało...

Robotnik w bluzie niebieskiej, stary, siwy, znędz-
niały, w jakim mógł być stosunku z tą kobietą, któ-
rej strój, postać, rysy, znamionowały osobę należącą
do zupełnie innego świata?

Z półomdlenia, w jakie ją wprowadziła odpowiedź
nieznajomego... powoli, z pomocą trzeźwiących soli
wyszła wielka pani, powiodła okiem po sali, jakby
szukając kogoś, łzy się jej rzuciły, zaczęła szlochać,
mąż podał natarczywie rękę i prawie gwałtem opie-
rającą się wyprowadził z magazynu...

Pytania... spojrzenia... opowiadania faktu, ko-
mentarze sygnęły się za odchodzącymi, których na-
jęta karetą, szybko od sklepu uwiozła.

Vervier, wzięwszy pod rękę Tadeusza, już zu-
pełnie oprzytomniałego po doznaniem wzruszeniu, po-
prowadził go napowrót do biura...

Była to godzina śniadania, które czekało go
w entresoli... Vervier, zaciekawiony, widząc, że Ta-
deusz musiał się i ocierał pot z czoła, a łzy z oczów,
rzekł, wyciągając doń rękę:

— Kochany pułkowniku — proszę cię, trzy schod-
ki, jużemy u mnie... wypijesz szklankę wina, to cię
orzeźwi... proszę... nie chcesz być badanym, daję ci
słowo, nie zapytam o nic... Chodź...

Tadeusz nie mógł odpowiedzieć.

Poszli razem milczący...

W pokoiku Ververa stało dosyć skromne śnia-
danko na małym stoliku, butelka dobrego bordo by-
ła pod ręką, Francuz, który wierzył w siłę życiodaw-
czą wina, jakby był Noego potomkiem — nalał copre-
dziej kieliszek i podał Tadeuszowi, a ten go, nie my-
śląc, wychylił.

— Gdybym był mógł przewidzieć to jakieś nie-
przyjemne spotkanie — zawołał Vervier — nigdybym
was nie poprowadził do magazynu. Ale trzeba też
było trafu prawdziwie cudownego, żebyśmy weszli
w chwili, właśnie w tej chwili...

Czy ona mieszka w Paryżu? — zapytał Francuz.

Tadeusz oczy podniósł, jakby nie rozumiał...
i potrząsał głową...

— Historia jakaś tragiczna... nie rozumiałem
rozmowy... ale ton jej. Wszak zemdląca? A wy...

Pułkownik jeszcze mówić nie mógł, ale widząc,
że oczy Francuza gorzały ciekawością, ozwał się gło-
sem jakby schrypłym.

— Ani słowa... ta kobieta była żoną moją i jest
matką mojego syna... Ani słowa!

Podał rękę Vervierowi zdziwionemu i wyszedł. Wróciwszy do domu, przez cały dzień oczekiwał z gorączkowym niepokojem na syna Tadeusz.

Zapomniiał nawet o codziennej kuchni i zmuszony był prosić żony odźwiernego, aby się nią zajęła, nie był dziś w możności cokolwiek począć... myśl uciekła gdzieindziej, w sercu wrzało. — Obawiał się, ażeby ten los, co czasem najdziwaczniejszymi zabawia się psotami, nie nastąpił tak samo Olesia matce, jak jego rzucił szydersko na jej spotkanie...

Uspokajało go to jedynie, że pracowity chłopak cały dzień spędzał w okolicy szkoły medycznej, około której ani cudzoziemcy, ani świat elegancki się nie kręci. Gdy się zbliżała godzina jego powrotu, wyglądał przez okna, nadsluchiwał, otwierając drzwi na wschodach, kroku ukochanego dziecięcia... Oleś właśnie się tego dnia przypóźniać zdawał... Tadeusz patrzył niespokojny na godzinę i wzdychał.

Nareszcie znany bieg dał się słyszeć na wschodach — drzwi się otwariły i Oleś wbiegł z książkami pod pachą. Ojciec czekał przy progu i z wybuchem czułości niezwykłym, pochwycił go w objęcia...

— Co ci jest, ojcze? — spytał poruszony Oleś.

— Nic mi, jestem szczęśliwy, że cię mam.

— Jesteś tak wzruszony! czy co niepomyślnego... czy co nowego?

— Nic, nic — odparł Tadeusz — siadaj, spoczywaj, nie pytaj... Dawne wspomnienia przepełniły mi piersi — czułem się smutny, potrzebowałem spojrzeć na ciebie...

Oleś się uśmiechnął, był tego dnia wesół, coś mu się w szkole powiodło, promieniał młodością i nadzieją, blask ten i to życie padło na osmutniałego ojca i odbiło się na nim.

Lękając się, aby Oleś nie domyślił się z jego wzruszenia, co się działo w duszy, Tadeusz zakrzętnął się około obiadu, który nastawiła żona odźwier-

nego. Ale tego dnia, mimo ręki kobiecej, wszystko było popsute, dla braku dozoru, jedno się spaliło, drugie niedogotowało — i obiad okazał się szkaradny. Ojciec się zań wstydził, ale skorzystawszy z chwili, gdy Oleś sądził, iż się przy piecu uwija, zszedł pocichu na dół, do handlu wiktuałów i tam niezwykczajemni wcale przykupami postarał się nagrodzić niedostateczność dzisiejszego stołu. Obiad okazał się teraz aż nadto wspaniałym... a tłumaczeniem całej przygody były okazane pieniądze, które Vervier za robotę miał czas jakoś mu wcisnąć.

Siedzieli jeszcze u tego stołu, gdy do drzwi zapukano... Było to coś tak niezwykczajnego, iż Tadeusz, któremu na myśl przyszło niebezpieczeństwo, porwał się pierwszy, aby syna do drzwi uprzedzić.

We drzwiach stał komisjoner z blachą na piersiach i trzymał list w ręku... Pułkownik spojrzał na adres i poznał pismo Vervier'a... Uspokojony nieco, podszedł do okna...

Vervier donosił mu w kilku słowach, iż pani ta, którą spotkał zrana w magazynie, wróciła, usilnie domagając się, aby jej wskazano adres robotnika. Domyślał się on, iż Tadeuszowi może to być nie na rękę i troskliwie zapytywał go, co ma począć. Dawał od siebie radę, iż lepiej było może załatwić tę sprawę prędzej i dogodniej, niż czekać na miejscu, aż adres wyszuka policja, co niechybnie nastąpić musi.

Po zmarszczonych brwiach poznał Oleś, że ojciec nieobojętne czytał pismo... Drżało ono w jego rękach... komisjoner czekał u drzwi... Tadeusz nalał mu wina szklanke, podał krzesło, aby odpoczął i prosił, żeby mu dał czas odpisać. Potrzebował się namyśleć... Chwilami przychodziło mu do głowy uciekać z synem... ale naówczas już, kto z wychodźstwa raz, bez zezwolenia, zmienił miejsce pobytu lub przeszedł granicę, wzbroniony miał powrót. Szło mu

o spokojne dokończenie nauki Olesia... Po długim namyśle, siadł i napisał do Vervier'a: — „Kochany Pannie — uciec nie mogę, skryć się niepodobna... jeżeli nalegać będą, powiedzcie, że mogę się widzieć z nimi, gdzie zechcą... ale nie u mnie. Widzenia i rozmowy nie unikam, mojego spokoju domowego na zakłócenie narażać nie myślę.“

Napisawszy kartkę, miał ją zapieczętować i oddać, ale pomyślał jeszcze, podarł ją i odpowiedział tylko w tych słowach:

— „Jutro będę sam — dajcie mi czas do namysłu.“

Z tem odszedł posłaniec. — Oleś, jakkolwiek nawykły był do tego, że ojciec dlań żadnych nie miał tajemnic, tak go znał dobrze, iż dziś ze wzruszenia, z tego listu, z twarzy, z mowy, posądził go o ukrywanie jakiegoś wypadku, którego natury odgadnąć nie umiał. Pytać ani śmiać, ani mógł — czekał.

Pulkownik chodził wielkimi krokami po pokoju... serce mu biło, namyślał się. — Pod cichem tem poddaszem wkrótce nieunikniony miał się odegrać dramat rodzinny. Oleś nie był dziećciem, potrzeba było należało, do przyszłych walk z losem, uprawiając go — hartując do życia, wystawić na próbę. Żał było tego serca, które ścisnąć się i cierpieć musiało — ale bólu niepodobna mu było oszczędzić.

Oleś przerzucał karty fizyologii, a z pod oka badał ojca, gdy stary żołnierz stał przed nim, spart się na stole oburącz, westchnął i począł głosem drżącym:

— Mam ci coś powiedzieć — zbierz i odwagę i miłość twą dla mnie... narażeni jesteśmy obadwa na próbę... nie chcę nic począć bez ciebie. Jesteś mężczyzną... miej męztwo...

Aleksander zerwał się z siedzenia zbladły.

— Kochany ojcie — zawołał — znasz mnie, nie różnimy się w przekonaniach... ani w uczuciach...

cokolwiek się stanie, stało... co chcesz, by się spełniło, jam ci posłuszny, nie, żebym wolę moją do twej łamać potrzebował... ale że moja jest twoją...

Ojciec przycisnął go do piersi.

— Olesiu — rzekł — przypadek zrządził, żem dziś, rano — spotkał tu... matkę twoją... Ona się odemnie domaga dziecięcia swojego... Masz do wyboru... pójść za nią, w dostatek i spokój ciała... lub ze mną na pracę, nędzę i troskę... Wybieraj...

— Ale ja wybrałem już raz! — przerwał Oleś z wybuchem — ja nie potrzebuję wybierać na nowo — jam twój.

— W tej kobiecie — w twej matce, ozwał się głos sumienia — ona cię kocha — chce widzieć — chce...

Głosu mu nie stało, upadł na krzesło...

— Ojcie mój — rzekł, chwytając jego ręce Oleś i całując je z zapalem — syn, nie mogę odepchnąć matki. Ty to czujesz... Uspokój się, ojcie — dodał — zaklinam cię, powiedz mi, gdzie jej mam szukać, aby ci bolesnego oszczędzić widoku — pójdę i wszystko się skończy...

Tadeusz wzdrygnął się — ścisnął syna i milczał...

— Tak — rzekł — uciekać nie powinniśmy, jesteśmy czyści i w swoim prawie. Nikt mnie od syna odsadzić nie może... Razem pójdziemy do niej... śmiało, zimno... bez gniewu, jak na biednych a prawych ludzi przystało... Ponieważ Bóg chciał, byśmy ten kielich gorczy wypili — wychylimy go do dna...

A teraz — pozwól mi się pomodlić!

I krokiem chwiejącym poszedł pod krzyż pokłęknać.

Oleś z głową spuszczoną nad książką został w tym samym pokoju.

Serce matki tajemnic jest pełnem — kocha ono nie wiedząc, że miłuje, odpychając boleje, zapomina

chwilę, by pamiętać wieki — a miłość, która jest jego prawem, wypędzona odzywa się i powraca, gdy zdało się, że na wieki wygnana została.

Tak było z tem wychłodłem Natalii sercem, które kochać nie umiejac, kochać pragnęło, a im wiek inne uczucia ostudzał, im płomienie chwilowe gasił bezlitośniej — tem potrzeba miłości dziecięcej odzywała się w niem silniej.

Surowo przyjęła przybywającego Olesia... nie drgnęła ku niemu, widząc go wynędzniałym i zbolalym... ale gdy dziecka jedyne nie stało, gdy i ono rzuciło ją jako macierzyńskiej dostojności niegodną, gdy się uczuła osamotnioną, opuszczoną, we władzy człowieka, którego przywiązanie było czemś nieokreślonym, dzikiem, namiętne a zimnem... poczęły ukradkiem płynąć łzy, rozmiękła stwardniała pierś — ozwał się głos jakiś duszy, wołający na nią, by była matką!...

Upokarzało ją to opuszczenie i pogarda własnego dziecka, chciała je odzyskać koniecznie.

Ten powrót do obowiązku generał nazywał dziwactwem i fantazją, obudzał on w nim niechęć, zazdrość, gniew — ale ów człowiek, wobec niewiasty, był słabym.

Wybuchł aż do groźby i upadał aż do niewolnictwa. Natalia umiała nim kierować i czyniła, co chciała. Dawała mu się wypłomienić, wypić i wyburzyć, a potem wodziła nim, jak dziecięciem na pasku.

Tak się i teraz stało, mąż opierał się tęsknotom, podróży — myśli dziwacznej odzyskania Olesia, którego nazywał zepsutym i niewdzięcznym — a na ostattek uległ woli pani, wybrał się z nią w podróż — dojechał do Paryża w nadziei, że przeszkodzi odszukaniu zguby i wpadł w to zawikłanie, z którego teraz żadną siłą wyrwać już nie mógł żony. Musiał się poddać i być posłusznym.

Przeklinał może po cichu ożenienie swe, więzy, fałszywe położenie, ale energii na postępowanie stanowcze nie miał. Jedyńm środkiem, do którego się uciekał, był niedoleżny podstęp i kłamstwo... Oboje na nie się nie przydawali.

Scena poranna takie wywarła na Natalii wrażenie, iż doktora przywołać było potrzeba, a ten bez ogródki oświadczył, iż uledez należało uczuciu, aby nie wywołać najgroźniejszych następstw.

Noc upłynęła na gwałtownych spazmach; jak tylko nadeszła godzina możliwa do wyjazdu, generałowa zażądała powozu, odepchnęła męża i pojechała sama do magazynu.

Zastała tu pana Vervier właśnie, poznała go i wprost doń poszła.

— Panie — rzekła doń grzecznie, ale z gorączkową żywością — jestem matką, szukam mojego dziecięcia. — Uczucie moje zrozumiesz, ulitujesz się nademną... Dziecię to moje jedyne... ja chcę je widzieć, ja pragnę je uściskać! Tyś może ojcem, ty kochasz dzieci... ulituj się nademną, pomóż mi.

Chciała przed nim przyklęknąć.

Vervier zląkł się, był przejęty...

— Nie mogę zdradzić przyjaciela — rzekł — ale siadaj pani, czekaj, jadę i przywiozę ci go... lub... Nie — przywiozę! — dodał, chwytając za kapelus.

Była godzina dziesiąta rano. Oleś jeszcze się nie wybrał do szkoły i namyslał, czy może ojca porzucić, gdy wpadł Vervier z całą tą *furia francese*, do jakiej pocziwy człowiek tego narodu, poruszony cudzą niedolą, jest zdolny.

Poszedł wprost do Tadeusza.

— Pułkowniku — rzekł glosem łkającym — rób ze mną co chcesz.. ale musicie wy oba jechać ze mną. Kobieta, matka ma prawa swoje, polityka się do nich nie miesza... Ona chciała klęknąć przedemną,

blagając o dziecko... Winniśmy cześć uczuciu macierzyńskiemu... Jedziemy...

— Tak jest — rzekł chłodno Tadeusz — jedziecie...

— A wy?

— Ja zostaję...

Oleś wyszedł z drugiego pokoju blady, z czapką w rękę, sklonił się przybyłemu, poszedł w milczeniu ojca uścisnąć, obu im łzy zakręciły się w oczach... Tadeusz go pobłogosławił, wyszli i drzwi się za nimi zamknęły. Legionista, któremu nogi drżały, który już wszystkie swe wymodlił modlitwy — siadł w fotelu i wpadł w ten stan bezmyślnego osłupienia, w którym człowiek przestaje czuć wpływ czasu, bicia serca i wirowanie swych myśli.

Vervier obietnicą nadpłaty przynaglił dorożkarza do pośpiesznej jazdy; w milczeniu przebiegł znaczną przestrzeń miasta, która ich od ulicy „de la Paix“ dzieliła, powóz się zatrzymał, wysiedli.

— Czekał pan — zawołał Vervier — matka waza jest w magazynie, miejsce to nie przystało na spotkanie z nią... wprowadzę panią do mojego mieszkania w entresoli... a pan przyjdzie później.

Oleś stanął posłuszny... ale nie upłynęła chwila, gdy Vervier biegł już po niego i pchnął na wschodki, wiodące do mieszkania.

W pokoju stała drżąca Natalia...

Na widok syna wyciągnęła ręce, krew jej uderzyła do głowy... pochwyciła go i przycisnęła do piersi...

— Niewdzięczny! — zawołała — niewdzięczny...

Oleś milczał, pocałował ją w rękę z uszanowaniem i stał — niemy.

— Patrz... — dodała — tyś uciekł odemnie, ja mimo wszelkich przeszkód, przybyłam za tobą! Ty mnie nie kochasz... ty wolisz tu przy ojcu umrzeć z głodu... niż...

— Pani — zawołał Oleś drżącym głosem — obowiązek wołał mnie do nieszczęśliwego ojca... On był sam, znękan — ty, pani, nie byłaś samą i byłaś szczęśliwą... Jam spełnił, com był powinien.

— Tak, wybrałaś — zawołała, co ci młodzieńcza dyktowała fantazyja, a dla mnie serca nie miałaś.. Ale, opamiętaj się... wróć do mnie — ja ojcu los zapewnię...

— Ojciec nic od was nie przyjmie — od nikogo — poprawił się Oleś — ja go opuścić nie mogę.

Natalia załamała ręce.

— Jesteś bez serca... jam matka! — zawołała.

— To ojciec mój... — rzekł Aleksander po cichu.

— Wolisz więc ginąć z nim...

— A! pani — przerwał syn — ja nie mam do wyboru, droga dla mnie jedyna... obowiązek...

— Jam cię ocaliła?...

— I nigdy tego dobrodziejstwa nie zapomnę — odpowiedział Oleś.

— A tak mi się za nie wywdzięczasz?...

— Pani — powtórzył Oleś.

— Cóż znaczy to — pani! nazywaj mnie matką! — poczęła prawie gniewnie...

— Matko — rzekł głosem zbolalym syn — nie uczyniłaś tego dla mnie z miłości, ale z miłosierdzia... Byłaś litościwą dla syna, pozwól mu być litościwym dla ojca...

Zbliżyła się, aby go objąć i poczęła płakać, powtarzając:

— Niewdzięczny! niewdzięczny! wróć ze mną... ja dla niego uczynię, co zechcesz...

— Pani — rzekł Oleś — ja mam ojca! ojciec sam jeden jest na świecie! Dla niego świat zamknięty i bezemnie życie skończone... dla ciebie pani...

Przerwał, zrozumiała wymówkę i płakała. Nagle zerwała się z krzesła i postąpiła ku niemu.

— Masz słuszość—zawołała—jam może ofiary twej nie warta, ale dziecko, nie sądź mnie... bo nie do ciebie sąd należy... Rozumiem twe wahanie... nie chcę, byś w jednej godzinie zerwał dla mnie wszystkie nici nowego żywota... Daję ci czas do namysłu. My... ja — poprawiła się — jedziemy ztąd do Włoch... za kilka miesięcy wracać będziemy — pomyśl, serce się w tobie odezwie! Dla ojca i dla ciebie daję przyszłość! Myśl...

I powoli zbliżywszy się doń drżąc, złożyła pocałunek na jego czole, pochyliła głowę na ramię syna i płakała.

Lzy te były wymowniejsze nad słowa... i Oleś po raz wtóry uczuł się wzruszonym tak, że gdyby tylko siebie jednego miał złożyć w ofierze, nie ważyłby się pewnie pójść za matką. Ale smętna, zbladła twarz ojca stała pomiędzy nim a nią...

— Olesiu mój, Olesiu — dodała po cichu — pomnij, jam matka twoja... matka nigdy nie przestaje być — matką.

Usunęła się krokiem.

— Wyjadę dziś — zaczęła głosem osłabłym — ty rozważ moją ofiarę...

To mówiąc, drżącą rękę wysunęła z pod szalu i szukając dłoni syna, usiłowała mu wcisnąć paczkę złotą, którą trzymała... Ale na samą myśl tego datku, Aleksander cofnął się rozplomieniony.

— Pani! — zawołał — my żebrakami nie jesteśmy! my nic! nic — od nikogo nie potrzebujemy.

— Jakto? od matki? — rzekła Natalia.

Oleś cofnął się aż do drzwi...

— Nie — odpowiedział stanowczo — nie...

— Daj mi się pożegnać przynajmniej, przyrzecz mi, że się zobaczymy.

Aleksander niewyraźnymi odpowiedział słowami, ucałował rękę matki i zawrócił się ku drzwiom.

Słyszała, jak zbiegał ze wschodów i siadłszy, płakała. W tych łzach ból, gniew, żal, zmieszały się razem.

Rozplakaną jeszcze, znalazł ją wchodzący ostroźnie Vervier. Na widok tego obcego Natalia przeżyła cierpienia...

— Dziękuję panu z serca—zawołała—jam matka—to był mój syn.. Czy oni są bardzo ubodzy? powiedz mi pan prawdę, całą prawdę...

— Pułkownik pracuje zręcznie i szybko, zarabia, co najlepszy robotnik zarobić może, ale to zawsze niewiele... zwłaszcza na dwóch... Paryż jest dosyć drogi...

— Panie — odezwiała się zcicha kobieta — ja wiem, że oni odemnie nic nie przyjmą... nie byłoby sposobu, nieznacznie... zwiększyć mu wynagrodzenie... i polepszyć los jego?

To mówiąc, położyła na stoliku rulon Ludwików...

Vervier był trochę zmieszany.

— Sprobuję—rzekł — ale jeśli mi się to nie powiedlo, raczysz mi pani zostawić adres, abym się mógł wytłómaczyć, lub zwrócić.

— Za parę miesięcy ja wracać będę wtedy... więc do zobaczenia...

To mówiąc, spuściła kwef i wyszła szybko.

Parę tygodni upłynęło od scen opisanych, życie wychodźców wracało do zwykłego trybu. — Tadeusz toczył milczący, przygotowywał jadło... czekał na Olesia i w samotności pracował i modlił się. Tym czasem wrzało wszystko dokoła, w klubach, broszurach, pisemkach, wylewając się na świat Boży, jak krew płynąca z ran śmiertelnie pokaleczonego człowieka.

Ująć tego życia w jedno, połączyć go, skupić, zorganizować, nie było sposobu... Pędzono do legii cudzoziemskiej i bez nazwiska do Algieru, jedni lecieli

do Portugalii, drudzy się wyrwali do Włoch. do Niemiec i rozproszeni ginęli. Z owych siedmiu tysięcy zostawało już pięć, które wprędce do coraz mniejszej liczby zejść miały. Tęsknota, nędza, żal, rozpacz, rzucająca się na strzały i szukająca śmierci, resztę wytepić miały. Gminy emigracyjne różnych miejscowości, wedle barwy tych, co im przewodzili, łączyły się z różnemi stronnictwami. Życie polityczne pochłaniało wszystkich... pojedynczy tylko o zawo-
dzie jakim, o pracy, o nauce i o zarobku na chleb pomyśleć mogli...

Z powrotem do warsztatu i pracy, wróciły Tadeuszowi tęsknoty nieprzewyciężone do kraju... Wiodok chwilowy tej kobiety zamiast go zrazić... odnowił chęć powrotu do starych grobowych pamiątek.

Jeden Oleś trzymał go tutaj, ale powiedział sobie, że raz doczekawszy końca nauk i wyzwolenia, uściska go i pójdzie na polskiej umierać ziemi... Marzył tylko o tem, że choćby w sukni żebraczej, powlecze się do Skąty... żyć będzie bodaj chlebem jałmużny... a kości złoży przy matki mogile...

Nigdy o tem jednak nie wspomniał nikomu, oprócz Henryka...

Od ostatniej wycieczki nieszczęśliwej do magazynu Tadeusz unikał też we dnie wychodzenia na ulicę, nie chciał się już spotykać nawet z Henrykiem. Pomimo wstrętu wszakże była konieczność, Vervier napisał do niego, że się chce umówić o szachy i prosił, by przyszedł.

Tadeusz musiał wybrać godzinę we dnie, boby go inaczej nie zastał. Umowa trwała krótko i wracał uspokojony, z wrzuconym mu prawie gwałtem zadatkim, gdy na tej samej ulicy *de la Voir* posłyszal głos, wołający go po imieniu.

Odwrócił się...

Trotuarem szła kobieta, ubrana bardzo skromnie,

niemłoda, twarzy bladej i oczu zagasłych, która go, uśmiechając się, przywoływała.

Nielatwo 'i zbliżywszy się dopiero, poznał w niej, z wielkim zdziwieniem swem, księżnę Barbarę, o której losach od Drezna nie wiedział.

— A to szczęście, że ja WPana, panie pułkowniku, choć w ulicy raz przecie złapać mogła i że cię, mimo bluzy, poznała? Wiedziałam, że jesteś w Paryżu...

— Ja siedzę zamknięty...

— I że siedzisz zamknięty—dodała—a właśnie dlatego chciałam się coś o was dowiedzieć...

— Cóż księżna tu robi?

— Jakto, waćpan nic nie wiesz?

— A! pani... ja nic wogóle nie wiem.

— Jestem tak dobrze tułaczką, jak wy... Mąż mój umarł... zostało mi trochę klejnotów i garstka tylko pieniędzy... Dzieci nie mam, karmię naszych biedaków, jak się który struje jadłem francuskim... ja go choć krupnikiem uzdrowię... Przyjdźże — dodała, śmiejąc się — choćby raz do mnie na obiad... Gdzie się stołujesz?

— Ja? — smutnie rozśmiał się Tadeusz nad tą troskliwością kobiecą o przeżywanie biednych — ja stołuję się u siebie.

— A gotuje ci?

— Ja sam! — odparł pułkownik.

— To musi być śliczne — odezwała się księżna. Wprawdzie i ja nie umiałam gotować, ale my... mamy *grâce d'état* do kuchni... ręczę ci, że nasz ubogi stół od waszego lepszy...

Tak się rozpoczęła rozmowa, a księżna nie puściła Tadeusza, zmusiwszy go, by na jej wczesny obiad polski poszedł choć spojrzeć... Potrzeba było posłuchać.

Wesołość, ten wyższego towarzystwa, elegancja wrodzona wielkiej pani, dziwnie odbijały od

ubóstwa, które wszystko zdradzało. Mieszkanie na czwartym piętrze, dosyć obszerne było, niezmiernie skromne... Zastali w głównym pokoju stół już nakryty grubym, ale białym obrusem i polską kucharkę, pomocnicę księżnej, niegdyś jej garderobianę, która od kuchni zakłopotana biegła do stołu i kredensu, zmuszona sama gotować, nakrywać, a nawet po części zabawiać schodzących się już stołowników księżnej. Co było najbiedniejszego, chorego, opuszczonego... schodziło się tu odetchnąć swobodniej, bo księżna Barbara miała zawsze i chleb i uśmiech dla każdej nędzy.

Gospodarstwo to niegdyś milionowej pani, która wszedłszy z Tadeuszem, zaraz przypasała fartuszek i poszła pomagać w kuchni, przechodząc raz wraz z salonu do ognia i od rądelków do towarzystwa—było wielce oryginalne. Krasił je dobry humor siostry miłosierdzia, wyrozumiałej nawet na dziwactwa schorowanych ludzi...

Po większej części byli to starsi wojskowi, nawykli do lepszego towarzystwa, nieco z francuska wychowani, którym teraz ani na obiad, ani na towarzystwo nie stawalo. Wytarte mundury i wybladłe twarze.

— Cieszcie się, moi kochani goście — zawołała księżna...—mamy dziś prawdziwy barszcz i huzarską pieczeń... a widzisz, kapitanie — dodała do stojącego na boku starego napoleońskiego żołnierza — wódki ci litewskiej, prawdziwej starki dostałam...

Cała ta przybrana księżnej rodzina byli to inwalidzi i biedacy... smutne oblicza sierot... którym ta chwila rozmowy przypomnieniem lepszych lat świeciła. Gdyby nie ów obrus gruby, nie niski pokój i nie dosyć zbrukane sprzęty, mogli się mniemać jeszcze w salonie księżnej przy Senatorskiej ulicy... Ale tu herbowej liberyi, sreber i przepychu dawnego nie było.

Z salonu na czwartym piętrze polityka i spory wszechwładną dlonią gospodyni były wygnane... mówiono o dawnych czasach, jak najmniej o teraźniejszości.

Tadeusz nawet rozweselił się nieco w tej kupce ludzi, których uczucie, wiek, wychowanie, ku niemu ich zbliżały... Księżna spoglądała nań z troskliwością infirmerki, która nowego dostała chorego, badała słabość i starała się pozyskać zaufanie. Goście wszyscy prawie byli dawni znajomi.

Raziła tylko bluza pułkownika, za demokratyczna do towarzystwa, w które weszła. Traciła ona pewną pretensję do popisu z nędzą i pracą, chociaż w istocie dla tego, co ją nosił, miała wcale inne znaczenie. Spoglądano na nią z boku, z pewnym rodzajem nieufności. Tadeusz spostrzegł to i uczuł się w obowiązku sam ze swego ubrania uśmiechnąć.

— Patrzycie panowie na moją bluzę, a jeśli ją bierzecie za wyznanie wiary, mylicie się... — rzekł powoli.—Nie jestem ani arystokratą, ani demokratą, jestem polakiem i sądzę, że nazwisko to jest obojga przejednaniem... ale obok tego jestem robotnikiem i od moich współtowarzyszów odróżniać się nie mogę, a z innymi... nie żyję.

— Dlaczego?—spytał kapitan.

— Bo zajmuję się wychowaniem syna, kuchnią i zarabianiem na życie...

Rozmowa się przerwała... bo wszyscy miejsca swe zajmować zaczęli..

Serwety pozaciągane były w pierścienie drewniane, na których stały cyfry zwykłych gości...

Obiad, jak i nakrycie, nadzwyczaj był skromny, a mimo starania o to, by go polskim i narodowym uczynić, jakoś z cudzoziemska wyglądał. Księżna uczyła się gotować ze starego Szytlera i nie miała wielkiego do garnków talentu.

Dobre jej i święte serce dopełniało, co kuchni mogło braknąć.

Stara garderobiana klóciła się nieustannie ze swą najukochańszą panią o każdą potrawę, obie wszakże gotując ze wspomnień i natchnienia, arcydziel wytworzyć nie mogły. Biednym stół się wydawał wyborny... niektórzy z nich nie mieli grosza w kieszeni i gdyby nie księżna, nie jedliby nic może, oprócz suchego chleba... Ale po minach i rozmowie niktyby się w świecie tego nie domyślił.

Towarzystwo daleko było lepsze od obiadu... Na pierwszym miejscu przydywowała gospodyni w fotelu, choć go często opuszczać musiała z wielkiej troskliwości o rądelki i wybiegała z żywością nad wiek młodszą rękę mistrzowską przyłożyć do huzarskiej pieczeni...

Ten obiad, niby szpitalny, niby klasztorny, niby polski... a tak dziwnie rzewny... nawet Tadeuszowi trochę czoło rozchmurzył. Dowcipowano, jak za najlepszych czasów, a do tego dowcipu nie jedna łąza się wmieszała. Mimowolnie potrafił ktoś o kraj, o tych, co tam zostali, o błogich czasów wspomnienia i powieka zwilżyła się mimowolnie. Nikt przecie nie stał się winnym takiego egoizmu, by pokazał swój smutek...

Księżna, która straciła wszystko, męża, dzieci, majątek, stanowisko społeczne, przyjaciół... której obojętność i zapomnienie własnej rodziny wyciskało lzy u ołtarza, nadto dobrze rozumiała swe obowiązki gospodyni domu, by okazała zbolale serce. Twarz jej uśmiechała się rezygnacją chrześcijańską i dobrocią anielską.

Wino, które stało w karaikach, choć najtańsze, rozwiązywało usta, jak najlepsze bordo, zaczęło co raz głośniejsze i rażniejsze po barszczu i kieliszku rozmawiać...

— A syn wasz, pułkownik, czego się uczy?... — Medycyny!

Tadeusz spojrzał, na godzinę i uderzyła go ta myśl, że Oleś obiadu gotowego nie znajdzie... Ale rodzenki i migdały krążyły już jako deser i wkrótce ruszyli się wszyscy. Księżna wszakże zakazała pod kłatwą wychodzić, dopóki nie zrobiła kawy, bo kawą mogła się pochlubić. Kawa jej była doskonała.

Tadeusz musiał wypić kawę i po niej, usilnie zapraszany, ażeby przychodził jak najczęściej na barszcz do księżnej, pospieszył z jakimś niepokojem do domu. Tłumaczył go sobie tem, że owa wycieczka była w jego życiu regularnem i samotnem wyjątkową i niezwykłą...

Godzina powrotu Olesia jeszcze była dosyć odległą, miał więc nadzieję przybyć w czas, by go uprzedzić.

Zdziwił się bardzo, gdy mu na dole żona oddzielnego powiedziała, że syn od godziny już był w domu.

Pospieszył na górę niespokojniejszy jeszcze... wszedł szybko i zastał Olesia rozciągniętego na kanapie, z książką rozłożoną na kolanach, z głową bładą, włosami rozrzuconemi, śpiącego jakimś snem. który mu się wydawał nienaturalnym. Oleś nie kładł się nigdy we dnie, jakkolwiek był znużony, i nie wracał zwykle, jak znacznie później do domu.

Przybycie ojca nawet nie zbudziło go, a Tadeusz, spostrzegłszy śpiącego, chodził już teraz na palcach.

Oleś spał, oko ojcowskie i serce czuło, że to nie był sen zdrowia i pokrzepienia, ale zwiastun choroby i groźba... Z załamaniem rękami usiadł cicho przy chłopcu, który we śnie rzucał się, poruszał ustami i marzyć zdawał niespokojnie.

Czoło, do którego zlekka rękę przyłożył, było

rozpalone i suche... Obawiał się odejść na chwilę a widział potrzebę rady lekarskiej.

Zbyteczną pracą wyczerpane siły, podbudzany organizm, mścił się zamętem funkcji żywotnych. Do głowy, którą znużyły trudy nieustanne, falami biła krew i skupiała się cała potęga... nogi stygły... ręce lodowaciały...

Wszystko to zbadał ojciec, siedząc nad dziećciem, nie doczekawszy się przebudzenia jego wyobraźnia olbrzymiła jeszcze wrażenia i skazówki, trwoga ogarniała...

O zwykłej porze Oleś się nie obudził... zmierzchno już, a sen ów ciężki trwał ciągle... nagle z krzykiem porwał się z kanapki, chwycił za rozpalone czoło, powiódł błędnymi oczyma i zobaczywszy ojca, z uśmiechem pochylił ku niemu... Odzyskał na chwilę przytomność, przemówił niewyraźnie, iż głowa go piecze i boli i zsunął się znów, usypiając, na podłożoną przez ojca poduszkę.

Nie było najmniejszej wątpliwości, iż Olesiowi groziła choroba, na którą on — nie wiedział środków... Potrzeba było co najrychlej sprowadzić doktora... Tadeusz, położywszy syna, zbiegł do łoża odźwiernych prosić ich o pomoc, tak strwożony i pomieszany, iż zrazu słowa przemówić nie mógł. Byli to dobrzy ludzie, miłosierni dla swego lokatora, którzy mu z serca dopomódz pragnęli... posłano więc natychmiast po najbliższego lekarza i sprowadzono go niebawem.

Ojciec już był znów u łóżka dziecięcia... Wprawne oko doktora poznało zaraz początki zapalenia mózgu, z wielką rozwijającą się gwałtownością... Użyto wszystkich środków zaradczych, na jakie zdobyć się mógł wprawny praktyk i nauka...

Nadeszła noc, a z nią długie godziny trwogi bezsennej... i widma straszliwe przyszłości...

Oleś zrywał się, śmiał, mówił zupełnie bezprzytomny... Mimo zarządzonych lekarstw, zapalenie, na

gwałtowności nie tracąc; rosło coraz i nie dawało się zwalczyć niemi. Młodzieńcza siła objawiała się teraz w samej chorobie, przybierającej groźną, nie dającą się pokonać potęgę...

Trzy razy wśród nocy, mieszkający w pobliżu lekarz, powracał dla śledzenia przebiegu słabości i nie znalazł żadnego pocieszającego symptomu. Z zaciętemi ustami, z oczyma wlepionymi w dziecko, z rękami konwulsyjnie załamanymi, stary legionista siedział u łóżka, nawet łyzy wylać nie mogąc. Żona odźwiernego parę razy podała mu wody, zmusiwszy prawie do napicia i orzeźwienia. Chciała ona zawołać kogoś z przyjaciół, znajomych, domagała się wskazówki, aby sprowadzić w pomoc miłosiernego człowieka, ale Tadeusz nie żył prawie z nikim, nie miał nikogo i nie odpowiedział na kilkakrotne nalegania. Poczuła kobieta nad rankiem już, sama przemysławiając, co by uczynić należało, dowiedziawszy się o blisko mieszkającym Polaku, pobiegła do tego nieznanego, w przekonaniu, iż kupka Polaków żyje w miłościwie z sobą braterstwie. Mogła była trafić gorzej. — Owym Polakiem, mieszkającym w entresolu sąsiedniego domu, był hrabia Brandys, który szczęściem z ogólnej powodzi ocalał prawie cały majątek i żył bardzo wygodnie w Paryżu, politykując zawzięcie — ale do tego proletaryatu emigracyi, jak go zwał — co potrzebował pomocy i opieki, niechętnie się mieszał. Hrabia miał kamerdynera, wywiezionego z Polski, Szwajcara, który mówił po francusku, a długim pobytom w Polsce przerobił się być po części na Polaka... Do niego naprzód trafiła żona odźwiernego i z gorącością kobiecego serca, ze łzami jęła mu malować położenie nieszczęśliwego Tadeusza, wzywając o pomoc dla niego.

Baczny nader i rozważny, bo nieraz zdradzony, pan Bourlo, kamerdyner hrabiego, ściągnął naprzód jak najpilniejsze śledztwo z kobiety, ale z niego

przekonał się, iż chory syn i nieszczęśliwy ojciec musieli do demokracji należeć, nie czuł się usposobionym donieść o tem panu swojemu. Hrabia należał do umiarkowanych i do stronników księcia Adama, nie z przekonania, ale dla tonu... Bluzowi więc nic od niego spodziewać się nie mogli, jako podejrzani o spółnictwo z gminą w Poitiers. Potrzebał głową, a dla swobodniejszego wytłumaczenia rzeczy, wywiódł kobietę na wschody, starając się jej tu objaśnić, iż prywatna pomoc na niewieleby się tu przydała i że należało udać się do komitetu... Kobieta odparła żywo, iż nie jej, ale ich obowiązkiem myśleć co uczynić najlepiej; że ona dopełniła swego, dając znać Polakom, a oni resztę zrobić byli powinni... Po czem skłoniła się panu Bourlo i odeszła gniewna.

Cała ta scena z szeptaniną i otwieraniem drzwi nie uszła bystrego słuchu hrabiego, który leżał jeszcze w łóżku z fajką na długim cybuchu i dopijał wygodnie kawę... Zawołał kamerdynera. Bourlo opowiedział historię.

— Ale któż to jest taki?—spytał marszałek (był bowiem jakimś marszałkiem hrabia)...

— A no... musi być któryś z tych, co to po klubach wyprawiają wrzaski... — rzekł wzgardliwie Szwajcar. — Co to się tam o to troszczyć... oni sobie rady dadzą.

Marszałek był w humorze ciekawości... jakoś nie miał innego zajęcia, wysłał więc natychmiast Szwajcara, aby mu się o nazwisku dowiedział.

Chcąc nie chcąc, kamerdyner poszedł i przyniósł z książki odźwiernego wpisane imię, nazwę i stopień Tadeusza...

— Widzisz! widzisz! — rzekł, rzucając fajkę hrabia — to jest bardzo porządny człowiek... tylko diwak... słyszałem o nim... Do polityki tej waryackiej się nie miesza... Znałem go nawet i widywałem

w Warszawie... trzeba dać znać księżnie... Tak go bez pomocy znów porzucić nie można...

Naprawdę narzuciwszy szlafrok, hrabia napisał kilka słów i wyprawił służącego do księżnej.

Około południa zacna pani, rzuciwszy swych zwykłych gości, pośpieszyła z pełnym woreczkiem lekarstw i zasilków różnych, do mieszkania Tadeusza... Wieść też gruchnęła zaraz po rodakach, iż nieszczęście dotknęło biednego ojca, zagrożonego stratą jedynego dziecięcia.

Jakiegokolwiek są wady nasze, w których serce łatwe udział zbyt wielki bierze — na to serce, z małymi wyjątkami — zawsze prawie rachować też można.

Najobojętniejsi zabołeli nad nieznanym nawet, ledwie z nazwiska i z doli znanym żołnierzem. Nie wiasty nasze, te niezmordowane siostry miłosierdzia, których dłoń litościwa zawsze cudze łzy ocierać jest gotową, drgnęły wszystkie, gotowe biedę w pomoc nieszczęściu. Do wieczora też samotne dotąd, ciche mieszkanie i dom, w którym przytułek znalazł Tadeusz, otoczone były dowiadującymi się, ciekawymi, przybywającymi z ofiarą i współczuciem...

W pierwszej izdebce, gdzie stała tokarnia Tadeusza, szepcząc po cichu, mieniał się ten zastęp przyjaciół nieznanych, podających sobie z ust do ust niepokieszące wieści o stanie chorego.

W istocie zapalenie ciągle się jeszcze wzmagało, lekarz też walczył z niem, nie tracąc nadziei dotąd, ale coraz mniej ufny, by mu natura dopomódz chciała do uratowania biednego Olesia.

Ojciec stracił przytomność prawie; wryty, skamieniały siedział nieporuszony, patrząc na dziecko... Czasami łza sączyła się ze spalonych powiek powoli i wysychała na twarzy, nie otarta ręką obezwładnioną.

Nie zbywało na pomocy, na troskliwości, na żadnym z tych środków, które uratować mogły, a je-

dnak Oleś ku wieczorowi drugiego dnia był w gorszym stanie niż wczora.

Napróżno starano się wyciągnąć ojca ztąd i zmusić go do posiłku, do wypoczynku. Odpowiadał kiwaniem głowy i nie ruszał się z miejsca. Wyręczając się, godzinami księżna Barbara i dwie Polki, posługiwały choremu, on siedział i patrzył nań... Tak złamanego boleścią i osłabieniem tej drugiej nocy zmorzył niespokojny sen w krześle i skrócił godziny strasznego oczekiwania.

Trzeciego dnia spodziewano się przesilenia... polepszenia... były oznaki pewne zmiany, nadzieja wstępowała w serca przyjaciół, ale doktor pozostał smutny i zamyślony...

Księżna wywiodła go z sobą do drugiego pokoju, ażeby wybadać.

— Powiedz mi pan, szczerze, otwarcie, ażebyśmy wiedzieli, co począć z tym ojcem nieszczęśliwym—czy możemy mieć wyzdrowienia nadzieję?

Lekarz spojrział ostrożnie dokoła, zniżył głos i rzekł, odwracając się, aby go nie słyszano.

— Nadzieję należy mieć do ostatniej chwili... są cuda... trafiają się wypadki, my, jako ludzie, mylić się możemy, natura i Bóg są wszechmocne... O ile jednak dano mi sądzić o tem... ja prawie rozpaczam, abyśmy go uratować mogli. Jeśli państwo chcecie, wezwijcie innych lekarzy... może kto z kolegów moich będzie szczęśliwszym.

Księżna wstrzymała go, aby mówić zaprzestał, wiedziała już aż nadto to, czego się dowiedzieć pragnęła...

— Al! mój Boże—zawołała—cóż w takim razie zrobimy z ojcem, który tego ciosu nie przeżyje?.. Widziałeś pan tego człowieka? Siły jego nie starczą.

Lekarz spuścił głowę potwierdzająco i zamilkł.

Stan ten zrozpaczony nie powstrzymał wszakże od troskliwego ratowania do ostatka... czyniono, co

było w mocy ludzkiej, aby wywołać siłę, któraby chorobę straszną przemogła... Czwartego dnia, nad rankiem, stary legionista ukląkł pomodlić się przy łóżku dziecięcia, potem zwlókł się pod krzyż swój i ze łzami, długo przeklęczał milczący z głową o mur opartą...

Zdawało się, iż położenie swe przeczuł i niebezpieczeństwo widział jasno... Blady, wycieńczony, ledwie trzymający się na nogach, opierając się o ściany, popatrzywszy na warsztat swój i na izbę... wrócił do dawnego miejsca u łóżka syna...

Tej nocy, która nadeszła, osłonięta grobowem milczeniem... biedny chłopiec, ofiara boleści i pracy... miał krótkie i czyste życie zakończyć... Z każdą godziną upływającą uchodziły ostatnie błyski nadziei w cud i miłosierdzie Pańskie...

Przytomność, która wracała wprzód na to, by mógł ojcu dłoń uściśnąć i uśmiecnąć się do niego, opuściła go zupełnie... Przyszło konanie długie, bo dusza z zasobem sił młodzieńczych walczyć jeszcze musiała, aby się z ciała wydobyć. Nareszcie ciężkie westchnienie wyzwoliło ją z tych więzów życia, które dlań prawie nie miało uśmiechu... Ojciec był osłupiały, trzymał rękę, która zadrżała raz ostatni w jego dłoni i łudząc się jeszcze, nie puścił jej skostniałej i ziębnej. Już wszyscy widzieli śmierć na uspokojonem obliczu biednego Olesia... a Tadeusz jeszcze wierzył w życie, jeszcze tego słowa, całą boleść ziemską zawierającego w sobie — Na zawsze!!.. powiedzieć sercu nie umiał...

Trzymał palce stwardniałe trupa i modlił się o cud Łazarza...

Nadszedł nielitościwy dzień i na twarzyczce chłopca barwami zgonu odmalowała się prawda, w którą uwierzyć nie chciał...

Są w życiu chwile i obrazy, na które zasłone rzucić potrzeba — bezsilne tu słowa, pędzel i dłuto —

jak starożytny kunsztmistrz na oblicze ojca Ifigenii, my na pół żywego starca rzućmy całun milczący...

W chwili gdy ręka Olesia opadła ciężka i bezwładna u łóża, Tadeusz wstał, powiódł oczyma dookoła, wyszedł z krwawemi powiekami do pierwszej izby i z pośpiechem niewysłownym począł szukać, nie wiedząc już sam wkrótce, czego szuka...

Chciał znaleźć biały całun dla pokrycia synowskiego ciała — a znaleźć go nie mógł... Miłosierna ręka kobieca złożyła w ofierze zaslonę śmierci na zwłokach...

Potem już siadł stary z głową na piersi opadł i skamieniał tak nieporuszony, jakby nie wiedział co się z nim i wkoło niego dzieje. Lekarz i zacna księżna Barbara, która go nie opuszczała, byli tego zdania, że ból ten naturze i własnemu przebiegowi zostawić należy.

Nie ukrywano przed nim przygotowań grobowych... ale gdy wniesiono trumienkę i ubrane skromnie zwłoki przyszło w niej złożyć na sen wieczny, Tadeusz wstał, nie dając ich tknąć nikomu; jak piastunka w kolebce, ostrożnie złożył je na pościeli grobowej, potem pocałował czoło zimne i napowrót wrócił na krzesło.

Sprawdzono pułkownika Henryka, ażeby mu podał rękę, jeśliby na cmentarz chciał towarzyszyć ciału.

Nie mówiąc mu nic o tem, zrobiono składkę dla zakupu grobu w *Père la Chaise*. — Za ciałem szedł stary, nie potrzebując pomocy niczyjej, nie mogąc płakać...

Pogrzeb był skromny, ubogi, cichy, a liczny bardzo orszak emigracji towarzyszył trumnie. Grób zarzucono wieńcami. Szanując ból ojca, nie chcąc go pomnażać, nie przemawiano u grobu.

W czasie całego tego obrzędu ojciec stał, modlił się, klęczał, podnosił ze straszną rezygnacją, która

się o niego lękać kazała. Patrząc nań, każdy się pytał siebie, jak ten człowiek dożyje jutra, jak jutro przeżyje?

Kilku przyjaciół i czcigodna siostra miłosierdzia czuwali nad nim. Pojęli oni, że powrót do tego domu i pamiątek po synu, któryby żał żywszy obudzić na nowo musiały, był dlań niepodobieństwem. Postarano się wcześniej o najęcie dlań nowego, skromnego mieszkania, do którego w czasie pogrzebu przeniesiono wszystko, co się w dawnym znajdowało.

Tu pamiątki nawet po synu — które zachowano starannie, wrażenia już tak bolesnego wyrzucić nie mogli. Księżna Barbara, wracając, oznajmiła o tem Tadeuszowi, który wiadomości wysłuchał z uwagą, ze zdziwieniem, ale nie okazując większego wzruszenia. Ścisnął podaną mu rękę.

W mieszkaniu obejrzał się, było nieco do dawnego podobne, poszukał pulki z książkami po Olesiu, jego sukni i drobnych sprzętów, znalezionemi się ucieszył i siadł spokojny. Pułkownik i księżna pozostali z nim, czuwając. Pierwszy postanowił nie odstępować go dopóki pierwszy ból nie przewrzał, księżna zaś chciała na własne oczy widzieć, jaki przebieg żał weźmie...

Tadeusz na podziw był spokojny, nie śmiano go pocieszać, mówiono o rzeczach obcych, on do syna powracał.

— Umarł — rzekł po różnych urywanej rozmowy przestankach — ale Bóg — wiedział co uczynił, ta śmierć czysta, piękna, to miłosierdzie Boże nad nim. Po cóż miał żyć dłużej? Bólu skosztował tyle, ile potrzeba by na wieniec i palmę zarobić; szczęścia spodziewać się mógł — Bóg mu oszczędził rozczarowań i zawodów... Jam stary, on był dobry a nie doświadczony, któż wie, w coby go wir życia i dola tulacza wciągnąć mogły? Nigdy tak czystym

nie zszedłby później z tej ziemi, która brucze człowieka, jak dzisiaj... gdy go powołano. Bóg miłosierny... ja nad nim nie płaczę... bo oszczędzono mu wiele. Jego cnota nawet narażała go na niebezpieczeństwo, boć na nią dybią i czyhają szalbierze...

Umilkł...

Kilka tak razy odezwał się, zawsze z tą myślą jedynie, iż dobrze się stało, że Oleś poszedł spocząć...

Księżna wymknęła się około północy... pułkownik, niezręczny pocieszyciel, zaraz po jej odejściu, nagotowawszy sobie groku, pozostał do dnia... Z północy też znużony Tadeusz usnął w krześle, a Henryk na kanapie.

Nazajutrz zdawało się panu Henrykowi, iż bezpiecznie go samemu sobie zostawić może... Odszedł więc, powrócił w ciągu pierwszych dni kilka razy, ale nie znalazł nic, coby obawę rodzić mogło. Tego samego zdania była i księżna, tak, że wkrótce Tadeusz pozostał z myślami i żalem, wśród ciszy, której pragnął.

W parę tygodni po pogrzebie, gdy już nieco o Tadeuszu zapomniano, bo inna struna zabrzmiała tym samym grobowym dźwiękiem i już się około innych sierot krzątać musieli litościwi ludzie — księżna Barbara spotkała, idąc ulicą, pułkownika, który szedł ze śniadanka, w niezłym humorze, wyświeżony jakoś, z wąsikami wyszwarcowanymi starannie, a bodej nawet czy i nie z malowanymi włosami, gdyż bardzo kasztanowato wyglądały. — Jak zawsze, pułkownik był wesół, grzeczny, nadskakujący płci pięknej. — Na skinienie księżnej przybiegł szczęśliwy, iż jej hołd uszanowania złożyć może. Wprawdzie obiadów jej wielkim zwolennikiem nie był, ale w złą godzinę, gdy lepszego nie miał, wpraszał się na bar-szczyk narodowy i znajdował, że kuchnia księżnej była bardzo zdrową.

— Pułkowniku — zawołała, śpiesząc na jego spotkanie zacna niewiasta — a cóż się stało z naszym nieszczęśliwym? Od kilku dni wiadomości mi o nim braknie...

Henryk ruszył ramionami, zaciął usta.

— Czcigodny bezwątpienia człowiek — rzekł, odchrząkując pułkownik — ale przez całe życie, Mościa księżno, osobliwie od ożenienia, był jak szalony.

— Ale cóż tedy? co? — zawoła księżna zniecierpliwiona. — Widziałeś go? — zdrów?

— Zaraz będę miał honor odpowiedzieć — dodał Henryk, kłaniając się. — Zaraz, natychmiast. Po pogrzebie sama księżna uważała, jaki był szczególnym sposobem spokojny. Chciałem go w parę dni zabrać z sobą do znajomych, aby w tej nowej pustce swej nazbyt się żalowi nie oddawał i rozmyślaniami. Niepodobna go było wyciągnąć, uparł się, stękał... cho-dził, a nic nie jadł i nie pił!...

Trzeciego dnia, gdy go odwiedził, patrzę, a ten, jakby mu najpilniej było, sprzedaje i spienięża co ma... Pokończył rachunki ze swymi stolarzami, ułożył się o wyprzedanie ruchomości, warsztatu... Nie wiele co tam było. Rzeczy po dziecku zebrał i ode-słał do przechowania...

Na moje natrętne pytania, bom dostrzegł, że niedarmo tak się gorączkowo pozbywa wszystkiego, odpowiedział mi, iż w żaden sposób pozostać w Paryżu nie może, bo mu to miejsce nadto przypomina utracone dziecię. Nie pytałem go, dokąd się udać pragnie. Nie przeszkadzałem też w niczem, pomagałem nawet, byliśmy ciągle razem.

W kilka dni wszystko było ukończone, on zupełnie jakoś przyszedł do siebie, oprzytomniał, milczący był, ale i mnie i innym zdawało się, że z tego wyjdzie i przeboli.

Odwiedzaliśmy go wszyscy, ile nas było starych kolegów; nawet ci, co się dawniej burzyli i dą-

sali, okazywali mu wiele serca i braterstwa. Miałem się kim wyręczyć.

Przychodzę naostatek kilka dni temu, powróciwszy z Wersalu, a tu żona odźwiernego, dobre ko-biecisko (miał szczęście do odźwiernych) powiada mi, płacząc niemal, że *le Colonel est parti!* — Gdzie? co? dokąd? Jak w wodę wpadł. — Naturalnie, żem się zląkł, aby uchowaj Boże, nie dopuścić się samobójstwa, bo to u nas rzecz bardzo praktykowana... a miałbym na sumieniu, żem go nie dopilnował. — Nie spostrzegłem z wielkiej desperacyi, iż mi do ręki list cisnęli...

— A! pisał do ciebie, pułkowniku? — spytała księżna.

— Właśnie mam list w kieszeni — odezwał się pułkownik, zaczynając poszukiwania pilne po wszystkich zakątkach surduta i wnętrznościach pugilarsów... Naostatek dobył kartkę zasmoloną i podał ją księżnie.

List, widocznie drżącą nakreślony ręką, zawierał następujące słowa:

„Kochany przyjacielu. Przykro mi, że odchodzę od was bez pożegnania i podzięki, bez uścisku twojej dłoni... Sobie i wam oszczędzam przykrości.“

Od tej pory już więcej Tadeusza nie widziano.

62141

K O N I E C .





